

MAŁGORZATA STAROSTA



# TAJEMNICA CARYCY



KOMEDIA KRYMINALNA

w  
ydawnic  
two  
ab

MAŁGORZATA  
STAROSTA

# **TAJEMNICA CARYCY**



Copyright © by Małgorzata Starosta, MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# SPIS TREŚCI

- Rozdział I. Ze mną jak z dzieckiem
- Rozdział II. Cholehna Katarzyna
- Rozdział III. Jak to dobrze, że tę śliczną głowę masz nie od parady
- Rozdział IV. *C'est une catastrophe!*
- Rozdział V. Jakim niecudem go znaleźli, skoro go mieli bez cudu nie znaleźć?
- Rozdział VI. Mistrzowie oralnej rozkoszy
- Rozdział VII. Kiła i mogiła do spótki z syfem
- Rozdział VIII. To może ja jednak zadzwonię do szwagra
- Rozdział IX. Do brzegu, Wąty, do brzegu
- Rozdział X. Panowie w sprawie Maksymiliana?
- Rozdział XI. Nie zmuszaj mnie, żebym źle mówił o swojej matce!
- Rozdział XII. Cholerna Caryca!
- Rozdział XIII. My tu gadu-gadu, a Maksymilian stygnie
- Rozdział XIV. To jak to było z tym typem
- Rozdział XV. Znalazłem Osobę, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć
- Rozdział XVI. Same niewiadome
- Rozdział XVII. Chyba znaleźliśmy twoją żonę
- Rozdział XVIII. Khólowa Śhódka miała przebłysk geniuszu
- Rozdział XIX. Wszystko zależy od pana podkomisarza
- Rozdział XX. Wszystko można w człowieku zmienić, ale charakter mu zostanie
- Rozdział XXI. Wypijmy za proste rozwiązania!
- Rozdział XXII. Dwadzieścia po czwartej
- Rozdział XXIII. Mężczyźni kochają jak koty
- Rozdział XXIV. Od czegoś trzeba zacząć
- Rozdział XXV. Wolałabym raczej trupa
- Rozdział XXVI. Nie myśl tyle, bo nie za to ci płacę!
- Rozdział XXVII. Co za burdel, Lesiu

Rozdział XXVIII. Problemy obecnie mam dwa

Rozdział XXIX. Spodziewała się pani, że morderca podpisał się imieniem i nazwiskiem?

Rozdział XXX. Potrzeba ludzi z zapałem i sercem do pracy

Rozdział XXXI. A czego ty się spodziewałeś, Miziacz?

Rozdział XXXIII. Niegłupi ten plan i może się powieść

Rozdział XXXIV. Pijana, a wciąż genialna!

Rozdział XXXV. Od pierwszego kopa wyglądają na zakapiorów

Rozdział XXXVI. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest spokój

Rozdział XXXVII. Nie znamy się, nigdy się nie widzieliśmy i w ogóle to kto pan jesteś?

Rozdział XXXVIII. To już człowiek nie może się nazywać Maxymilian Gruschka?

Rozdział XXXIX. Twoja przyjaciółka zadaje się z mafią

Rozdział XL. Jeszcze więcej chaosu

Rozdział XLI. Jasny gwint, ale galimatias!

Rozdział XLII. *Que se passe-t-il ici, sacrébleu?!*

Rozdział XLIII. Z jednego Maksymiliana zrobiła się całkiem niezła heca

Rozdział XLIV. Przełom jak ta lala!

Rozdział XLV. Możliwe, że moja godność umarła

Rozdział XLVI. Pandemonium

Rozdział XLVII. *Comme c'est beau!*

Rozdział XLVIII. Pasowałam im wzrostem, imieniem i ksywą?

Epilog

*Recettes de cuisine*

Od autorki

Przypisy

## Rozdział I. Ze mną jak z dzieckiem

Agata Śródka uparcie ubierała się na czarno, sądząc, że „wdowa” brzmi korzystniej niż „rozwódka”. I zasadniczo miała w tym trochę racji.

– Jak długo jeszcze zamierzasz opłakiwać śmiech byłego męża? – Michel Blanc z rozkoszą zaakcentował przedostatnie słowo, zwracając się do swojej pracodawczyni.

– A kto powiedział, że go opłakuję? – odparowała Śródka ze złością. – Czarny mnie wyszczupła i jest bardzo twarzowy.

– Szkoda, że nie wydłuża – odwdzieczył się jej złośliwie konsjerż. – Może wtedy nie byłabyś bhana za kahłą z filmu *noir*.

– Och, zamknij się, Michelu. – Agata odwróciła się od lustra, przy którym poprawiała idealnie obcięte włosy sięgające brody. Włosy również miała czarne, tyle że z natury. – Nie masz przypadkiem nic do roboty?

Michel przewrócił oczami i wykrzywił się paskudnie, gdy szefowa znów stanęła do niego plecami. Zapomniał jedynie, że Agata ma przed sobą lustro, w którym widzi każdy grymas złośliwego konsjerża.

– Do hoboty, do hoboty, żebyś się przypadkiem nie zdziwiła, czahna wdówko – burczał pod nosem, oddalając się w kierunku recepcji hotelu.

Od tragicznych wydarzeń w winnicy Barnaby Mischczuka minęło pół roku, ale emocje z nimi związane jeszcze nie ostygły. O ile jednak po swoim byłym mężu i jego drugiej żonie Agata nie rozpaczała zbyt długo, o tyle nad śmiercią („przedwczesną, ta kobieta powinna dożyć co najmniej stu dwudziestu lat!”) Leokadii Schmidt ubolewała nader często. Żal jej też było romansu, który nie miał jak się rozwinąć, gdyż potencjalny adorator okazał się wyrachowanym mordercą, co w zasadzie Śródka mogłaby zaakceptować („któż z nas nie ma wad?!”) – ale dwadzieścia pięć lat w więzieniu mogłoby skutecznie uniemożliwić jakiegokolwiek romantyczne

scenariusze. „Jak pech, to pech”, myślała restauratorka, przeglądając się w ogromnym lustrze.

Gościński pałacyk, któremu od pamiętnego otwarcia towarzyszył ów pech, cieszył się niesłabnącym zainteresowaniem turystów. Nie licząc czasu remontu piwnic, który na kilka tygodni wstrzymał ruch w interesie, nie było dnia, aby w Gościńcu nie pojawili się turyści spragnieni kontaktu z Agatą Śródką – najbardziej znaną w kraju restauratorką, w dodatku zamieszana w kryminalną historię.

Tego dnia należący do Śródki hotel pękał w szwach, a Michel ani myślał kryć swojego stosunku do nieustannie dzwoniącego telefonu. Przyszło mu nawet do głowy, żeby nagrać suche „nie mamy wolnych miejsc do hoku dwa tysiące pięćdziesiątego, chyba że Agata Śródka umrze wcześniej”, jednak nawet na to był zbyt leniwy. Widząc na wyświetlaczu warszawski numer, który dzwonił już po raz kolejny, w ostatniej chwili pohamował odruch wciśnięcia czerwonej słuchawki i skorzystał z okazji, że za kontuarem pojawiła się młoda recepcjonistka.

– To do ciebie. – Wepchnął jej telefon w dłoń, zanim dziewczyna zdążyła zareagować.

A z pewnością zareagowałyby ucieczką w panice.

– Skąd pan wie, że do mnie? – pisnęła.

– No bo jakby był do mnie, to ja bym odebrał, prawda?

Michel Blanc z powodzeniem mógłby startować w wyborach Mistra Arogancji, co poczytywał sobie za powód do dumy. Jeden z wielu powodów, każdą bowiem wadę potrafił przedstawić sobie tak, żeby działała na jego korzyść. Zgromiwszy wzrokiem przerażone dziewczę, konsjerż odwrócił się na pięcie i zamierzał zajrzeć do kuchni, gdzie spodziewał się nakryć ekipę w jakiejś kompromitującej sytuacji. Nie zdążył jednak zrobić ani pół kroku, kiedy dziewczyna zasłoniła mikrofon dłonią i wyszeptała:

– Panie Michelu, ta pani chce rozmawiać z szefem.



– Więc niech dzwoni do Agaty. Ja nie jestem księga skahg i zażaleń.

– Ale... – Recepcjonistka wahała się przez chwilę, widząc na gładko ogolonym obliczu Blanca rosnącą irytację. – To z telewizji – tu padła nazwa jednej z komercyjnych stacji – chcą rozmawiać z szefostwem o jakimś celebryckim programie.

Marsowa mina Michela zniknęła w mgnieniu oka, a jej miejsce zajął promienny uśmiech, który przywodził na myśl Jacka Nicholsona. Szaleństwo niebezpiecznie błysnęło w spojrzeniu mężczyzny, wywołując już całkiem usprawiedliwioną panikę recepcjonistki. Blanc wyciągnął rękę, w którą wystraszone dziewczę ostrożnie włożyło słuchawkę telefonu, i gestem drugiej dłoni odprawił recepcjonistkę ku jej ogromnej uldze. Czmychnęła natychmiast.

– Ehm, ekm! – Michel odchrząknął głośno wprost do słuchawki. – *Bonjour, Michel Blanc, puis-je vous aider?*

– *Pardon?* – odezwał się zaskoczony damski głos. – Pani Śródka?

– Nie, pan Wtoheczek – syknął Michel, wściekły, że nie udało mu się wyrzucić wrażenia, na jakim mu zależało. – Nazywam się Michel Blanc i jestem... menedżerem hotelu w Gościńcu. Z kim mam przyjemność? – W myślach dodał jeszcze „wątpliwą”, bo okropnie go zirytowało to nieznające się na językach obcych babsko.

– A mógłby pan, panie Blanc, przekazać telefon pani Śródce? Wie pan, dzwonię z telewizji ogólnopolskiej i chciałabym przedstawić pani Agacie pewną propozycję.

Michel zgrzytnął zębami, usłyszawszy tę jawną impertynencję, postanowił jednak nie dać się spławić, skoro na horyzoncie majaczyły występy w ogólnopolskich mediach. I to w dodatku prywatnych!

– Tak się składa, dhoga pani, że Agata Śródka mianowała mnie swoim plenipotentem. – Skrzyżował palce za plecami. – Więc swobodnie mogę z panią wszystko ustalić, przyjechać, podpisać, wystąpić, a nawet zaśpiewać, gdyby była taka konieczność.



– Doskonale! – W głosie kobiety słyhać było autentyczną radość. – Z nieba mi pan chyba spadł, panie Michelu. Producentka ostrzegała mnie, że z tej Śródki to jest niezła wredota, więc im mniej z nią kontaktów, tym lepiej.

– Och, whedota to za mało powiedziane – zapewnił ją pół-Francuz. – A ze mną jak z dzieckiem, wszystko ustalimy, żeby była pani zadowolona. To czego pani potrzebuje? Phoszę śmiało mówić!

Michel rozsiadł się na wygodnej kanapie przeznaczonej dla gości, przez co starsze małżeństwo musiało obejść się smakiem i czekać na spakowanie lunch boxu na stojąco. Nikt jednak nie śmiał zaprotestować, a białowłosa staruszka, którą mąż nakłaniał do zwrócenia konsjerżowi uwagi, stanowczo odmówiła, tłumacząc scenicznym szeptem:

– Przestań, Stasiu, to chyba gej! Z takim nie warto się kłócić, bo zaraz ci zarzuci, że szykanujesz mniejszości!

Co prawda, to prawda, a Michel Blanc kartą mniejszości gotów był zagrać nawet przeciw własnej matce.

## Rozdział II. Cholehna Katarzyna

– Czy mógłbyś, mój najdroższy Michelu, mnie poprawić, jeśli coś źle zrozumiałam? – Agata Śródka zadała to pytanie z powagą, która sprawiła, że Michel Blanc stracił nieco ze swojego wrodzonego animuszu. – O ile się nie mylę, to okłamałeś producentkę telewizyjną, twierdząc, że możesz mnie reprezentować. – Przerwała nagle i spojrzała na konsjerża wzrokiem, od którego zrobiło mu się gorąco. – No tak czy nie?! – wydarła się.

– *Oui* – pisnął Michel, nie wiedząc, co ma zrobić z oczami.

– *Parfaitement!* – Śródka nigdy nie nauczyła się biegle władać językiem Balzaka, jednak terminowanie w paryskim Le Cordon Bleu pozwoliło jej opanować podstawowe słownictwo i od biedy byłaby w stanie porozumieć się z kimś dość bystrym, kto umiał czytać z mowy ciała, bo gramatyka restauratorki z pewnością by go zawiodła. – I uzurpując sobie prawo do mówienia w moim imieniu, zgodziłeś się, żebym została jurorką i gwiazdą jakiegoś marnego telewizyjnego show, w którym jakieś garkotłuki będą się ścigać o złotą warząchew?!

Tym razem Michel już nawet nie potwierdził. Śródka odwróciła się do niego plecami, a o jej wielkim wzburzeniu świadczyły przede wszystkim drgające ramiona. Blanc zerknął na sylwetkę szefowej ostro odcinającą się na tle wielkiego pałacowego okna. Mierząca sto czterdzieści osiem centymetrów i ważąca niewiele ponad czterdzieści kilogramów Agata Śródka ubrana w dzianinową czarną sukienkę do kolan wyglądałaby jak dziewczynka, gdyby nie wściekle różowe szpilki dodające jej jedenaście centymetrów wzrostu.

Restauratorka milczała przez kilka minut, które dla Michela trwały pół wieczności, a na pewno tak długo jak niedzielna msza święta w czasach, kiedy matka zmuszała go do uczestniczenia w nabożeństwie, a on akurat miał ochotę pograć w piłkę z kolegami.

– Jak gdyby tego wszystkiego było mało – podjęła w końcu, starając się panować nad głosem – mam to zrobić za darmo?

– Ale Agato! – Michel podjął nieudolną próbę wytłumaczenia się ze swej konkursowo głupiej decyzji. – Ja myślałem, że za darmo to znaczy, że nie musimy płacić za nocleg i te wszystkie piehdalamenty!

– Gdybyś ty myślał, mój drogi, słodki Michelku, to przekazałbyś tej pani numer do mnie, a wtedy problemu nie byłoby żadnego – odparła spokojnie, przenosząc na konsjerża wzrok. Jej jadeitowo zielone oczy błyszczały, zdradzając wielkie wzburzenie.

Blanc coraz silniej odczuwał dyskomfort, który właściwie sam sobie zgotował. Było mu już naprawdę bardzo gorąco, ponieważ po raz pierwszy od dawna musiał się przyznać do błędu.

– *Allors* – kontynuowała Agata po krótkim tym razem zastanowieniu. – Słowo się rzekło i odwołać już nie wypada, ale teraz masz szansę się zrehabilitować.

– Zhobię wszystko, co hozkażesz, moja cudowna Agatko! – Michel gotów był rzucić się do tych różowych szpilek i wypucować je mankietem własnej marynarki.

– Oczywiście, że zrobisz, nie masz wyjścia, *mon ami*. Zadzwoń do mojej przyjaciółki, która zaprosiła mnie na kilka dni do swojego nowego domu, i powiedz jej, że bardzo chętnie przyjedziemy, a przy okazji przywieziemy telewizję i kilku kucharzy amatorów.

Blanc uniósł brwi i sięgnął po kartkę, na której Agata zapisała numer telefonu. Spojrzał na nazwisko, po czym zgrzytnął zębami.

– Coś nie tak? – zapytała Śródka słodkim głosem.

– Nie, nie, bhoń Boże! – zapewnił z uczuciem Michel, kierując się do wyjścia z gabinetu szefowej. Miał też nadzieję, że Agata nie dosłyszała, kiedy zamykając drzwi, mruknął pod nosem: – Cholehna Katarzyna...

Śródka oparła się o parapet, który standardowemu człowiekowi sięgałby pewnie do połowy uda, a jej ciut powyżej pasa, skrzyżowała ręce na

piersiach i zamyśliła się nad stanem świata. A konkretniej nad stanem spraw, które właśnie ujrzały światło dnia, ku wielkiemu jej zaskoczeniu.

Nie konkurs telewizyjny ją martwił; przez lata przywykła do tego, że uznawano ją za celebrytkę, okularów przeciwsłonecznych miała całkiem sporą kolekcję i w razie czego będzie pozować do zdjęć w kapeluszu z rondem wielkim jak katowicki Spodek. Tym, co naprawdę trapiło ją od kilku dni, był niespodziewany list, który dostała od dawno niewidzianej przyjaciółki. List ów bowiem niósł groźbę nieszczęścia, a nieszczęść Agata ze wszech miar nie życzyła sobie więcej w swoim życiorysie; wystarczająco długo zbierała się po winnych zbrodniach w Gościnnej Dolinie. Jednak zostawienie przyjaciółki w potrzebie nie mieściło się w katalogu jej zasad. Tak źle i tak niedobrze, trzeba jednak wybrać mniejsze zło. Być może niemądry Michel niechcący wyręczył ją w tym niewdzięcznym zadaniu? W razie czego będzie na kogo zwalić winę.

Pomyślawszy o winie, otrząsnęła się na wspomnienie spełnionego przed sześcioma miesiącami proroctwa brzmiącego „to wszystko wina wina”, poprawiła odrobinę zburzoną fryzurę i sięgnęła po telefon. Michel niech tam urabia Katarzynę, a ona tymczasem zajmie się negocjowaniem stosownej gaży w telewizji. Prywatna jest, a więc kapitał ma – niech płaci.

### Rozdział III. Jak to dobrze, że tę śliczną głowę masz nie od parady

Katarzyna Jakimiuk całe życie czuła się wyjątkowa, toteż od życia wymagała wyjątkowo dużo. W czasie gdy jej koleżanki rodziły kolejne dzieci lub robiły kariery, ona pomnażała majątek w inny sposób, który w dodatku zdołała opracować do perfekcji. Ów sposób był w swej prostocie genialny, wymagał jednakże szczęścia, a to sprzyjało Katarzynie od zawsze, urodziła się bowiem w przysłowiowym czepku, który następnie jej babka zakopała pod progiem chałupy, jak nakazywała tradycja.

Nie zawahała się zatem urodzona pod szczęśliwą gwiazdą Katarzyna przyjąć dosłownie zapewnień Olega Wasiljewa, jakoby mogła go prosić o wszystko, gdyby zgodziła się zostać jego żoną. Przeglądała akurat czeluście internetowych portali poświęconych opuszczonym zabytkom polskiej architektury, kiedy jej obecny konkubent, a przyszły mąż, padł na kolana i jął błagać piękną wybrankę o rękę, nogę i całą resztę, do której owe kończyny były przyczepione. Szczególnie zaś zależało mu na jej sercu, o czym zapewniał gorliwie.

– Zgadzam się – odparła Katarzyna, nie odrywając wzroku od monitora bardzo drogiego laptopa, prezentu od poprzedniego męża, który od roku nosił tytuł „piątego eks”. – I chcę zamek, o ten! – Postukała żelowym paznokciem w kolorze neonowej żółci w matrycę komputera.

Oleg Wasiljew bez wahania zgodził się spełnić kaprys ukochanej – pragnie zamku, będzie miała zamek. Na cóż on ma wydawać te wszystkie miliony, jeśli nie na uszczęśliwianie swojej drogiej połówki?

– Kup sobie, Katjuszko ty moja najśłodsza, ten zamek, a nawet całą wieś, tylko pozwól mi te rączki – tu nastąpiła seria całusów wzdłuż rączek – i te usteczka całować.

– A całuj, całuj, Oluś, przecież ja ci nie bronię – chichotała Katarzyna, jednocześnie szukając na stronie kontaktu do osób, z którymi mogłaby

porozmawiać o swoim zaręczynowym prezencie. – Tylko pamiętaj, że niedługo wiosna, a ja wiosną chciałabym już tam przyjmować gości. Więc przyśpiesz to całowanie, mój słodki misiu-pysiu, zabierz mnie do nieba na trzy sekundy, a potem wracaj do interesów.

Nie trzeba chyba mówić, że takiego polecenia żadna kobieta dwa razy nie musi wydawać. Oleg zabrał się więc do zabierania aż nadto ochoczo, uskrzydłony wizją mariażu z najseksowniejszą niewiastą, jaką nosiła ziemia. Niewiasta zaś także nie kryła entuzjazmu, bo myśl o posiadaniu zamku na własność zadziałała na nią jak najlepszy afrodyzjak. Czemu zresztą trudno się dziwić.

Godzinę później usatysfakcjonowani kochankowie – Katarzyna podwójnie, Oleg zaledwie raz, ale porządnie – zajęli się swoimi sprawami, które zupełnie niespodziewanie zaczęły robić się pilne. Szybko też się okazało, że zakupienie zamku to w zasadzie żaden problem, o ile dysponuje się stosownymi środkami na koncie, za to problemem w wypadku świeżo upieczonych narzeczonych mógł być czas, a raczej jego patologiczny brak, indolencja pracowników Olega zmuszała go bowiem do przyśpieszonego powrotu do Rosji.

– To tylko na chwilę, kochana moja, wrócę do ciebie na skrzydłach, najdalej po Nowym Roku, i wszystko załatwimy na czas – zapewniał ją żarliwie, kiedy Katarzyna zwana czule Katjuszką marszczyła nos w wyrazie niezadowolenia.

– Ale Oluś, przecież trzeba pozwolenia załatwiać, zgody, instalacje, a kto wie, co jeszcze – wyliczała z przerażeniem, w którym tylko taki zakochany naiwniak jak Wasiljew nie dopatrywał się doskonałej gry aktorskiej. – I pieniędzy, fury pieniędzy!

– O pieniądze się nie martw, moja najśłodsza kluseczko, bierz, ile chcesz, a ja nawet nie będę o nic pytać.

Interesy zatrzymały Olega w Rosji znacznie dłużej, nad czym ogromnie ubolewał, gdyż oznaczało to również przesuwanie terminu ślubu.

Katarzyna zaś do Rosji jechać nie mogła, ponieważ prace nad remontem siedemnastowiecznego zamku w dolnośląskiej wsi o uroczej nazwie Roztoka rozpoczęto natychmiast po podpisaniu aktu własności. Wasiljew wynajął cztery ekipy pracujące na zmiany niemal bez żadnych przerw, prace posuwały się więc w zawrotnym tempie i niemal z dnia na dzień widać było postępy. Tuż przed planowanym otwarciem, które miało się odbyć z wielką pompą – a jakże! – zdarzyła się jednak rzecz, której absolutnie nikt nie był w stanie przewidzieć.

No nie, ktoś pewnie by mógł, ale akurat konsultacji z Agathą Christie Katarzyna nie wzięła pod uwagę, a sama na kryminałach знаła się jak kura na pieprzu.

– Oluś? – szlochała do telefonu, przerywając przyszłemu mężowi spotkanie z bardzo ważnym ministrem, z którym właśnie omawiał bardzo ważną kwestię. – Co ja mam teraz zrobić? Przecież policja cały czas siedzi mi na głowie, a ty wiesz, jak ja źle reaguję na policję!

– Chciałbym ci pomóc, koteczku, ale niestety nie uda mi się przyjechać – wyznał przeproszającym tonem. – Może przełożymy otwarcie? Tak o miesiąc albo dwa?

Katarzyna wybuchła płaczem tak głośnym, że bardzo ważny minister poczuł się odrobinę zażenowany i dla odwrócenia uwagi nalał sobie kolejny kieliszek okowity.

– Nie płacz, aniołku mój, nie płacz – pocieszał ją Oleg, któremu serce pękało na myśl o tej biednej, zagubionej i na pewno przerażonej kluseczce. – Więc nie przekładaj, rób wszystko, jak zaplanowałam. Może... sprowadź sobie jakąś przyjaciółkę, raźniej ci będzie, co?

Pochlipawszy jeszcze trochę do słuchawki, Katarzyna zgodziła się, że może to dobry pomysł i chyba nawet ma taką jedną przyjaciółkę, która trupów się nie boi, bo sama pomagała policji złapać zbrodniarza przy kilku morderstwach. Oleg poparł pomysł z radością, po czym rozłączył się, przekonany, że sprawę załatwił jak zwykle doskonale i dyplomatycznie.



Katarzyna zaś odłożyła telefon, otarła łzy i z satysfakcją spojrzała w stojące przed nią lustro, po czym uśmiechnęła się do swojego odbicia i stwierdziła:

– No, Kaśka, jak to dobrze, że ty tę śliczną głowę masz nie od parady. A jeszcze lepiej, że Agata Śródka zgodziła się przyjechać.

## Rozdział IV. *C'est une catastrophe!*

Michel Blanc ewidentnie wstał tego dnia lewą nogą, w dodatku musiał nią na coś nadepnąć, bo odrobinę utykał, co wywoływało chichoty wśród personelu gościnnieckiego pałacyku, który wciąż nie doczekał się oficjalnej nazwy. Jak zwykła mawiać Agata Śródka: „będzie, jak przyjdzie, a i bez nazwy róża pachnie słodko”.

Nie zwracając uwagi na chichoczące pokojówki, Michel pokuśtykał prosto do kuchni, gdzie spodziewał się zastać załogę w trakcie którejś z jej ulubionych gier hazardowych. On sam gardził tego typu rozrywkami, widząc w nich jedynie stratę cennego czasu, który można by poświęcić na czytanie arcydzieł literatury francuskiej w oryginale. Nie przychodziło mu do głowy, że nie wszyscy mają frankońskich przodków, o rodzicach nie wspominając.

– *Bonjour* – odezwał się od progu, czym zaskoczył sześć osób pochylonych nad wyspą na środku pomieszczenia.

Michel Blanc rzadko korzystał z zasad etykiety, był bowiem przekonany, że to jego należy witać, bez względu na to, po czyjej stronie faktycznie spoczywa ten obowiązek.

– *Bonjour...* – odpowiedziała mu Agata Śródka i zabrzmiało to trochę jak pytanie. Zamrugła wielkimi zielonymi oczami, wyrażając w ten sposób zdumienie, które podzielała z resztą obecnych w kuchni osób.

– Co hobicie? – zagadnął Blanc, rozglądając się za dzbankiem z kawą, który z pewnością gdzieś musiał być, sądząc po kubku w dłoniach Śródki.

– Jak ty się odzywasz do szefowej?! – fuknęła na niego Madeleine, odpowiedzialna za wszelkiej maści makarony i dodatki do mięs. – Agato, nie powinnaś tego tolerować.

Śródka uśmiechnęła się pobłaźliwie, ale nie skomentowała. Michel za to poczuł się odrobinę urażony.

– Czego tolehować? Przecież grzecznie się przywitałem! I co to za hóżnica, w jakim języku?

– Taka to różnica, że kulturalny człowiek nie obraża osoby wyjątkowo niskiej, nazywając ją hobbitem – wyjaśniła dziewczyna, wprawiając Michela w osłupienie.

– Co? Jakim znowu hobbi...?! – Konsjerż przerwał nagle, zdawszy sobie sprawę, że złośliwa Madeleine podle sobie z niego zażartowała, a on dał się złapać w pułapkę jak jakiś niezbyt bystry młokos. – Bahdzo zabawne, no po phostu boki zhywać, ha, ha!

– No już, już, proszę się nie dąsać – zainterweniowała Agata, doskonale znając obrazalskość Michela. – Trochę dystansu do siebie, mój drogi, naprawdę nie zawadzi.

– Ależ ja się wcale nie dąsam. Życzę jedynie Madeleine, żeby nadepnęła bosą stopą na klocek Lego – odparował Blanc tonem lodowatym niczym ciekły azot.

To powiedziawszy, opuścił kuchnię, wciąż utykając na lewą nogę. Musiał być wyjątkowo wściekły, gdyż w normalnych okolicznościach nie zrezygnowałby z kawy, bez której nie potrafił funkcjonować.

– Aaaaa! – zakrzyknął Charles, brat Madeleine i jednocześnie najlepszy cukiernik na tej szerokości geograficznej. – No przecież siostra do niego przyjechała. Z dzieckiem!

– Czyli już nie musimy pytać, dlaczego kuleje – domyśliła się Agata Śródką. – Kiepski sobie moment wybrałaś, Madziu, na żarty językowe. Ale dobra, co tam mamy następnego na tapecie?

– Na tapecie mamy... – Madeleine zmrużyła oczy i pochyliła się nad ekranem tabletu. – Dwadzieścia dwa poziomo: nierozgarnięty drób.

– Kura! – ryknął Antoine.

– Kaczka! – zawtórował mu Pierre.

– Indyk! – rzucił Charles, zerkając na truchło ogromnego ptaka mającego tego dnia wylądować na stołach w formie pieczystego.

– Mamy coś? – zakończyła te wyliczanki Śródka. – Ile liter?

– Pięć, nic nie mamy – odpowiedziała Madeleine.

– To mówię, że indyk – obruszył się Charles, któremu nigdy jeszcze nie udało się odgadnąć żadnego hasła w krzyżówkach „Przekroju”.

– A niby dlaczego indyk, a nie kaczka? – Pierre’owi też daleko było do tytułu mistrza krzyżówek z kociakiem, ale walczył dzielnie.

– Bo kaczka ma sześć liter, a kratak jest pięć – przypomniała spokojnie Agata.

– No to ścieśniaj i się zmieści, wielkie mi co – podpowiedział Jacques.

On akurat zwyciężał niemal tak samo często jak jego szefowa. Być może była to kwestia ich niemal równego wieku, najpewniej jednak oboje wybitnie lubili łamigłówki i szarady.

– A może to się głoskami zapisuje i wtedy akurat jest pięć? – Pierre naprawdę bardzo chciał odgadnąć hasło kojarzące się z kulinariami.

Drzwi do kuchni otworzyły się nagle, przerywając te dywagacje, i stanął w nich Michel, trzymając w wyciągniętej dłoni telefon.

– Agato, pani z telewizji do ciebie – poinformował oficjalnym tonem. – A dla waszej wiadomości, niehozagahnięty dhób to jest gołąb, wy duhaki.

Pięć par oczu spojrzało zachłannie na ekran tabletu, po czym pięć rąk pacnęło w czoła należące do głów zawiadujących owymi rękami. Madeleine bezgłośnie powtórzyła słowo „gołąb” i wstukwała litery w kratki krzyżówki. Duraki, faktycznie...

Śródka odebrała telefon od Michela i opuściła kuchnię, stukając o matowe kafle obcasami szpilek w kolorze fuksji. Czy może amarantu, mało kto, poza Michelem, potrafił te odcienie rozróżnić. Konsjerż także wyszedł, najpierw jednak chwycił dzbanek z kawą, który udało mu się zlokalizować za plecami Charles’a. Tymczasem ekipa kucharzy zajęła się kolejnym hasłem.

– Półmetek jedzeniowy – przeczytała Madeleine głosem co najmniej zniechęconym. – Nie, ja się poddaję. W sześćdziesiątym czwartym ludzie

jacyś mądrzejsi byli.

– A tam, zaraz mądrzejsi – ofuknął ją Jacques. – „Obiad” wpisuj do tego półmetka, przecież to nietrudne. Ciekawe, po co ta baba z tiwi dzwoni, nie? Może odwołują imprezę? Agata się ucieszy.

– Nie wiem, czy się ucieszy, już sobie garderobę nową sprawiła. Wszystkie odcienie klasycznej czerni – zakpiła dziewczyna, korzystając z nieobecności szefowej.

– To czerń ma odcienie? – nie zrozumiał Pierre.

– Oczywiście! – Antoine udał oburzenie. – A jeśli ich nie rozróżniasz, to znaczy, że masz... dysfunkcję plamki żółtej. To poważna choroba!

Pierre pobladł i spojrzął na starszych kolegów z przerażeniem w oczach. Wszyscy, włącznie z Madeleine, smutno pokiwali głowami. Kuchcik poczuł się nagle bardzo słaby i gotów był żegnać się z życiem, w tym jednak momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wparowała rozsierdzona Agata Śródka. Rozrywające błonę bębenną stukanie obcasów zwiastowało nadchodzący kataklizm.

– Oho – szepnął Charles do siostry. – Skończyła się Akademia Pana Kleksa, witajcie w innej bajce.

Madeleine pokiwała głową, sama bowiem zdążyła dojść do tego wniosku. Nie zamierzała się jednak odzywać, podobnie jak trzej pozostali kucharze i wystraszony nie na żarty Pierre.

– Sprawa jest – odezwała się bez ogródek Agata, a jej zwykle idealnie ułożona grzywka podskoczyła. – Telewizja wymyśliła, że skoro program będziemy kręcić w zamku, a w dodatku zbliża się Wielkanoc, mam poprowadzić finał konkursu na inspirowane Wielkanocą specjały cukiernicze.

Charles, cukiernik, gwałtownie wciągnął powietrze.

– To nie koniec – wycedziła Śródka. – W finale każdy uczestnik będzie musiał wykonać dzieło, które najpierw ja przygotuję. I zgadnijcie, co to ma być.

– Mazurek? – wyszeptała Madeleine.

– Babka? Serniczek? Murzynek? – zgadywał Pierre, który na ciastach znał się jak Śródka na mechanice kwantowej.

– Ja chyba wiem... – powiedział cicho Charles. – Ale... to niewykonalne.

– *Oui bien sur!* – wykrzyknęła Agata, dając upust wszystkim kłębiącym się w niej emocjom. – Na to potrzeba tygodni, jeśli nie miesięcy! Próby, barwniki, materiały! A ile ja mam? Dziesięć dni! *C'est une catastrophe!*

Agata Śródka znana była w świecie kulinarnych celebrytów jako osoba nieprzyzwoicie uzdolniona, ale także chorobliwie ambitna. Zdobywała wykształcenie w najbardziej ekskluzywnych szkołach Europy, wliczając w to paryską Le Cordon Bleu, a jej największym marzeniem i celem, do którego zmierzała prosto jak strzała Wilhelma Tella, było powtórzenie sukcesu Julii Child. W głębi duszy Agata czuła się inkarnacją owej fascynującej kucharki celebrytki i żałowała, że nigdy nie będzie miała okazji poznać jej osobiście. No chyba że w zaświatach, ale na to jeszcze długo poczeka. Chorobliwa zaś ambicja czterdziestosiedmioletniej („urodziny mam dopiero w październiku!”) restauratorki sprawiała, że perfekcjonizm stał się jej główną cechą. Wszystko musiało być idealnie, a najmniejsza skaza potrafiła doprowadzić ją do wybuchu gniewu, który kończył się dwudniową migreną.

Wykonanie jadalnej repliki jaja Fabergé, które to zadanie postawiła przed Agatą producentka telewizyjnego talent show, wymagało wyjątkowych zdolności, doskonałej precyzji, a także czasu. I to właśnie brak tego ostatniego doprowadził Agatę do furii, która zapowiadała ciężkie chwile dla całego personelu pałacyku.

## Rozdział V. Jakim niecudem go znaleźli, skoro go mieli bez cudu nie znaleźć?

Mikołaj Kunicki przechadzał się po salonie niczym lew po wybiegu w zoo. Dwanaście kroków w jedną stronę, obrót, dwanaście kroków, obrót, dwanaście kroków. W sumie tych kroków zrobił już ponad pięćset, co dawało mu jedną dwudziestą liczby zalecanej przez lekarza dla zdrowotności.

W trakcie tej obowiązkowej dawki ruchu odziany był jedynie w granatowo-bordowy jedwabny szlafrok przewiązany w talii szerokim paskiem. Nawet ten strój upodabniał go do dzikiego kota, cały upstrzony był bowiem lamparcimi cętkami. Spod szlafroka wystawała para wyjątkowo chudych, owłosionych nóg, co z kolei kojarzyło się raczej z kozłem anizeli zgrabnym królem sawanny. Śnieżnobiałe skarpetki z logo znanego domu mody napięte były do niewyobrażalnych wprost granic i wyglądały, jakby ich głównym zadaniem było usztywnienie przeraźliwie wychudzonych pęcín. Poza skarpetko-ortezami na nogach Mikołaja znajdowały się także filcowe mokasyny w kolorze ni to wina, ni to zakrzepłej krwi. W każdym razie stylowe – przynajmniej w kategoriach estetycznych Hugh Hefnera.

Dwanaście kroków, obrót, dwanaście kroków, obrót, dwanaście kroków... Poły szlafroka subtelnie furkotały, zwłaszcza przy zwrotach, które były raczej energiczne – delikatna tkanina nie stanowiła oporu dla pędu powietrza.

W chwili gdy jeden z obrotów był dokładnie w połowie: drzwi do pokoju rozwarły się z impetem.

– Szefie, znaleźli go! – wycharczał bardzo brzydki młodzieniec o fizjonomii niezdrowo upasionego prosiaka, z głębokimi bliznami po



trądziku na twarzy w kolorze niemal takim samym jak stylowe obuwie Kunickiego.

Mikołaj zastygł w dziwacznej pozie, wykręcony w lewo, z prawą nogą uniesioną dziesięć centymetrów nad podłogą. Jego czarne oczy przeszyły tłustego młodzieńca wzrokiem wyrażającym pogardę pomieszaną z nienawiścią.

– Kogo znaleźli?! – zagrział wściekły jak obudzony przedwcześnie niedźwiedź, bo właśnie zapomniał, które z kolei dwanaście kroków wykonał, i groziło mu, że będzie musiał zacząć od początku.

– No tego, co go mieli nie znaleźć albo będzie syf – odparł z przejęciem grubasek.

– Łysego?!

– Nie!

– Farfocla?!

– Nie!

– Kulawego od starej Marianowej?!

– Też nie! – Grubasek wyraźnie się zniecierpliwił.

– No to którego, do diabła?! Weź no mi, Wąty, zagadek nie rób, bo już i tak cholery dostaję z tym liczeniem kroków!

– A dlaczego szef sobie nie kupi krokomierza? – wypalił Wąty, zanim zdążył się zorientować, że to raczej głupi pomysł.

– Bo żeby sobie kupić krokomierz, ciulu jeden bosy, to ja musiałbym wyjść z domu, tak czy nie?!

Wąty nie śmiał udzielić odpowiedzi – na tyle jeszcze starczyło mu instynktu samozachowawczego.

– A ja nie mogę postawić kroku poza domem, tak czy nie?

Z tym akurat Wąty zgodzić się musiał, bo to był fakt, a nie opinia. Pokiwał więc energicznie głową, co wyszło raczej żałośnie, ale Kunicki nie zwracał na niego uwagi.

– No to przestań się wymądrzać i powiedz lepiej, którego znaleźli, żebym nie musiał zgadywać, bo i tak pewnie nie zgadnę.

– Tego typu – wyszeptał niemal niesłyszalnie Wąty i natychmiast wbił wzrok w swoje buty, zupełnie nie stylowe w swej ordynarności.

Mikołaj z impetem postawił prawą nogę na podłodze, a z jego ust wydobyło się głośne sapnięcie. Był to dźwięk tak przerażający, że Wąty, który z natury wcale wąty nie był, a z obżarstwa jeszcze mniej, skulił się, jak gdyby oczekiwał tęgich batów. Kunicki tymczasem sapał i wzdychał na przemian, jakby sam nie mógł się zdecydować, który odgłos lepiej wyraża jego uczucia.

– Tego typu, o którym ja nic nie wiedziałem i którego, według twoich zapewnień, mieli nie znaleźć, chyba że zdarzyłby się cud w rodzaju biblijnym? – wycedził w końcu.

Od tonu jego głosu Wątemu wszystkie włosy na ciele stanęły dęba, z wyjątkiem skóry głowy, bo tam akurat włosów nie miał. Za to brwi nastroszyły się aż miło.

– Może mnie coś ominęło – ciągnął Kunicki – albo niezbyt dokładnie czytam wiadomości, ale nie przypominam sobie, żeby rozstąpiło się ostatnio jakieś morze, woda dalej nie chce być winem i nikt, zdaje się, z martwych nie powstaje. Chyba że ten typ powstał? – Łypnął na Wątego wciąż wściekły, ale też nieco złękniony. – No tak czy nie?

– Nie, szefie. Nie powstał. – Grubasek wciąż przyglądał się czubkom swych sfatygowanych buciorów na grubej podeszwie. – Tak żeśmy go załatwili, że trudno by mu było wstać.

– Jakby było łatwo, to nie byłby cud – sarknął Mikołaj. – To jakim niecudem go znaleźli, skoro go mieli bez cudu nie znaleźć?!

– No... Wziął i się ujawnił, jak zaczęli kopać.

– Kto? Kto zaczął kopać, Wąty? I dlaczego?

– Nowi właściciele zaczęli. I jak już zaczęli, to go w końcu wykopali, a jak go wykopali, to się policja zleciała i szlag wszystko trafił na amen –

wyrzucił na jednym wydechu chłopak.

– Szlag to zaraz trafi mnie! – ryknął Kunicki i znów przez moment przypominał lwa z grzywą płowych włosów rosnących w nierównych kępach, które w dodatku sterczały teraz fikuśnie we wszystkich kierunkach.

Wąły najchętniej uciekłyby z tego pokoju, w którym sapanie i wzdychanie jego szefa zaczynało materializować się w postaci drgań wyczuwalnych już nie tylko w powietrzu, ale też coraz mocniej przylegających do odkrytych części ciała chłopaka. Jakby ta wściekłość, ten atawistyczny gniew przyklejał się do jego skóry niczym jad pająka, który w ten sposób przygotowuje swoją ofiarę przed konsumpcją. Kunicki co prawda raczej nie zamierzał go zjeść, ale zamordować – kto go tam wie?

– Sze...szefie? – odezwał się nieśmiało grubasek, upatrując ratunku w dialogu.

W filmach zwykle ten trik się sprawdzał i dało się przesunąć moment egzekucji aż do przybycia odsieczy.

Kunicki milczał. Już nawet sapać przestał, od czasu do czasu tylko sobie westchnął, ale jakby lżej niż wcześniej. Wąły powoli tracił nadzieję na ratunek i ze wszystkich sił starał się przypomnieć sobie, jak szło wyznanie grzechów, ale zdołał przywołać jedynie „więcej grzechów nie pamiętam” i chyba coś tam było o żałowaniu za nie. No żałował, a jakże! Zwłaszcza za te, których nie pamiętał, bo musiały być najcięższe, skoro postanowił o nich zapomnieć.

– Mamy tam kogoś? – szepnął nagle Mikołaj, wytrącając Wąłęgo z religijnej zadumy.

– Tak, szefie, Sylwka mamy, znaczy Bidula – potwierdził natychmiast grubasek. – Od niego wiemy o tej policji i w ogóle.

– Bidula? – zdziwił się szczerze Kunicki. – A co on tam robi?

– Do matki wyjechał, z pół roku temu. Nie mówiłem szefowi, bo okoliczności nie sprzyjały, a Bidul i tak urlop wziął bezpłatny, żeby się tą

swoją matuchną schorowaną zająć. To w sumie on nam ten zamek podpowiedział, bo znał go z dzieciństwa i mówił, że tam pies z kulawą nogą nie zagłąda.

Mikołaj przypominał sobie jak przez mgłę, że rzeczywiście to Bidul wskazał opuszczony zamek nienależący do nikogo jako idealne miejsce do ukrycia zwłok, które miały pozostać ukryte na wieki wieków. On sam się tym wtedy nie interesował, przebywał bowiem „na zwolnieniu chorobowym”, a poza tym zarządzał przecież całkiem pokaźnych rozmiarów korporacją i nie był w stanie pilnować każdego zadania. Od tego miał swoich kapitanów. Takich jak choćby Wąty.

– Niech wszystkiego pilnuje. A ty, Wąty, sporządzisz dla mnie teraz notatkę służbową z tego zdarzenia, a następnie wyjaśnisz doktorowi, że z twojej winy nie byłem w stanie zrobić dziennej normy kroków, gdyż ciśnienie wzrosło mi tak niewyobrażalnie, że musiałem spędzić resztę dnia w pozycji leżącej. Może być w bocznej leżącej, ale na pewno w poziomie!

Wąty bez wahania zapewnił, że polecenia wykona w podskokach, i skorzystał z chwilowej dobroci swego dona, natychmiast czmychając. Kunicki tymczasem poprawił skarpetkę na lewej nodze, ta bowiem zsunęła się nieco i była krótsza od drugiej o półtora centymetra, co godziło w poczucie estetyki szefa największej zorganizowanej grupy przestępczej w kraju nad Wisłą. Byłego szefa, czy też byłej grupy, należałoby w tym miejscu podkreślić, ponieważ od ponad roku Mikołaj Kunicki z powodów osobistych i zdrowotnych musiał zaprzestać prowadzenia działalności, co uczynił tym chętniej, że policja objęła go programem ochrony świadków. Cierpiała na tym jego miłość do podróżowania. Miał tkwić zamknięty w podwrocławskiej willi należącej niegdyś do któregoś z generałów Trzeciej Rzeszy do czasu, aż załatwił mu nową tożsamość, w tym facjatę, co miało gwarantować zmniejszenie prawdopodobieństwa śmierci z rąk wrogów, których zdołał sobie naprodukować na pęczki, jeśli nie na kopy. Albo i grosy nawet.

Czuąc nadchodzący atak migreny, Kunicki udał się do swojej sypialni, w której całymi dniami panowały egipskie ciemności dzięki atramentowoczarным grubym kotarom, i tak jak stał, w jedwabnym szlafroku i filcowych mokasynach, położył się do łóżka. Zasnął natychmiast, zanim głowa rozboleła go na dobre. Myśl o znalezisku w zrujnowanym zamku zatrzęsła w szufladce niepamięci, zgodnie z zaleceniami psychiatry, z którym od roku pracował nad samoakceptacją i poprawianiem charakteru. Odkopany trup stanowczo nie znajdował się w scenariuszu terapii i intuicja podpowiadała Mikołajowi, że tak powinno zostać.

## Rozdział VI. Mistrzowie oralnej rozkoszy

Wiadomość o temacie przewodnim konkursu kulinarnego zdenerwowała Śródkę na tyle, że pokrzyczała na Bogu ducha winnych kucharzy, zasyczała kilka razy na Michela (on akurat sam się prosił, a nawet masochistycznie stwarzał ku syczeniu okazje), a potem jej przeszło. Normalna zdrowa kobieta – wścieknie się, wyrzuci z siebie jad i wszystko wraca na właściwe tory. W jej przypadku powrót na właściwe tory oznaczał uruchomienie wysokich obrotów i niezwłoczne przystąpienie do pracy.

– Charles, wsiadaj do furmanki i jedź natychmiast do Wedla na Zamoyskiego<sup>1</sup>. Kup wszystko, co mają w temacie wielkanocnym – rozkazała, zanim jeszcze krzyżówka została skończona.

– Ale jak wszystko? Całą fabrykę mam kupić? – Cukiernik wystraszył się nie na żarty, bo rzeczywiście Wielkanoc zbliżała się wielkimi krokami, a Wedel korzystał z tego samego kalendarza i pewnie już wszystko przypominało tam puchate króliczki, kurczaczki i pstrokate jajka.

– Cholera, masz rację – zreflektowała się Śródką. – To kup po trochę z każdego sortu, później wybierzemy.

– Ekhm – chrząknął Michel tuż nad ramieniem Agaty, zjawiając się nie wiadomo skąd i kiedy. – A chociaż wymyśliłaś, które jajo zamierzasz heplikować?

– Nie, nie wymyśliłam – burknęła, odrobinę urażona, ale bardziej zaskoczona jego nagłą obecnością. – A co?

– No bo wiesz... – zaczął Michel, po czym urwał teatralnie, co w ogóle nie pasowało do jego ekspansywnej osobowości, która nie pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek wahania ani tym bardziej niepewność.

– Coś tam wiem – odrzekła odruchowo Agata, zajęta zapisywaniem pomysłów na kartce. – A konkretnie co masz na myśli?

Konsjerż oparł łokcie na blacie obok kartki, na której Śródka stawiała rzędy okrągłych literek, i ujął brodę w dłonie. Wypiął się przy tym tak nieprzyzwoicie, że stojąca z tyłu Madeleine skrzywiła swoją ładną buzię.

– No bo wiesz... – powtórzył, nadając głosowi zupełnie nienaturalną miękkość. – Moja mama jest ahtystką.

– To akurat wiem doskonale – odparła oschle Agata. – Ale nie ona jedna. Dzisiaj każdy może być artystą, jakbyś nie zauważył.

– Ale moja mama jest phawdziwą ahtystką. Wykształconą! – zaproponował Michel z emfazą. – I ona się zna na sztuce. A jaja Fabergé *c'est son petit cheval*<sup>2</sup>.

– Konik sronik. A może kobyłka? – wyzłośliwiała się Agata, która nie znosiła matki Michela w stopniu nieporównywalnym do niczego.

No, może podobnymi uczuciami darzyła drugą żonę swojego byłego męża, ale Grażynka już śpiewała z chórami anielskimi, więc uczucia Agaty do niej nieco przygasły. Tymczasem Delfina Blanc była wciąż żywa i irytująca, nawet w opowieściach syna.

– A co, może tylko tobie wolno być sławną i henomowaną? Tylko dlatego, że pothafisz lepiej od innych zupę posolić?

Miłość Michela do matki nosiła znamiona, bardzo wyraźne znamiona, toksyczności. Spijali sobie z dzióbków, zazdrośnie strzegąc tej miłości, żeby nikt nie zanieczyścił jej swoją obecnością. I nigdy, pod żadnym pozorem, nie pozwalali na jakąkolwiek krytykę.

– Oesu, przestań już jocyć, ja cię grzecznie proszę. – Śródka przewróciła oczami, wciąż zajęta zapisywaniem niezrozumiałych dla nikogo poza nią ciągów słów. – Skoro już musisz do tego mieszać tę swoją matulę, to niech ci będzie. Niechętnie, ale przyzwalam.

Michel rozpromienił się natychmiast i nieomal przytulił Agatę, zorientował się jednak szybko, że to byłoby zbyt wiele i jego honor prawdopodobnie by tego nie udźwignął. Obrócił się więc na pięcie,



zostawiając czarną smugę na matowym kaflu posadzki, po czym dumnym krokiem wymaszerował z kuchni.

Dopiero gdy drzwi się za nim zamknęły z głośnym szczękiem klamki, kucharze siedzący dotąd jak trusie odważyli się odezwać. Pierwszy zabrał głos Charles, gotowy wyruszyć do Warszawy zgodnie z poleceniem szefowej.

– Serio chcesz porady od tej upiorniejszej wersji Michela?

– Jakoś przetrwam, będę piła dużo melisy. – W głosie właścicielki pałacyku nie było ani krztyny złośliwości.

– Melisa może nie wystarczyć, załatwię ci xanax – zaoferował z troską Jacques, którego szwagier był psychiatrą.

– To już lepiej arsenik albo inny cyjanowodór – podpowiedział Pierre. – Dla Delfiny, nie dla ciebie, Agato – doprecyzował szybko, oblewając się purpurą.

– No dobra, to ja lecę – poinformował cukiernik, zgarniając kartkę z rąk Śródki. – Będę najszybciej, jak się da, chociaż z tej fabryki Charliego ciężko wyjść z własnej woli.

– Jedź już, zanim Agata zacznie żałować, że nie wysłała tam Michela – poradziła Madeleine, mrugając porozumiewawczo do Śródki. – A tak przy okazji to jak się ten cały szoł ma nazywać? – zapytała szefową.

– Yyy, no, to ma być... *Merde!* Nie mam pojęcia! – zmartwiła się filigranowa celebrytka. – Ty masz rację, Madeleine, przecież ja nie mogę wystąpić w żadnym *Z kociółkiem ci do twarzy* albo *Królowa kotleta*. To by była kompromitacja!

– Albo *Ogórki, rurki i bzdurki* – dorzucił Pierre.

– *Wyliż mą patelnię* – podpowiedział uczynnie Antoine.

– Mam! *Mistrzowie oralnej rozkoszy!* – wrzasnął Jacques, mistrz rozkoszy szaradziarskiej, któremu prawdopodobnie właśnie przytępiło zmysł wyczucia i dobrego smaku.

Agata Śródka zamarła na środku kuchni i widać było, że trzyma się wyłącznie siłą woli wspomaganą grawitacją, bo z jej twarzy momentalnie odpłynęła cała krew. Madeleine stłumiła wybuch śmiechu, gryząc się w przedramię, Pierre zatkał usta ręką w przezroczystej lateksowej rękawiczce, jednak szybko zmienił dłoń na drugą, bo lateks nagle źle mu się skojarzył, a Antoine mrugał oczami, jakby chciał w ten sposób odpędzić usłyszany przed chwilą koszmarek, który właściwie był niewiele gorszy od jego pomysłu. Do Jacques'a natomiast chyba właśnie dotarło, że owe oralne rozkosze wyszły z jego własnych ust, i starał się zapaść pod ziemię, wykorzystując tę samą siłę woli, która trzymała Śródkę w pionie.

– Wiecie co... – wyszeptała Agata po dłuższej chwili milczenia. – Albo nie. Nie chcę teraz z wami gadać. Uznam, że tej rozmowy nie było, a jak tu wrócę, za jakąś godzinę najwcześniej, to życzę sobie zastać z powrotem moich kulturalnych, najlepszych w swoim fachu kucharzy zamiast bandy zboczeńców i dewiantów, którzy chcą ze swojej pracodawczyni zrobić gwiazdę taniego porno.

Żaden z dewiantów i zboczeńców nie śmiał nawet pisnąć, skinęli tylko zgodnie głowami i ze spuszczonym wzrokiem wrócili do swoich obowiązków.

Przed wyjściem z kuchni Agata przypomniała sobie o czymś jeszcze.

– I prosiłabym, żebyście pod żadnym pozorem nie wymyślali nazwy dla pałacyku – rzuciła tonem suchym i ostrym niczym pieprz kajeński.

Mijając recepcję, wciąż słyszała w głowie „wyliż mą patelnię” i „oralne rozkosze”, przez co zupełnie straciła czujność i kompletnie zignorowała Michela rozmawiającego przez telefon na kanapie przeznaczonej dla gości, w pozie przypominającej Psyche budzoną pocałunkiem Erosa. Pozę tę przyjmował wyłącznie wówczas, gdy przekomarzał się z matką na temat tego, które z nich kocha to drugie bardziej. Tradycyjnie także rozmowę z jedyną kobietą, którą kochał, zakończył słowami: *Bye-bye maman. Et pas de mecs!*<sup>3</sup>.

## Rozdział VII. Kiła i mogiła do spółki z syfem

Podkomisarz Marcin Miziacz o znalezieniu zwłok na terenie zamku dowiedział się w czasie zasłużonego wypoczynku na Wyspach Kanaryjskich, a dokładniej rzecz biorąc, gdy zjeżdżał z zabójczo wysokiego The Tower of Power w Siam Parku na Teneryfie. Jego nowoczesny smartwatch zaczął warczeć, mrugać na niebiesko i wydawać z siebie dźwięki zwiastujące nieszczęście.

Po siedmiu sekundach mrozącego krew w żyłach spadania, bo inaczej się tego nazwać nie da, lekko roztrzęsiony Miziacz wyszedł z wody i wytarł ręcznikiem tarczę zegarka. Ikona koperty informowała o nadejściu wiadomości, którą natychmiast otworzył.

*Sorry, szefie, musisz wracać. Trup w zamku, syf, kiła i mogiła.*

Wiadomość pochodziła od sierżanta Żabki, jego podwładnego, który sam nie grzesząc urodą, zdawał się całym swoim dwudziestodwujętnym jestestwem podziwiać Miziacza jak greckiego herosa. No bo, tak z grubsza rzecz biorąc, jak tu nie podziwiać? Czterdzieści trzy lata na karku, ale wygląda maksymalnie na trzydzieści osiem, ciało muskularne jak u Brada Pitta w *Troi*, włos gęsty i zawsze stylowo przycięty. Oczy niebieskie niczym niezapominajki na wiosennej łące, sześciopak na brzuchu, usta jak maliny, zęby bielsze niż mleko. „Tak – myślał Marcin Miziacz, przeglądając się w tafli wody – jesteś, bracie, piękny”.

Podobnego zdania musiały być przechadzające się po parku rozrywki młode kobiety w bikini, które rzucały w stronę muskularnego blondyna bardziej lub mniej ukradkowe spojrzenia. I z pewnością, gdyby nie wiadomość w zegarku, któraś z nich dostąpiłaby zaszczytu spędzenia nocy z tym polskim Adonisem. Niestety kiła i mogiła do spółki z syfem miały w tym wypadku pierwszeństwo.

Poza posagową urodą i wyjątkową pewnością siebie podsycaną wybuchami samozachwytu Marcin Miziacz miał także sporo szczęścia. Tym razem bardzo się ono przydało, pomogło mu bowiem rzutem na taśmę zarezerwować czarterowy lot z Aeropuerto de Tenerife Sur Reina Sofía do Wrocławia i w dodatku zdążył na niego bez większego trudu. Żał mu było jedynie straconej okazji wspięcia się na wulkan Teide, którą to atrakcję zaplanował na następny dzień, no ale służba nie druźba i na niektóre rzeczy nie ma się wpływu. Na ludzi też nie zawsze, zwłaszcza na tych martwych, którzy miewają brzydką tendencję do pojawiania się w dziwnych miejscach w zupełnie niewłaściwym czasie.

Trwający niemal sześć godzin lot zaczął się turbulencjami, obfitował w turbulencje w trakcie, a na koniec zaserwował turbulencje jakości premium, co Miziacz przyplącił mdłościami trwającymi jeszcze długo po tym, jak na nogach drżących niczym po The Tower of Power wydostał się z tego najbezpieczniejszego środka transportu. Wsiadłszy z ubera, nie miał siły pomyśleć nawet o kąpieli, cud, że udało mu się doczłapać do łóżka, na które padł jak długi i zasnął natychmiast. Zdążył tylko postanowić, że z kolejnym lotem do Afryki chwilę się wstrzyma. Dłuższą chwilę, kilkumiesięczną co najmniej.

Obudził się tuż po wschodzie słońca i przez kilka minut wciągał żółtko, jak mawiała jego babcia, kiedy Marcin był jeszcze Marcinkiem i bardziej niż Johnny'ego Bravo przypominał Kevina zostawionego samego w domu na Boże Narodzenie. Gdy wszystkie neurony zaczęły działać w pełnym zakresie, dotarł do niego powód przedwczesnego powrotu z wakacji na rajskiej wyspie i Miziacz skrzywił się z niezadowoleniem. Trup. Cholerny trup, a do tego syf i kiła. Tak wynikało z wiadomości od Żabki, cokolwiek by to mogło znaczyć.

Trzy kwadransy później podkomisarz był już w drodze na miejsce znalezienia zwłok, które to miejsce do tej pory kojarzyło mu się głównie z... Właściwie z czym mu się kojarzył zamek w Roztoce? Z beztroskimi

zabawami w dzieciństwie? Plądrowaniem opuszczonych komnat? Strzelaniem z procy do pozbawionych szyb okien? Chyba tylko z tym, nigdy szczególnie nie zastanawiał się ani nad historią budowli, ani nad jej losami, które z pewnością musiały być interesujące.

– Dzieńdoberek panom – zawołał, zbliżając się do ekipy pracującej w otoczonym biało-niebieskimi taśmami ogrodzie. Choć „pracująca” było określeniem stanowczo na wyrost.

Czterej mężczyźni w wieku od dwudziestu kilku do czterdziestu paru lat palili papierosy i popijali coca-colę z poręcznych czerwonych puszek. Dwóch było w mundurach, dwóch po cywilnemu – w granatowych dżinsach i czarnych koszulkach polo.

– Robota aż wam się pali w rękach – zażartował Miziacz. – Dobrze, że nie jesteście lekarzami, boby wam pacjent zszedł.

– Nie bój żaby, Miziu, ten już ani nie zejdzie, ani tym bardziej nie wejdzie, nawet gdyby był trochę mniej martwy.

Podkomisarz pochylił się nad dziurą w ziemi, którą ogradzały dodatkowe taśmy. Otwór o średnicy ponad dwóch metrów miał kształt leja zwężającego się ku dołowi. A na dnie leżały ludzkie zwłoki. W całkowicie niehumanitarnej pozie.

– Nie wyjęliście go? – zdziwił się Miziacz, nie mogąc oderwać oczu od widoku budzącego równocześnie ciekawość i obrzydzenie.

– A po co go było wyjmować? – odpowiedział jeden z mundurowych. – Z dziury i tak nie ucieknie, to mógł jeszcze jedną noc poleżeć.

– Szef zakazał – wyjaśnił młodzieniec w czarnej koszulce polo, o urodzie przywodzącej na myśl rybę.

Za owo skojarzenie odpowiadały przede wszystkim wyłupiaste, niemal przezrocyste oczy i dziwnie spłaszczona twarz, jak u karpia. Do tego chorobliwie jasna cera i włosy w kolorze słomy nie czyniły chłopaka ani trochę przystojniejszym.

– Przykryliśmy otwór płachtą termiczną, zabezpieczyliśmy deskami i czekaliśmy na ciebie. Ale sesja była! – poinformował, jakby na usprawiedliwienie.

– A była, była, w wersji *sauté*, tudzież *au naturel*, jak wolisz. Z *full make-up* zrobią mu w Ostatniej Posłudze – zarechotał mundurowy z papierosem wystającym spomiędzy zębów.

Miziacz skrzywił się nieznacznie, jeszcze bowiem nie zdołał przywyknąć do tych niewybrednych żartów. Otrząsnął się lekko, po czym zrobił krok w tył i zamknął na chwilę oczy, jakby starał się odgrodzić kurtyną powiek od wstrząsającego znaleziska.

– Właściwie to dlaczego mnie tu ściągnęliście, skoro wszystko jest pod kontrolą? – zainteresował się nagle podkomisarz, nie znajdując żadnego powodu, dla którego przerwano jego urlop.

– Polecenie prokuratora – wyjaśnił Żabka i natychmiast uciekł wzrokiem w kierunku parku.

– A gdzie prokurator? – drążył Miziacz.

– W pałacu, z właścicielką kawę pije – odparł cicho rybi młodzieniec. – I czeka na raport. Od ciebie.

– Co?! To żart jakiś?! – Miziacz spojrział na chłopaka wzrokiem, z którego strzelały iskry. – My tu mamy harować, a on sobie kawkę popija?

– Miziu, nie denerwuj się – uspokoił go starszy z mundurowych. – Widziałeś kiedyś, żeby Renata nie zaczęła dnia od kawy?

Na hasło „Renata” podkomisarz Marcin Miziacz poczuł w żołądku dokładnie to samo co dzień wcześniej w samolocie. Renata Bujko-Wawrzyniak. Kierownik Działu Śledczego Prokuratury Rejonowej w Świdnicy, największa zołza branży prokuratorskiej, największy postrach przestępców powiatu świdnickiego i największa porażka w miłosnym *curriculum vitae* Marcina Miziacza. No tak, widocznie szczęście zostawił na Teneryfie, a teraz zacznie się prawdziwa jazda bez trzymanki.

Nie zdążył jednak nawet pomyśleć o kropce na końcu poprzedniego zdania, kiedy zza otoczonego rusztowaniami pałacu wyłoniła się smukła sylwetka kobiety ubranej w ołówkową spódnicę, marynarkę i wysokie szpilki, a serce podkomisarza podskoczyło do gardła.



## Rozdział VIII. To może ja jednak zadzwonię do szwagra

Dziesięć dni rzeczywiście minęło zbyt szybko, zwłaszcza że nagle zamieniło się w dni siedem, a to za sprawą rozpaczliwych telefonów od Katarzyny, która błagała, szlochając i wypłakując swoje niebieskie oczy, żeby Agata przyjechała wcześniej, bo cuda się tam dzieją i ona nie wytrzyma, a zaraz po tym, jak nie wytrzyma, to weźmie i się utopi w fosie.

Agata Śródka była z natury sceptyczką i niedowiarkiem, a przy okazji odczuwała potrzebę uzupełniania braków w wiedzy, zatem najpierw sprawdziła, czy przy zamku znajduje się fosa oraz czy faktycznie można się w niej utopić, i dopiero po potwierdzeniu obu tych informacji zgodziła się na przyspieszenie przyjazdu. W poprzedzającym go tygodniu przeprowadziła trzycyfrową liczbę prób wykonania jaja mającego udawać cacka wyprodukowane przez najbardziej znaną rodzinę syberyjskich jubilerów, w czym dzielnie sekundował jej Charles. Gwoli ścisłości: Charles po czterdziestej próbie uznał, że cel został osiągnięty i gratulował sobie oraz Agacie sukcesu, natomiast jego wymagająca i wściekle ambitna szefowa potrzebowała do tego kolejnych siedemdziesięciu dwóch prób.

Mniej więcej w okolicach próby numer osiemdziesiąt Śródka zorientowała się, że gęstość masy, kształt, wielkość oraz grubość ścian jaja opanowała już do perfekcji i jest w stanie wykonać je nie tylko z zamkniętymi oczami, ale nawet jedną ręką. Co tam jedną ręką! Podskakując na jednej nodze, też dałaby radę. Kolejne sześćdziesiąt dwie próby przeznaczyła zatem na szukanie najodpowiedniejszego wykończenia, a z tym problemów było znacznie więcej. Największy stanowiło ustalenie, które z licznych dzieł sztuki powinna skopiować.

Niepomna poprzedniej sytuacji, która zakończyła się niezamierzoną pornografią słowną, Agata poprosiła swoich zaufanych pracowników o pomoc w wyborze wzoru do wykończenia jaja.

– Ja to bym chciała to z konwaliami – wzdychała Madeleine pochylona nad przepiękną monografią Michała Szymańskiego poświęconą jajom Fabergé. Pokryte unikalną różową emalią guilloche w dyskretny geometryczny wzór, stojące na złotych nóżkach bogato inkrustowanych brylantami i otulone gałązkami konwalii o kwiatach z pereł, jajo nawet na zdjęciu zapierało dech w piersiach.

– No, piękne to ono jest – przyznała Agata, która, tak jak caryca Aleksandra pieszczotliwie zwana „Alik”, do koloru różowego miała sentyment szczególny i rzeczywiście to konkretne cacuszko stworzone przez Michała Perchina na początku 1898 roku skradło jej serce.

– Pstokate, aż zęby bolą – stwierdził Jacques, zerkając na fotografię nad ramieniem Madeleine. – To z okrętem zrób!

„To z okrętem”, czyli jajko z miniaturą okrętu Pamięć Azowa, wykonane z ciemnozielonego heliotropu, ozdobione złotymi ornamentami rocaillowymi w stylu rokokowym i inkrustowane diamentami, zdecydowanie miało prawo podobać się mężczyźnie. W jego wnętrzu znajdowała się niespodzianka w postaci kunsztownie wykonanej ze złota i akwamarynu realistycznej miniatury krążownika Pamięć Azowa.

– Kościelne takie trochę. – Agata zmarszczyła brwi, co można było poznać po tym, że grzywka naszła jej na oczy. – Nie wydaje wam się?

– To przez te fiu-bździu chabazie – przyznał Antoine. – Takie barokowe rokokoko fikuśne.

– No, w sumie... – poparł go Charles, który cały czas obawiał się, że Agata zabierze go ze sobą i każe to fiu-bździu albo perłowe konwalie robić.

– Może znajdziemy coś mniej ozdobnego? Nie ma tam, Madeleine, jakiegoś prostego jajka, które wygląda jak jajko? Polać lukrem i fajrant?

– A ciebie to przypadkiem Bóg nie opuścił? – Śródka zgrzytnęła zębami i stuknęła obcasikiem beżowej szpilki o posadzkę. – Czy ja, za przeproszeniem, jestem jakaś tam byle cukiernica?! Żebym sobie pomaziała czekoladę lukrem i była z siebie dumna?!

Charles zadrżał, zdawszy sobie sprawę, że niechcący wypłynął na bardzo niebezpieczne wody, i przeklął w myślach własną głupotę. Z rezygnacją zaczął godzić się z tym, że za karę zaraz będzie musiał się spakować i pojechać do tego cholernego zamku, kiedy wydarzył się cud. Albo katastrofa – zależy, kogo by o to zapytać.

– *Mon Dieu*, nie wierzę, że to mówię, ale zgadzam się z panią Śródką. – Dźwięczny i niezwykle przyjemny dla ucha damski głos rozległ się nagle, wywołując u obecnych w kuchni osób całe spektrum emocji. Agata Śródka się zatchnęła, Madeleine poczuła lodowate zimno w kręgosłupie, Charles oniemiał z ulgi, Pierre schował się za plecami Antoine’a, którego serce tłukło się jak młot kowalski, a Jacques’owi motyle zaczęły latać w okolicach podbrzusza.

– Co pani tu robi, pani Delfino? – zapytała Agata, odzyskawszy zdolność mówienia i oddychania w jednym czasie.

– Hatuje ci skórę! – wykrzyknął radośnie Michel, wpadając do kuchni z ogromną walizą. – Przecież zgodziłaś się, żeby *maman* ci pomogła dokonać wybohu!

– A telefon nam odcięli, czy co?! – syknęła Śródka, ciskając wzrokiem gromy na swojego konsjerżę, którego mina zdradzała absolutny brak świadomości ciskania w niego gromami.

– Czy moja obecność pani przeszkadza? – W odpowiedzi odezwał się ten sam damski głos, przyprawiony nutą zniecierpliwienia i może nawet szczyptą urazy.

Wydobył się z ust wysokiej i wyjątkowo szczupłej kobiety z sięgającymi łopatek kasztanowymi włosami i oczami w kolorze łupiny orzechów włoskich, które okalała firana gęstych rzęs. Ciemnoróżowe usta ściągnęła w dzióbek, a między brwiami pojawiła się lwia zmarszczka, nadając zadbanej twarzy surowy wygląd.

– To zależy – odparła Agata, siląc się na uprzejmość, choć tylko jej się wydawało, że wysiliła się odpowiednio mocno. – To zależy, co jest celem

pani dość... Pani bardzo niespodziewanej wizyty, pani Delfino.

– Niespodziewanej? – Kobieta niemal się zachłysnęła. Jej zaskoczenie było zupełnie autentyczne. – Michel, *mon amour*, a cóż to ma znaczyć?!

– To może znaczyć tylko jedno, *maman* – wycedził konsjerż, nie mniej zdumiony niż jego *maman*. – To znaczy, że Agata Śródka zwahlowała już zupełnie ze stałości i zgorzkniała z bhaku mężczyzny.

– No chyba ty! – wyrwało się Agacie, choć z tym drugim wewnątrz się zgadzała. W końcu jest kobietą i ma swoje potrzeby. Co wcale nie daje bezczelnemu Michelowi prawa do takich wypowiedzi. – Skoro już wytykamy sobie wiek, to twoja szanowna matka jest ode mnie starsza. – Uniosła z dumą brodę i spojrzała na twarz Delfiny Blanc, która to twarz w najmniejszym stopniu nie zdradzała wieku. – Chociaż skutecznie to ukrywa – dodała ściszym głosem.

– Nikt pani nie zabrania korzystać z dobrodziejstw medycyny estetycznej – ripostowała matka Michela. – Ja bym nawet radziła zająć się tymi kurzymi łapkami, bo uroku to pani nie dodaje. A starsza jestem zaledwie o rok, i to niecały, droga pani Agato.

Śródka była doskonale świadoma tak kurzych łapek wokół swych zielonych oczu, jak i tego, że Delfina Blanc była od niej starsza zaledwie o dziesięć miesięcy, choć z powodzeniem mogłaby uchodzić za siostrę Michela. Agata ostatecznie też nie wyglądała jak od macochy, w końcu od lat żyła na świeczniku, jednak od rozvodu z Robertem zaniedbała się nieco, a to dodatkowo wzmagало jej frustrację. I teraz to babsko o wyglądzie Julii Roberts jeszcze jej to wytyka!

– Dziękuję za radę, doceniam – odparła z największą godnością. – Jednak chciałabym się dowiedzieć, jaki dokładnie jest cel pani wizyty. Wpadła pani przejazdem?

Przy nodze Michela stała sporych rozmiarów waliza z pewnością należąca do któregoś z członków rodziny Blanc, sądząc po snobistycznym logo, którym upstrzony był materiał pokrywający sakwojaż.

– *Mais non!* – Delfina roześmiała się perliście. – Michel powiedział, że potrzebuje pani eksperta od Fabergé, *et voilà!* Jadę z wami do zamku!

– To może ja jednak zadzwonię do szwagra – wybąkał Jacques półgębkiem, kiedy twarz Śródki przybrała wyraz zastygłej w przerażeniu maski.

## Rozdział IX. Do brzegu, Wąty, do brzegu

Sprawa z odkryciem zwłok, które miały pozostać nieodkryte, chyba że wydarzyłby się cud rodzaju biblijnego, nie dawała Mikołajowi Kunickiemu spokoju. Objawiało się to głównie powrotem bezsenności i coraz wyraźniejszymi oznakami epizodu depresyjnego.

– Ale czemu szef się tym tak denerwuje, szefie? – pytał Wąty, zabielając kawę swego bossa kleksikiem mleka zgodnie z upodobaniem Kunickiego.

– Czemu, czemu! – przedrzeźniał prosiakowatego chłopaka rozdrażniony z niewyspania Mikołaj. – A temu, Wąty, że mieliśmy zamknąć interes, ukryć wszystkie dowody, o których wiemy, i te, o których nie wiemy, i przejść na jasną stronę mocy. Ty myślisz, że ja dla własnej przyjemności tu siedzę zamknięty jak chomik w akwarium?

– W klatce chyba – poprawił go rosły brzydal. – W akwarium to żółwia można...

– Patrzcie go, ekspert od zoologii się znalazł! – parsknął ze złością odziany w jedwabny szlafrok żyłasty dżentelmen. – Ty mi lepiej wytłumacz, dlaczego tego typu w tym zamku ukryliście. To już bliżej nas kwatery się skończyły?

– Nooo... – Wąty przygryzł wargę i zmarszczył brwi. – Mówiłem już, że to Bidul wpadł na ten pomysł, jak do swojej matuchny musiał się przeprowadzić.

– Jakoś sobie nie przypominam, żebyście tak każdego z kolegów po Polsce obwozili z dobrego serca. Ja ci radzę, Wąty, przestań kręcić i mów jak na spowiedzi, zanim ja się sam dowiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Wąty doskonale wiedział, że Kunicki słów na wiatr nie rzuca, i wcale nie w smak mu było sprawdzać, czy po przejściu na jasną stronę mocy przestał hołdować dawnym zasadom panującym w „firmie”. O tym, jak kończyło się nieprzestrzeganie regulaminu Kunickiego, przekonał się ten,

którego doczesną formę cielesną znaleziono na terenie zamkowego ogrodu w płytkim grobie o kształcie leja.

– No dobra, przyznam się... – Grubasek z ospowatą twarzą spuścił wzrok, bardziej ze wstydu niż ze strachu. – Pamiętasz, szefie, jak przez kilka tygodni leżałeś, gapiłeś się w sufit i smarkałeś w rękaw?

Kunicki omiół Wątlego pozbawionym wyrazu wzrokiem. Nie skrzywił się, nie zmarszczył, nie drgnął mu ani jeden mięsień na twarzy – nawet te, które nie przyjmowały dawki toksyny botulinowej, pozostały nieruchome.

– To się nazywa epizod depresyjny, debilu skończony, ale przecież ty i tak tego nie zrozumiesz, więc niech ci będzie, że może pamiętam – odparł beznamiętnie.

– No, to jak szef był w tym swoim... epizodzie, to myśmy postanowili pomóc Bidulowi się przeprowadzić, co nie? I wtedy on nas do tej swojej wiochy zaprosił, ładnie tam nawet jest, bliskość natury i w ogóle... – Wątki się rozmarzył, a na jego obliczu wykwitł uśmiech, który sprawił, że brzydka, nalana twarz wyglądała jak pęknięty w połowie naleśnik.

– Do brzegu, Wątki, do brzegu – warknął Kunicki.

– Rzeka też tam jest całkiem ładna i nawet żeśmy myśleli, że można by ją wykorzystać – zachichotał grubasek, ale natychmiast się zmitygował pod lodowatym spojrzeniem pryncypała. – Znaczy do brzegu, dobra, już płynę. Jak już Bidula umieściliśmy w domu i załatwiliśmy jego matuli sprawunki z Ikei, to żeśmy poszli obejrzeć okolicę. No, wie szef, jak na bezrobociu człowiekowi się nudzi, to nawet i po parkach się szlaja z braku laku.

Kunicki wciąż panował nad mimiką, jednak zęby powoli zaczęły mu zgrzytać, co przy jego bruksizmie było wybitnie niepożądane. Wątki, choć do geniusza stanowczo było mu daleko, zorientował się jednak, że trochę strunę przeciągnął.

– Sorry, szefie, już mówię, staram się panować nad tym moim gadulstwem, ale nie zawsze mi wychodzi. Ja wcale nie specjalnie, jak bum-cyk-cyk! – Grzmotnął się w tłuśną pierś pięścią wielkości piłki do

szczypiorniaka. – Bidul zaprowadził nas do tego zamku, co to nam o nim tyle mówił wcześniej, że taki niby piękny i wielki, i tajemniczy. Poszliśmy, obejrzelśmy. Rudera jak rudera, niewiele to się wykończeniem od skłotu różni. I tu pustostan i tam pustostan, popisany, splądrowany i no, wie szef... – w tym miejscu Wąty zamyślił się głęboko, przeszukując przepaście swojego umysłu, żeby wyrazić się cokolwiek elokwentnie – ...pachnie raczej nieszczególnie.

– Do stu piorunów i tysięcy zajęcy! – wydarł się nagle Mikołaj, całkowicie ignorując zalecenia psychiatry, psychologa, neurologa i ortodonta. – Czy ja cię proszę, Wąty, o opis przyrodniczy albo twoje odczucia na temat wad i zalet opuszczonych dolnośląskich pałaców oraz ich walorów zapachowych?! Czy ja przypadkiem i zupełnie nieświadomie wyraziłem zainteresowanie urokami bezrobocia?! No wyraziłem czy nie?!

– Nie, nie wyraził szef – przyznał chłopak ze skruchą.

– To po kiego grzyba ty mi tu rozprawiasz o śmierdzących ruinach, skoro ja chcę się dowiedzieć, dlaczego wy, idioci zafajdani, trupa akurat tam postanowiliście pochować?

– Żeby go nie wozić – odpowiedział ledwo słyszalnym szeptem Wąty.

– Ja cię pier...niczę! – sapał Kunicki, rwąc kępki rzadkich włosów z głowy. Po botoksie na czole już ślad nawet nie został, tak bardzo je zmarszczył. – Albo ty wreszcie powiesz mi, co tam się stało, albo ja sobie zrobię przerwę od przerwy w biznesie i... Ty już wiesz, co wtedy.

– No ale to ja muszę szefowi wszystko od początku powiedzieć. Z tym parkiem, z ogrodem, z tymi ruinami i z tym jajem. – Łzy w oczach grubasa były całkowicie autentyczne, a głos zaczął mu się łamać i momentami wchodził w bardzo wysokie rejestry.

– Z jajem? Z jakim znowu jajem?! – Kunicki zastygł jak pies myśliwski, który zwęszył trop. – Z moim jajem?!

– No.



– Z moim jajem, które zniknęło razem z Osobą, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć?!

– No...

– A co moje zaginione jajo ma wspólnego z cholernymi ruinami cholernego zamku?!

– No właśnie to usiłuję szefowi wyjaśnić, tylko tak jakoś mi nie wychodzi, bo szef mi ciągle przerywa.

Tego dnia Wąty powinien był zagrać w totolotka albo chociaż pójść do kasyna, bo szczęście sprzyjało mu niebywale. W normalnych okolicznościach Mikołaj Kunicki chwyciłby coś ciężkiego i wyrzucił chłopaka na oślep, a potem jeszcze kazał podłogę umyć, gdyby ją zachlapała krew. Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło, a ubrany w jedwabny szlafrok mężczyzna o wyjątkowo szczupłych łydkach porośniętych wyjątkowo gęstymi czarnymi włosami i odzianych w wyjątkowo wysoko podciągnięte śnieżnobiałe skarpetki wziął trzy głębokie wdechy, usiadł wygodnie w fotelu i splótł dłonie na brzuchu, a następnie jął kręcić młynka kciukami, wyraźnie dając znak, że oczekuje na rozwinięcie historii, w której całkowicie niespodziewanie pojawiły się dwa elementy: jajo oraz Osoba, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć.

## Rozdział X. Panowie w sprawie Maksymiliana?

Marcin Miziacz poczuł, jak jabłko Adama wciska mu się do gardła i usiłuje wyskoczyć ustami, w których zaschło mu identycznie jak w trakcie wycieczki do Luksoru wiele lat wcześniej. Brakowało tylko, żeby zaczął się pocić – akurat tego dnia miał na sobie błękitną koszulę, a plamy na plecach były stanowczo na samym końcu listy jego pragnień.

Długonoga kobieta zbliżała się do niego dostojnym krokiem, a jej biodra kołysały się ponętnie w rytm stukania obcasów. Kiedy od policjantów dzieliła ją odległość zaledwie trzech metrów, Miziacz wiedział już, że tym razem polegnie, zupełnie bowiem nie był przygotowany na to spotkanie. I jak zwykle w takich sytuacjach popisał się konkursowo.

– Klasa ubiór – wypalił. – W sam raz do pracy w terenie.

– Klasa maniery – odwdzięczyła mu się elegancka prawniczka. – W sam raz do podręcznika *savoir-vivre*'u.

Podkomisarz nic nie odpowiedział, bo musiał najpierw odpowiednio ukarać się w myślach za swoją wypowiedź. Renata Bujko-Wawrzyniak od lat, od zbyt wielu lat, budziła w nim ogromne emocje, najczęściej skutkujące jego popisem skretynienia. A przecież Marcin Miziacz wcale nie był kretynem, przeciwnie! Bez jego skrzącego intelektu wydział kryminalny pewnie wciąż goniłby w piętę i każdą sprawę oddawał do wojewódzkiej.

– Dzień dobry, pani prokurator. – Sierżant Leszek Żabka postanowił uratować resztki honoru swojego przełożonego i uśmiechnął się promiennie. – Miło nam panią widzieć.

– Najwidoczniej nie wszystkim, sierżancie – odparła ciepło i skinęła głową pozostałym funkcjonariuszom, starannie omijając wzrokiem Miziacza. – Czemu wciąż trzymacie ofiarę w tym dole?

– Czekaliśmy na podkomisarza – wyjaśnił jeden z mundurowych, wzruszając ramionami. – Właściwie to można by go już ekshumować,

technicy wszystko zabezpieczyli, a więc teraz tylko go zapakować i niech jedzie na stół.

– Doskonała konkluzja! – zaszydziła. – Ekshumujcie go zatem, a ja muszę zamienić słówko z waszym dowódcą. O ile będzie w stanie znieść mój nieodpowiedni strój.

– Oj, daj już spokój, Renata! – Miziacz próbował zachować hardość w głosie, ale wyszło mu raczej coś pomiędzy miauczeniem kota a rżeniem astmatyka. Przełknął kolejny blamaż i tym razem odpowiedział z pełną powagą: – Nie zdążyłem się jeszcze zapoznać z dokumentami, więc Żabka musi pójść z nami.

Prokuratorka wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać zarówno, że ma to w duszy, jak i że obecność Żabki zupełnie jej nie przeszkadza, po czym odwróciła się i ruszyła w kierunku, z którego przed chwilą przyszła. Miziacz zrobił gest głową, co sierżant o rybiej urodzie zrozumiał bez pudła, i obaj podążyli w ślad za urodziwą prawniczką. Pozostali policjanci wrócili do swoich zajęć, czyli zapalili kolejne papierosy, a następnie pogrążyli się w kontemplacji piękna wiosennej przyrody. Nawet groteskowo upchnięte zwłoki w dole o kształcie leja jakoś niespecjalnie psuły im nastrój.

Zbliżywszy się do zamku, Miziacz zerknął na wodę w fosie pokrytą glonami i zrobiło mu się smutno. Więcej niż wody było w tym miejscu butelek i śmieci, nawet but się znalazł. Czy może zgubił. Podkomisarz zastanawiał się przez chwilę nad tym, w jaki sposób można zgubić but w fosie, szybko jednak odegnał te myśli i ruszył za Żabką, który ewidentnie nie miał potrzeby głowienia się ani nad druzgocącymi skutkami działalności człowieka, ani nad niczym, co było niezwiązane ze śledztwem.

Tuż za fosą ubita ścieżka, którą zmiierzali ku frontowi budowli, zamieniła się w brukowaną alejkę, podkreślającą każdy krok eleganckiej prawniczki głośnym echem. Skręciwszy w lewo, dotarli na otwarty dziedziniec, przywołujący na myśl posiadłości brytyjskich arystokratów. Dawniej z pewnością były tu doskonale utrzymane klomby, a żywopłoty starannie

przystrzygano, dzisiaj jednak po splendorze pozostał jedynie niewyraźny zarys, a i ten wymagał od patrzącego użycia wyobraźni.

Miziacz rozejrzał się z uwagą, po czym zadarł głowę i spojrzął na elewację pałacu. Niewiele mu z tego przyszło, ponieważ firma wynajęta do restaurowania budynku nie zdążyła jeszcze zdjąć części rusztowań, które zasłaniały spory fragment ścian.

– Robi wrażenie – stwierdził Żabka tuż przy uchu podkomisarza, a zachwyty w jego głosie wibrowały radośnie.

– Robi – zgodził się Miziacz. – Wiadomo, kto to kupił?

– Ruski jakiś podobno, ale nie ma go w kraju.

– To kto nadzoruje ten remont?

– Narzeczona. Tego Ruskiego, znaczy, narzeczona. Katarzyna Jakimiuk – przeczytał z kartki, na której zapisywał chyba wszystko od podstawówki w myśl zasady ekologicznego wykorzystywania papieru. – Zaraz tu do nas przyjdzie, poszła po papiery dla Renaty.

– Rozsądna chociaż? – zapytał Miziacz, mając na myśli zupełnie inną kategorię niż zdrowy rozsądek.

– No... – Młodzieniec o oczach w kolorze wody źródlanej przygryzł wargę, gorączkowo myśląc nad sensowną odpowiedzią. – Taka więcej kobieca, zupełnie inna od naszej pani prokurator – skwitował cicho.

Miziacz już otworzył usta, żeby wyrazić radość z uzyskanej informacji, kiedy poczuł na sobie lodowaty wzrok. Renata Bujko-Wawrzyniak mroziła go spojrzeniem, jakby od tego zależało jej życie. Siedziała po drugiej stronie dziedzińca przy stoliku ustawionym pod sfatygowaną markizą i stuknęła wypielegnowanymi paznokciami w pokryty lakierem blat. Jej długie miedziane włosy spięte wysoko w koński ogon poruszały się pod wpływem delikatnych podmuchów wiatru.

– Może idźmy, podkomisarzu – poradził szeptem Żabka, kiedy zauważył napięte do granic możliwości mięśnie twarzy przełożonego. – I tak musimy to odbębnić, więc nie ma co odwlekać nieuniknionego.

– Filozof z ciebie, co, sierżancie? – wycedził Miziacz, nie odrywając wzroku od okularów przeciwsłonecznych zakrywających pół twarzy prokuratorki. Domyślał się, że pod ciemnymi szklami jej czarne oczy świdrują go, jakby chciały wypalić w nim dziury niczym w tarczy strzelniczej. – Gdyby miała broń, toby mnie pewnie zastrzeliła. Jak myślisz, Żabka?

– Bez wątpienia – przyznał chłopak, bo jakakolwiek próba zaprzeczenia temu truizmowi mijała się z celem.

Podkomisarz przełknął głośno ślinę, co niewątpliwie miało mu dodać odwagi, i ruszył do stolika. Żabka uczynił dokładnie to samo i w tej samej kolejności.

– Don Kichot i jego dzielny giermek – rzuciła kobieta, kiedy dwaj policjanci z minami zupełnie nieradosnymi usiedli do stołu. – A gdzie wasza Dulcynea?

– Z pewnością nie tutaj. Żadnej damy w promieniu kilometra nie zauważyłem. – Miziacz odzyskał już stabilność emocjonalną i mógł podjąć wyzwanie. – Możemy łaskawie zająć się pracą?

Renata parsknęła radośnie i zdjęła okulary. W jej oczach nie było widać ani śladu urazy, a jedynie rozbawienie.

– *Touché*. Sierżancie, proszę meldować – poleciła miękko.

Bez wątpienia nawykła do wydawania poleceń, potrafiła jednak robić to w sposób, który z poleceniami zupełnie się nie kojarzył.

Żabka rozpoczął procedurę rozkładania na stole zawartości kieszeni. Kartki, karteczki, karteluszeki, fiszki, świstki. Białe, żółte, brązowe, zielone, znalazła się nawet jedna różowa w kropki.

– Kupię ci porządny notes na urodziny – stwierdził Miziacz, krzywiąc się lekko. – Żebyś nie musiał więcej siostrze podbierać.

– A, to! Neeee – wyszczerzył się sierżant. – To nie od siostry, znalazłem na komendzie i tak mi się spodobała, że sobie przywłaszczylem. Notesy są

za duże, nie mieszczą się w kieszeni albo piją w... – Urwał nagle, zorientowawszy się, że przecież naprzeciwno ma kobietę. – Piją w ciało.

– Dobra, układaj to w jakąś całość i gadaj, nie będziemy tu do jutra siedzieć. – Miziacz ewidentnie nie czuł się komfortowo w sytuacji, w której się znalazł.

Pluł sobie w brodę, że nie zażądał raportu wcześniej. Może jednak z tą jego inteligencją nie wszystko jest w porządku?

– I czar prysł. Z ciebie, Miziacz, jest taki Don Kichot jak z ratlerka pies obronny. – Tym razem w głosie prokuratora zabrzmiało ostrzeżenie. – To nie jest w żadnym wypadku wina sierżanta, że nie przygotowałeś się do odprawy, więc bądź łaskaw nie wyzywać się na podkomendnym, albo skieruję na ciebie reflektor komisji do spraw mobbingu.

Biedny sierżant Żabka poczuł się trochę jak między młotem a kowadłem, bo z jednej strony piękna kobieta stanęła w jego obronie, z drugiej zaś ta sama piękna kobieta atakowała jego szefa, którego on, głównie z racji podległości służbowej, ale także w ramach doceniania atrybutów urody Miziacza, szanował i nawet trochę podziwiał. Oczywiście, że zdawał sobie sprawę z podszytych seksualnym napięciem gierk pomiędzy tym dwojgiem. Mało tego! Był granitowo przekonany, że ta nienawiść w końcu zaprowadzi ich do łóżka, tym bardziej więc nie mógł zdecydować, które z uczuć – wdzięczność czy lojalność – było teraz ważniejsze. Na szczęście los zdecydował za niego, choć nieco później Żabka musiał przyznać, że właściwie wolał już tę swoją alternatywę.

– O! – Dźwięczny damski głos przerwał męki sierżanta. – Nam się tu, widzę, przyjęcie towarzyskie szykuje. Nie wiedziałam, że spodziewa się pani gości, pani prokurator.

– Jacy tam z nich goście, pani Katarzyno... – Renata przewróciła oczami i uniosła lekko kąciki ust. – Sierżant Żabka i jego watażka, służbowo tu są.

– Ach, policja... – Korpulentna dama, nawet gdyby się starała, nie potrafiłaby ukryć zawodu w głosie. A nie starała się ani trochę. – Katarzyna

Jakimiuk, właścicielka pałacu. *Enchanté*. – Wyciągnęła pulchną dłoń i podsunęła ją pod nos Miziaczowi.

– Miziacz Marcin. Podkomisarz. Wydział kryminalny – wyrzucił z siebie jak karabin maszynowy, nerwowo potrząsając ręką kobiety. – A to sierżant Leszek Żabka, wydział ten sam.

– Panowie, jak rozumiem, w sprawie Maksymiliana? – zapytała w ramach podtrzymania sympatycznej pogawędki.

– Tak. – Miziacz skinął głową, ale natychmiast się zreflektował. – To znaczy nie! Jakiego znowu Maksymiliana? Pani zna ofiarę?

– Panie podkomisarzu, ofiar to ja znam na pęczki, zwłaszcza ofiar losu – wyjaśniła grzecznie Katarzyna. – W tym pięciu moich byłych mężów, ale wolałabym o nich nie rozmawiać. Chodzi panu z pewnością o tego ukatrupionego nieszczęśnika, którego jakiś katrupiciel pochował w moim ogrodzie?

– Zasadniczo o niego właśnie mi chodzi. A pani?

– Mnie też o niego.

– I on ma na imię Maksymilian? – drążył Miziacz, coraz bardziej skołowany.

– Nie wiem, jak ma na imię. – Katarzyna wzruszyła ramionami. – Ale żeby nie używać słowa „trup” ani „zwłoki”, nazwałam go Maksymilianem. Nie wydaje się panu, że wygląda na Maksymiliana? Po żebrach?

Miziacz rozdziawił paszczę w zdumieniu pomieszany z podziwem. Idiotka! Trafiła mu się prawdziwa idiotka z zadatkami na wariatkę! Rzucił okiem na Renatę, ale ta siedziała z kamienną twarzą i przeglądała kartki zapisane przez Żabkę. Sierżant zaś wbił wzrok w blat stołu i wyglądał, jakby wstrzymywał oddech. Rany boskie, co tu się dzieje?!

– Nie przyjrzałem się aż tak dokładnie – bąknął w końcu, całkiem nieświadomie przyjmując retorykę kobiety. – Jak dla mnie wyglądał na standardową ofiarę zabójstwa, a dopóki nie ustalimy jego tożsamości, będziemy go nazywać...

– Maksymilianem! – przerwała mu właścicielka pałacu. – I proszę bez zbędnych protestów, bo ja, panie podkomisarzu, mam sypialnię od strony ogrodu i te wasze taśmy wokół mogiły widzę od razu po przebudzeniu. A dla ludzkiego mózgu zdrowiej jest rano oglądać rzeczy sympatyczne niż niesympatyczne, więc ja swój mózg przekonałam, że ogląda Maksymiliana. Który jest górnikiem i dlatego siedzi pod ziemią, o!

Marcin Miziacz kilka lat już po tym najdziwniejszym ze światów spacerował, więc i różnych ludzi zdążył poznać, w tym wielu wariatów, a zatem wiedział, przynajmniej z grubsza, jak z nimi postępować. Naczelna zasada brzmiała: z wariatami nie dyskutuj, gdyż to grozi szaleństwem. Przyjął więc rozumowanie nie do końca zdrowej na umyśle Katarzyny Jakimiuk i zgodził się nazywać denata Maksymilianem do czasu, aż nie znajdą się dla niego lepsze personalia. Wzruszył lekko ramionami, co miało oznaczać niemą zgodę, po czym zabrakło mu pomysłu na rozpoczęcie właściwego przesłuchania. Przeczytanie raportów i przepytanie podwładnych to kluczowy element wstępu do śledztwa, a on go zlekceważył. I to w dodatku pod nosem Renaty Bujko-Wawrzyniak, przez funkcjonariuszy pieśczośliwie nazywanej RBW.

– Kawy? – odezwała się nagle gospodyni, ratując podkomisarza z opałów.

– Bardzo chętnie – ucieszył się Miziacz, a Żabka energicznie pokiwała głową.

Kiedy Katarzyna zniknęła w zamku, milcząca dotychczas prokuratorka odezwała się cicho:

– Zrobiła z ciebie konkursowego cymbała.

Podkomisarz zamrugał nerwowo, a z jego opalonej twarzy zniknął brązowy odcień.

– Że kto niby?

– Królowa Elżbieta II – parsknęła RBW i pochyliła się nad stołem. – Posłuchaj mnie, Miziacz, ta kobieta nie jest kretynką, nie boi się trupów



pod oknami, ona wykończyła pięciu mężów.

– Seryjna morderczyni?! – pisnął Żabka, wybałuszając swoje rybie oczy.

– Gdzie tam morderczyni, rozwódka! Ale tak się składa, że po każdym rozwodzie na jej koncie pojawiały się kolejne miliony, a teraz szykuje się do ślubu z rosyjskim oligarchą, który kupił jej ten zamek w prezencie zaręczynowym – szeptała Renata, patrząc Miziaczowi prosto w oczy. – Ty chyba nie sądzisz, że pierwsza lepsza kretyńka mogłaby osiągnąć taki status? Claudia Schiffer z niej nie jest.

– Claudia Schiffer może nie, ale żeby była podła, tobym nie powiedział – odparł całkiem szczerze podkomisarz. – Poza tym wygląd to nie wszystko.

– No i właśnie o tym mówię, ośle! Skoro nie na przymioty cielesne ich łapie, to musi mieć intelekt jak Albert Einstein, więc ty nie wierz w to jej zaklinanie rzeczywistości, tylko przesłuchaj ją na okoliczność znalezienia tego... Maksymiliana. Gwarantuję ci, że ona wie więcej, niż planuje nam powiedzieć.

– Chyba wiem, co mam robić – zachnął się urażony. – Nie musisz mnie pilnować, wracaj do prokuratury, a ja po południu złożę ci raport.

– Przecież ja ciebie wcale nie pilnuję, jeśli tego się obawiasz. Tak się składa, że moja ciotka ma się tu zjawić na otwarciu pałacu i chciałam sprawdzić, jak postępują prace. A że przy okazji znalazł się trup, przypisz to zbiegowi okoliczności.

Na temat zbiegów okoliczności w swoim życiu Marcin Miziacz mógłby napisać rozprawę doktorską. Gdyby nie bardziej lub mniej szczęśliwe przypadki, z pewnością nie zostałby policjantem, nie siedział teraz na dziedzińcu siedemnastowiecznego zamku i nie zastanawiał się nad tym, jakim cudem jego wielka miłość wzięła i zdechła, a kobieta, do której ową miłość odczuwał, bezgranicznie go nienawidzi.

Z bramy pałacu wyłoniła się Katarzyna Jakimiuk, niosąc tacę z trzema filiżankami. Postawiła ją ostrożnie na stole, przygniatając kartki z notatkami Żabki, i usiadła na krześle gotowa do rozmowy z władzą.

– Kiedy planuje pani otwarcie? – zagaił Miziacz, bo tylko to przyszło mu teraz do głowy.

– Za tydzień. I nie przewidywałam atrakcji w postaci trupa. *Pardon!* Maksymiliana – poprawiła się szybko. – Kiedy go zabierzecie?

– Dzisiaj. Możliwe, że już go zabierają. – Żabka zamoczył usta w kawie i syknął. – Gorąca!

– Nic pan nie mówił, że życzy sobie mrożoną – odparła Katarzyna z urazą w głosie. – Dmuchać pana mamusia nie nauczyła? Taki duży chłopak!

Sierżant zaczerwienił się lekko i odstawił filiżankę na stół. Mamusia nie miała okazji nauczyć go nie tylko dmuchania na gorące, ale i żadnej innej rzeczy, ponieważ umarła, biedaczka, tuż po narodzinach małego Lesia, przez co ciężar wychowania syna i jego starszej o rok siostry spadł na ojca, który nadawał się do tego jak alergik do spacerów po kwitnących łąkach. W rezultacie Lesio i Lucynka wiedzieli o życiu tyle, ile zdołali nauczyć się od kolegów, z telewizji i internetu, a w przypadku sierżanta pomogła nieco szkoła policyjna. Ale o dmuchaniu nic chyba w niej nie było albo tę lekcję wyrzucił z głowy.

Odrobinę krępującą ciszę przerwał nagle sygnał telefonu komórkowego rozlegający się z torebki leżącej na kolanach Renaty. Sprawdziwszy, kto dzwoni, prokuratorka pożegnała się pośpiesznie i z aparatem przy uchu pognęła do zaparkowanego nieopodal samochodu. O ile drobinie na szpilkach wbijających się w nieutwardzoną nawierzchnię można nazwać gnaniem.

– A nie mówiłem, że to nie jest strój do pracy w terenie? – zapytał retorycznie, acz z wyraźną satysfakcją Miziacz. Odprowadziwszy wzrokiem prokuratorkę do jej srebrnego wozu, rozsiadł się wygodnie, rozpiął guzik przy kołnierzyku koszuli i przywołał na twarz uśmiech amanta z amerykańskich komedii romantycznych. – No dobra, pani Katarzyno, możemy zacząć rozmowę. Więc jak to było z tym Maksymilianem?

## Rozdział XI. Nie zmuszaj mnie, żebym źle mówił o swojej matce!

Jak gdyby dotychczas restauratorka nie miała wystarczająco kiepskiego humoru, rodzina Blanc zepsuła go Śródce jeszcze bardziej, choć z pewnością nie miała takich intencji. To znaczy z umiarkowaną pewnością tych intencji nie miała, pewne ryzyko jednak istniało.

– *Maman* pojedzie z tobą – oznajmił Michel, kiedy jego pracodawczyni uporała się z wielką walizą i udało jej się zamknąć bagażnik.

– Co proszę? Niby za jakie grzechy?

– Ciiiicho bądź, whedne babsko, bo jeszcze cię usłyszysz – szeptał konsjerż, rozglądając się nerwowo dookoła. – Ty wiesz, że ona jest wrażliwa jak wszyscy ahtyści.

– To chyba w genach musi u was chodzić – burknęła Agata, ale też przezornie się rozejrzała. – No więc: dlaczego ona ma jechać ze mną?

– Bo u mnie się nie zmieści – syknął Michel. – Cały tył mam zajęty twoimi czekoladowymi akcesohiami, więc z przodu upchnę tylko jej walizkę.

– A sama nie może? Jakoś tu się dostała.

– Moja siostra ją przywiozła i ledwo *maman* wysiadła, ta niewdzięczna dziewczucha huszyła z piskiem opon, jakby podrzucała zgniłe jajo!

– Całkiem udane porównanie – przyznała Śródka.

– Nie pogahszaj sytuacji – warknął całkiem już zdenerwowany Michel. – Jeśli mam przeżyć tydzień w towarzystwie was dwóch, to musicie się zachowywać. Byle jak, ale przynajmniej w ghanicach horszadku! – zakończył z emfazą, a głos zaczął mu drżeć.

– Dobra już, dobra, przestań się ciskać, bo zawału dostaniesz albo udaru.

– Agata założyła ręce na piersiach, co oznaczało, że przyjmuje postawę służbową. – Coś mi się widzi, że i ty liczyłeś raczej na telefon od mamusi zamiast tego wielkiego torbiszca z nią w komplecie.

Michel odruchowo chciał stanąć w obronie rodzicielki, po chwili jednak dotarło do niego, że torbiszczem jest walizka, a w komplecie występuje Delfina. Wypuścił powietrze z głośnym świstem, po czym, ku zdumieniu Agaty, ulały mu się wszystkie żale tego świata.

– Nie miałem pojęcia, że tu przyjedzie! Chciałem tylko, żeby przejrzała katalogi i wysłała mi propozycje e-mailem. Charlotta siedzi u mnie, bo jej mieszkanie w hemencie, to pomyślałem, że będzie im razem hażniej, zaphosiłem matkę do siebie na czas, kiedy my będziemy w zamku, a tu ni stąd, ni zowąd moja cwana siostra pozbyła się problemu. *Au revoir!*

– A od kiedy twoja mamusia jest problemem? – drążyła restauratorka, coraz bardziej zaintrygowana. – Jak chcesz, to ja wezmę jej walizkę na tył i mamusia się zmieści u ciebie.

Michel nie był usatysfakcjonowany tą propozycją, co nie uszło uwagi spostrzegawczej Agaty.

– Słuchaj no, Michelinku – zaczęła słodko. – Powiedz, co się stało z tym całym słodziuchnym anturażem, bo coś mi chyba umknęło. Zwykle niedobrze się robiło od tych waszych buziaczków, misiaczków i tulasków przez wideoczaty.

– Nie zmuszaj mnie, żebym źle mówił o swojej matce! – warknął konsjerż, zaciskając ze złości zęby.

– Gadaj! Jak powiesz, to dostaniesz podwyżkę! – Radość na twarzy Śródki widać było głównie w wielkich zielonych oczach, wokół których pojawiła się siatka promieniście ułożonych zmarszczek.

Michel spojrział na szefową z zainteresowaniem pomieszanym z obrzydzeniem. Od zawsze był świadom, że Agata Śródka jest wścibskim babskiem, ale i tak potrafiła go tym zaskoczyć.

– Ju-hu! – Delfina Blanc machała do nich z tarasu czymś, co wyglądało jak kawałek firanki. – Jestem gotowa, możemy ruszać, tylko do was zejść.

– Ostatnia szansa – szepnęła Agata do Michela. – Jeśli mi nie powiesz, to i tak się dowiem, a ty o podwyżce możesz zapomnieć.

Walka, która rozgrywała się w duszy biednego Michela, odmalowała się na jego gładko ogolonej twarzy. Dzielnie opierał się kuszącej propozycji, która ustawiłaby go w jednym rzędzie z Brutusem i Judaszem, ale cyniczna Agata Śródka nie miała wątpliwości, że on w końcu się podda. Matka czy nie, podwyżka zawsze się przyda.

– No dobha! – wyrzucił z siebie wreszcie. – Nie mogę jej znieść. Denehwuje mnie, wkurza, ihytuje i mam ochotę ją udusić. Zadowolona?!

– Właśnie zarobiłeś o dwanaście tysięcy złotych więcej, niż widnieje na twoim picie za ubiegły rok – pochwaliła go. – Jeśli chcesz tę kwotę podwoić, to musisz się bardziej wywnętrzyć. Poproszę o szczegóły, smaczki, te sprawy.

Skoro już powiedział „a”, to pewnie mógłby z powodzeniem dojechać i do „ż”, wszak najtrudniej jest zacząć. Na szczęście lub też nieszczęście – zależy, którego Michela spytać: snobistycznego karierowicza czy przykładowego syna – nie zdążył powiedzieć nawet „b”, ponieważ na schodach pojawiła się Delfina odziana jak hrabianka wybierająca się na kolację do królowej.

– Mogła pani powiedzieć, że ubrania się pani skończyły, coś byśmy wymyśliły. – Złośliwość i jad skraplały się niemal wokół ust Śródki.

– Bez urazy, pani Agato, ale ja nie noszę ubrań w rozmiarach dziecięcych. Mam metr i siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu.

– Wielkie mecyje, to tylko dwadzieścia centymetrów więcej niż ja, żadna z pani wieża Eiffla. – Śródka doskonale wiedziała, że w owym „bez urazy” kryła się całkiem zamierzona szpila.

– Chyba na tych szczudłach – parsknęła Delfina i posłała synowi uśmiech. – Że też pani Agata jest w stanie chodzić w takich butach.

Michel wyszczerzył się sztucznie, ale w jego oczach nie było ani krzty wesołości. Albo wydawał w myślach świeżo zarobione pieniądze, albo zastanawiał się, jak wrócić do tematu ich podwojenia. Ostatecznie mógł też nie czuć się rozbawiony zachowaniem matki.

Z pewnością Agata Śródka ani trochę nie czuła rozbawienia, gdyż przytyki złośliwej pani Blanc dość mocno ją raniły. Braki we wzroście od wielu lat kompensowała wysokimi szpilkami i w zasadzie bez nich czuła się niemal naga. Co wcale nie oznaczało, że kompleksy zniknęły, co to, to nie. Gdyby zależało to od niej, Agata urosłaby o jakieś dwadzieścia pięć centymetrów – najlepiej na odcinku łydek – i przybrała w biuście też mniej więcej tyle, ze wskazaniem na więcej niż mniej. Ale, rzecz jasna, nie zależało, w związku z czym ratowała się wysokimi obcasami i bielizną podkreślającą to i owo. Na szczęście w talii wciąż była szczupła, a biodra miała w sam raz.

– *Alors, jedziemy?* – zaszcebiotała Delfina Blanc, jakby poprzedniej wypowiedzi w ogóle nie było. – Jestem podekscytowana i chciałabym już zobaczyć ten *château*.

– *Oui, oui, allez!* – Michelowi nagle zaczęło się śpieszyć, co mogło mieć związek z faktem, że Delfina stała obok samochodu Śródki, a jego ukochane śliwkowe mini stało kawałek dalej. – Jedźcie przodem, ja muszę jeszcze coś zhobić. Złapię was – zapewnił szybko i zaczął oddalać się w kierunku fioletowego autka radosnym truchcikiem przechodzącym w euforyczny galopek.

Skonsternowana Delfina i rozsierdzona Agata patrzyły na niego z rozdziawionymi ustami, nie potrafiąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku, który mógłby uchodzić za ludzki. Po minucie stało się jasne, że Michel nie żartował, bo zaczął już nawet upychać wielgachną walizę po stronie pasażera, odsunawszy fotel do tyłu. Kiedy wysiłki zwieńczył sukces, konsjerż pomachał radośnie obu paniom, które wciąż stały jak zahipnotyzowane na parkingu gościnieckiego pałacyku, i odjechał w siną dal.

– To co, jedziemy? – zapytała Agata z wyraźną rezygnacją.

– Jedźmy, nie traćmy więcej czasu. – Matka Michela skinęła głową i rzuciła ostatnie, tym razem pełne zawodu spojrzenie w kierunku

oddalającego się samochodu.

Bez słowa zajęły miejsca w przestronnej limuzynie Agaty i ruszyły w ślad za śliwkowym mini, które już zniknęło im z pola widzenia. Delfina pograżyła się w myślach tak głęboko, że nie skomentowała nawet słowem obuwia, w jakim Śródka prowadziła, a były to eleganckie różowe czółenka z migdałowym czubkiem na jedenastocentymetrowym obcasie. Te same, które już raz sprowadziły na kogoś śmierć. Przesądna Agata z pewnością by o tym pamiętała, jednak pojawienie się Delfiny Blanc wytrąciło ją z równowagi, przez co zupełnie zapomniała o tym pechowym talizmanie.

Droga była monotonna, wielkopolskie równiny ciągnęły się kilometrami, a przez pierwszą godzinę żadna z dam nie miała ochoty się odzywać. Radio cicho plumkało, ale i ono zamilkło, kiedy w szczerym polu straciło sygnał. Cisza stawała się uciążliwa do granic wytrzymałości i w końcu Agata wybuchła:

– Dlaczego pani tu jest, pani Blanc?!

– Bo mój syn odjechał beze mnie? – odparła Delfina z urazą w głosie.

– Chodzi mi o to, dlaczego w ogóle zjawiała się pani w Gościńcu. A do tego, dlaczego pani syn panią porzucił, przejdziemy za momencik.

– Ależ on wcale mnie nie porzucił! – uniosła się kasztanowowłosa artystka. – Po prostu nie miał miejsca w samochodzie, sama pani widziała: załadowany po sufit.

– Ale z pani naiwniaczka! – parsknęła Śródka. – Wczoraj się pani urodziła, że daje sobie taki kit żenić? Coś jest na rzeczy i ja się dowiem co. Chyba że mi pani powie po dobroci? – Agata łypnęła na pasażerkę spod czarnej grzywki.

Delfina Blanc zacisnęła usta, identycznie jak robił to jej syn, i uparcie milczała. Patrzyła przed siebie, jakby od jej skupienia zależało bezpieczeństwo.

– No dobra, nie to nie. Skoro nie chce pani rozmawiać, a radio nam nie działa, to w takim razie ja pani pośpiewam – zdecydowała Śródka. –

Chciałabym tylko uprzedzić, że rodzice już w przedszkolu zachęcali mnie do znalezienia innej pasji niż śpiewanie. Więc jak: gadamy czy mam śpiewać?

Matka Michela w tym momencie ani trochę nie przypominała tej radosnej kobiety sprzed kilku godzin. Ewidentnie coś truło ją od środka, Agata zaś za punkt honoru postawiła sobie dowiedzieć się, co to jest. Aby zwiększyć swe szanse, zaczęła od tortur.

Plan okazał się genialny w swej prostocie, bo już po trzydziestu sekundach absolutnie przerażającego zawrota głowy kompaktowej restauratorki Delfina Blanc zaczęła w panice wymachiwać białą flagą, za którą robiła biała koronkowa chusteczka. Agata natomiast postanowiła podręczyć upartą artystkę i z czystej złośliwości fałszowała jeszcze przez minutę.

– Niech pani przestanie! – krzyczała matka Michela, zakrywając uszy dłońmi. – Powinni pani wyciąć struny głosowe dla dobra ludzkości!

– Nie mogą, bo ja muszę gadać do kamery telewizyjnej. Uczyć, radzić, rozumie pani. Ten głos jest integralną częścią medialnej osoby znanej jako Agata Śródka.

– Rany boskie, nie wiem, czy bardziej mnie to przeraża, czy może zniesmacza... – Sądząc po minie Delfiny, należałoby stwierdzić, że jednak to drugie.

– A to już bez znaczenia, pani Delfino. Przecież nigdy nie twierdziłam, że jestem geniuszem w każdej dziedzinie – wyjaśniła prostolinijnie Agata. – Wystarczy, że mój wyjątkowy talent wciąż budzi zainteresowanie na tyle, żeby mógł ubarwiać otwarcia zamków, *n'est pas?*

– W każdej dziedzinie to może nie, ale z pewnością wydawało się pani, że lepiej ode mnie wie, jak powinnam wychowywać syna – bąknęła matka Michela.

Agata przez moment zastanawiała się, czy dobrze usłyszała. Wychowywać syna? Wychowywać Michela? A cóż to za niedorzeczność?!



– Pardon, chyba źle panią zrozumiałam, Delfino – odrzekła wolno, intensywnie mrugając. – Ja chciałam wychowywać pani *dorośłego* syna?

– A kto go namówił do przeniesienia się na prowincję, z dala od rodziny, twierdząc, że wyjdzie mu to na zdrowie?

– Powietrze mu wyjdzie na zdrowie! – podniosła głos Śródka. – Bliskość natury, obcowanie z przyrodą i ucieczka z tej żyjącej w ciągłym pędzie Warszawy. I, pani wybaczy, ale ja mam dość wychowywania swoich dzieci, żeby jeszcze do cudzych się brać.

Delfina zamilkła, odrobinę zawstydzona. Który to już raz dała się ponieść nieuzasadnionym emocjom? Powinna była skonfrontować się z Agatą dużo wcześniej, zanim ich wzajemne animozje doprowadziły do otwartego konfliktu...

– W takim razie przepraszam – wyszeptała ze skruchą. – Zostało mi to źle przedstawione.

– Wybaczam – oznajmiła restauratorka. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Pogadajmy o czymś bardziej interesującym niż nasze dzieci.

Przez kolejne dwie godziny coraz śmielej i z coraz mniejszą wzajemną antypatią rozprawiły na temat konkursów kulinarnych, wszelkiej maści talent show, tragicznej sytuacji na rynku sztuki, jeszcze bardziej tragicznej sytuacji artystów, cen żywności, cen materiałów malarskich, idiotyzmu polityków, indolencji naukowców, konieczności chemicznej kastracji duchownych – to Agata, bo przypomniał jej się ksiądz z podstawówki – wad i zalet szczepionek, użyteczności seksgadżetów, wyższości kobiet nad mężczyznami i wielu innych życiowych kwestii. Kiedy wysiadały z samochodu na dziedzińcu zamku należącego do Katarzyny Jakimiuk, były już niemal serdecznymi przyjaciółkami. I choć Agata w dalszym ciągu nie dowiedziała się, co poróżniło Michela i jego matkę, była granitowo przekonana, że pozna ten sekret prędzej czy później, z naciskiem na prędzej.

## Rozdział XII. Cholerna Caryca!

Wąty, a właściwie Daniel Liszka, nie miał pojęcia, jak wielkie szczęście dopisywało mu tego dnia. Z charakteryzującą ludzi pozbawionych polotu nieświadomością przez dwadzieścia minut snuł opowieść, która miała odpowiedzieć na postawione przez Mikołaja Kunickiego dwa pytania. Jego szczęście zaś polegało na tym, że nie podzielił losu bohatera swojej opowieści.

– Czekaaj, czekaaj, Wąty! – Kunicki wciąż przechadzał się w tę i z powrotem z dłońmi splecionymi na plecach. Poły jedwabnego szlafroka furkotały przy zwrotach, odsłaniając satynowe bokserki. – Czy ja ciebie dobrze zrozumiałem? Wyśledziliście faceta, który odpowiadał za pomoc w ucieczce Osobie, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć, a do tego udało wam się ustalić, że maczał swoje paluchy w zniknięciu jaja. Tak czy nie?

– Tak, szefie.

– Nie przerywaj! – wrzasnął Mikołaj i potarł swoje rzadkie włosy w kolorze słomy. – Wyśledziliście go, złapaliście, przesłuchaliście, a on przyznał się do winy. Tak czy nie?

Wąty tym razem się nie odezwał, żeby przypadkiem nie dostać drugiej żółtej kartki.

– Było to w czasie, kiedy Bidul wracał do matki, co mu się oczywiście chwali, bo matkę ma się tylko jedną i niech bolesnych pryszczu na dupie dostanie każdy, kto matki nie szanuje! – Kunicki uniósł kościsty palec, jakby rzucona klątwa wymagała niebiańskiego wzmocnienia. – Tak czy nie?

Konsternacja na twarzy Wątego odmalowała się nader wyraźnie – trudno mu było stwierdzić, czy owo pytanie odnosi się do sytuacji Bidula, czy do oczywistej prawdy, że matkę ma się tylko jedną. Na wszelki

wypadek skinął głową dwa razy. Kunicki tymczasem podjął tyradę, a jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

– Bidul wracał do matki, a wy, geniusze od siedmiu boleści, postanowiliście koledze pomóc i przy okazji zabraliście skazańca na wycieczkę krajoznawczą?

Wątył milczał, a po jego plecach spływały strugi potu, i to wcale nie z powodu gorąca, bo na termometrze tego dnia było umiarkowane jedenaście stopni.

– No pytam się: tak czy nie?! – wrzasnął rozsierdzony do żywego Kunicki.

– I tak, i nie – pisnął chłopak, przeczuwając najgorsze.

Mikołaj zatrzymał się i spojrzał na przerażoną twarz Wątego. Inteligencji nie było na niej widać za grosz, ale i nie do rozwiązywania łamigłówek logicznych go przecież zatrudniono. Rozkazy wykonywał bez zastrzeżeń, był posłuszny, dokładny i dyskretny. Nigdy też nie zdarzyła mu się żadna większa wtopa, a trupy z cudzych szaf utylizował koncertowo.

– Dobra, Wątył, ze względu na wzgląd ja na chwilę zapomnę o tym, że ty dałeś ciała na całej linii, postaram się też nie pamiętać, że masz mało pofałdowane zwoje mózgowie, bo za dużo tych nalewek w młodości wydoiłeś – ciągnął Kunicki, ani trochę nie zważając na ewentualne uczucia podwładnego. – Wyjaśnij mi, jak chłop krowie na miedzy, co to znaczy, że i zabrałeś skazańca na wycieczkę, i nie zabrałeś na wycieczkę.

Daniel Liszka, który swoją roboczą ksywę zawdzięczał głównie temu, że w żadnym wypadku nie można było go uznać za osobę wątłą ani, jak wskazywałoby nazwisko, lichą, znosił padające pod jego adresem obelgi z prawdziwie stoickim spokojem. Po części dlatego, że nie odbierał ich jako obelgi, po części natomiast dlatego, że zdążył przywyknąć do sposobu bycia swojego szefa. Wiedział więc doskonale, że Kunicki musi się nakrzyczeć, najazgotać, popruć, pomachać żyłastymi rękami, a potem mu przejdzie i wszystko będzie, jak należy.

– Zabraliśmy go razem z Bidulem i Mrówą, bo chcieliśmy z niego wyciągnąć, gdzie jest Ca... znaczy Osoba, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć – wyjaśnił spokojnie. – Skubany zapierał się do samego końca, że on nie ma pojęcia, gdzie zniknęła, że on tylko pomagał w sprzedaży jaja...

– Czekaj! – wpadł mu w słowo Mikołaj. – Wydobyliście od niego informacje o jaju?

– Tak jakby... – westchnął Wąty i pobladł na widok wściekłej twarzy Kunickiego. – Nie podał nam nazwiska, powiedział tylko, że jakiś Ruski je kupił, a o Osobie nic nie wiedział. Kamień w wodę! – tłumaczył się w panice.

– Żebyś ty nie skończył jak kamień w wodę, Wąty. Ty idź lepiej do kościoła i dziękuj za to, że ja interes zwinąłem. Co jeszcze powiedział? Co to za Ruski? Skąd go znał?

– No właśnie niewiele, szefie. Szedł w zaparte, że on nic nie wie, on tylko skontaktował Ca... Osobę z tym Ruskiem, dostał swoją prowizję i cześć pieśni.

– Ile?

– Dwa procent.

– Z ilu? – wycedził wściekły już do nieprzytomności Kunicki.

– Dziesięciu milionów. Dolarów.

Mikołaj złapał się za serce, choć było to w okolicach śledziony. Jego blada skóra pokryła się kropelkami potu, a mięśnie twarzy zaczęły drgać. Wąty wystraszył się nie na żarty i natychmiast wezwał pomoc, drąc się, jak zarzynane prosię.

– Masz mi ustalić tego Ruskiego, choćby to było ostatnie, co zrobisz w życiu, słyszysz, Wąty?! A zaraz potem znajdziesz ją, wytargasz spod ziemi, wydrzesz z łap arabskim szejkom... gówno mnie to obchodzi. To ja dla niej na terapię się zapisałem, z depresji leczyłem, zacząłem jeść ciemny chleb, truć się sałatą i tymi wszystkimi witaminami! Interes dla niej

zwinąłem, a ona jak mi się odwdzięczyła?! Tyle byłem dla niej wart: dziesięć milionów dolarów minus dwa procent... – Opadł na krzesło i schował twarz w dłoniach.

W tym momencie drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i do środka wbiegł rosły osiłek w towarzystwie lekarza, o czym świadczyły biały kitel i stetoskop zawieszony wokół szyi mężczyzny. Osiłek rzucił pytające spojrzenie w stronę Wątlego, na co ten odparł, kręcąc głową ze smutkiem:

– Cholerna Caryca!

## Rozdział XIII. My tu gadu-gadu, a Maksymilian stygnie

– Cholehna cahyca! – sapał pod nosem Michel, kiedy Agata wraz z jego matką wysiadały z samochodu. Wyglądał przy tym tak, jakby miał go trafić ciężki przypadek szlagu, możliwe, że nawet zmutowanego.

– A cóż to znowu, Michelku, za nerwy? – zainteresowała się Śródka z rozbawieniem. – Która ci, skarbenku, tak za skórę zalazła, że ją od rosyjskich monarchiń wyzywasz?

– Ta twoja Katarzyna, wielka mi pani na włościach!

– A co, roztyła się, że taka wielka? – W oczach Agaty błysnęła nadzieja. – Proszę cię, powiedz, że jest tłusta i obleś... Kasieńko, witaj, kochana! – wydarła się nagle, dostrzegłszy postać zbliżającą się do nich od strony pałacu. – No, z taką figurą to do zawodów sumo może kandydować – dodała zjadliwym szeptem.

Michel nawet nie ukrywał odrazy, z jaką patrzył na obściskujące się przyjaciółki, z których jedna miała metr czterdzieści osiem centymetrów wzrostu, a druga obwodu. Na matkę także zerkał z niechęcią, a właściwie starał się unikać patrzenia w jej kierunku.

– Agatko, jak ja się cieszę, że przyjechałaś! – szczebiotła Katarzyna Jakimiuk. – Czy ty wiesz, co tu się wyprawia? Trupy po ogrodzie się walają, policja łązi w te i nazad, gdzie się nie obejrzysz, tam heca!

– Policja? To w sam haz dla Agaty – stwierdził gorzko Michel. – Ona ma z nimi haczej sehdeczne helacje.

– A tam! Od razu serdeczne! – Kompaktowa restauratorka ujęła Katarzynę pod rękę. – Nie słuchaj go, Katarzynko, Michel jest dzisiaj nie w sosie.

– Ależ ja liczę na te twoje serdeczne relacje! – zaoponowała pulchna właścicielka pałacu. – Ten pałacy problem trzeba szybko upchnąć do jakiegoś kąta, bo mi inauguracja nie wyjdzie!

– Wcale nie, *mon chérie*, myślę, że to może zadziałać na pani korzyść – wtrąciła pani Blanc, natychmiast orientując się, na czym polega „palący problem” Katarzyny.

– Zgadzam się z Delfiną – poparła ją Agata. – Nie panikuj, kochana, bo to jest dla ciebie darmowa reklama. Wycieczki będziesz oprowadzać i mówić: „A w tym miejscu, szanowni państwo, zostały znalezione zwłoki...”.

– Maksymiliana – podpowiedziała uczynnie Katarzyna.

– Serio? Tak ma na imię? – zdumiała się Śródka, bo jakoś nie bardzo jej ten Maksymilian pasował do trupa. Franciszek albo Zdzisław, ostatecznie Ryszard. Ale Maksymilian?!

– A gdzie tam! – zaśmiała się perliście Jakimiuk. – Na razie to on jest *nomen nominandum*, ale postanowiłam zagrać policjantom na nosie. Przez całe życie udawanie kretynki wychodziło mi pierwszorzędnie, więc dlaczego miałabym z tego talentu nie korzystać?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi – wszyscy, włącznie z Michele, doskonale zdawali sobie sprawę z płynących z owego talentu profitów. I właściwie wszystkim, poza Michele, zdarzało się z tego talentu korzystać.

– Bardzo dobrze, sama bym ci to doradziła – przyklasnęła jej Śródka. – Nigdy nie pokazuj mężczyznom, że masz rozum, bo zaczną go wykorzystywać.

Po tych słowach Michel parsknął, dając wyraz swemu oburzeniu.

– A tobie co znowu się stało? – syknęła Agata. – Delfino, doprawdy, zbiesił nam się ten twój syn.

Stojąca nieco z boku elegancka kopia Julii Roberts zaciągnęła się cienkim papierosem, zmrużyła oczy i wypuściła dym wąską strugą.

– Rzeczywiście coś mu dzisiaj humoru brak – powiedziała miękko.

– To pewnie przeze mnie. – Katarzyna przybrała pozę skonfundowanej blondynki. Przy czym należy zauważyć, że blondynką była od urodzenia. –

Możliwe, że trochę się z niego naśmiewałam...

– Thochę?! Thochę?! – wybuchnął Michel. – Jak ja mam się tehas tym ludziom na oczy pokazać, kiedy ty sobie ze mnie pośmiewisko urządziłaś?

– Oj, Michelku, no dajże spokój – judziła Śródka. – Przecież nikt się z ciebie nie będzie naśmiewał, oni wszyscy cię mają głęboko gdzieś.

Jeśli cokolwiek mogłoby podziałać na Michela gorzej anizeli możliwość popełnienia spektakularnej gafy, to jedynie obojętność. Jak każda diwa wymagał poklasku, podziwu i atencji. Brak zainteresowania wpływał na niego destrukcyjnie.

Złośliwość Agaty Śródki tego dnia przekraczała wszelkie granice. Zwykle instynkt zapalał w jej głowie czerwoną lampkę i udawało jej się w ostatniej chwili wycofać, tym razem jednak z jakiegoś powodu posunęła się za daleko. Michel spojrział na nią z nienawiścią, takim samym wrogim spojrzeniem omiótł matkę, która miała czelność nie stanąć w jego obronie, prychnął na Katarzynę i odszedł do zaparkowanego kilka metrów dalej fioletowego mini, po czym zabrał się do wypakowywania walizki. Nie trzeba chyba dodawać, że z wielką satysfakcją prezentował przy tym – wszystkim trzem kobietom – tylny aspekt swojej osobowości.

Delfina zgasiła niedopałek obcasem lakierowanego pantofelka i podeszła do Agaty przyglądającej się ze skwaszoną miną niezgrabnym próbom wyszarpania przez Michela walizy, do której z powodzeniem dałoby się zmieścić połowę, o ile nie trzy czwarte całej monochromatycznej garderoby należącej do Śródki.

– Rzeczywiście uraziłaś – szepnęła wysoka artystka, nie wiadomo, do której z kobiet kierując te słowa. – Ostatni raz był tak wściekły wtedy, gdy nie dostał się do jakiegoś reality show dla celebrytów.

– Żartujesz?! Reality show dla celebrytów?! – Agata otworzyła oczy tak szeroko, że niemal jej wypadły. – To jest czyste złoto! Już nigdy mi się nie sprzeciwi, będę go szantażować do końca świata!

– Zasłużył – skwitowała bezduszna matka. – *Le karma revient toujours*<sup>4</sup>.



– Nie wiem, co tam się między wami wydarzyło, ale może dzieć się częściej – rzuciła Agata i zabrała się do wyciągania własnej walizki z bagażnika samochodu. – A tak z ciekawości, to co mu zrobiłaś, Katarzyno?

– To było zupełnie niezamierzone – odparła pulchna blondynka z godnością i powagą. – Zauważyłam go przez okno, łąził tu dookoła, jakby czegoś szukał, zwrócił na siebie uwagę wszystkich: robotników, konserwatorów, panów od sprzętu i nawet tych średnio rozgarniętych policjantów. Wyszłam więc do niego i zapytałam, czy dobrze się czuje, bo widowisko z siebie robi, a on mi coś odpowiedział. Nie rozumiałam – tłumaczyła dalej – bo odzwyczaiłam się od tego jego gadania, więc poprosiłam, żeby powtórzył.

– No i co? O to się obraził? Że musiał coś powtórzyć? – Śródka zmarszczyła nos z niedowierzaniem. – Michel może i ma przerośnięte ego, ale nie aż tak.

– Jakieś dziesięć razy musiał powtórzyć, w dodatku za każdym razem głośniej, aż w końcu wydarł się na cały głos, że on tu żadnego cholehnego jawohu nie widzi! – Katarzyna ani na chwilę nie zmieniła tonu.

– Jaworu? – zapytała zaskoczona Delfina. – Drzewa? A po cóż mu ono?

– A bo ja wiem? – Jakimiuk wzruszyła ramionami. – Krzyczał coś tylko, że buki, że dęby, że brzozy i wierzby. „A jawohu ani jednego”. No wariat kompletny!

Śródka nagle zaczęła chichotać, a im bardziej chichotała, tym bardziej chciało jej się śmiać. Uspokojenie się zajęło jej dobrych kilka minut.

– O matko z córką, a to ci dopiero historia! – rzała jak źrebię hasające po umajonej łące. – Zamek pod Jaworem! Pod Jaworem! Ja mu kazałam w Google’ach wpisać „zamek pod Jaworem”, bo zapomniałam, jak się ta wioska nazywa. Rozumiecie?

To powiedziawszy, sięgnęła po swój telefon i włączyła lokalizator, z którego wynikało, że do miejscowości Jawor rzeczywiście jest niedaleko.

– Biedny Michel – litowała się nad synem Delfina, choć kąciki jej ust zdradzały, że i ją trochę to bawi. – Nigdy szczególnie nie lubił geografii, a teraz będzie mu się czkawką odbijać.

– Bez przesady, odrobina zdrowego dystansu, nomen omen – zarechotała Śródka – mu nie zaszkodzi. Może przestanie się tak nad sobą rozczulać. Prowadź, Katarzyno, do swoich włości i daj kawy, bo zaraz uschnę jak te jawory, co to ich tu pewnie kiedyś było od groma i ciut-ciut.

Chichocząc ze złośliwego żartu Agaty, ruszyły w kierunku zasłoniętego przez bryłę pałacu dziedzińca, gdzie chwilę wcześniej zniknęła sylwetka urażonego Michela. Delfina z trudem ciągnęła za sobą ogromną walizę, Śródce zaś niejaki kłopot sprawiało stawianie kroków na nieubitej ścieżce, ponieważ co chwila musiała się zatrzymywać i wydobywać cienki obcas z ziemi. Sapała przy tym i klęła pod nosem, zupełnie nie jak dama.

Kiedy dotarły do stolika, przy którym siedziało dwóch mężczyzn – jeden wyglądający jak grecki bóg, drugi bardziej przypominający Rybiego Króla z jeziora Śniardwy – Agata Śródka natychmiast rzuciła się na krzesło.

– *Mon Dieu!* Zupełnie zniszczone! – Obcasy jej pantofli w kolorze fuksji tudzież amarantu oblepiała gliniasta ziemia i wyglądało na to, że trudno będzie ją usunąć, o uratowaniu porysowanego lakieru nawet nie mówiąc. – A pan z czego się cieszy? – rzuciła ze złością do Miziacza, który uśmiechał się półgębkiem.

– Kto? Ja? – Głupawy uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca zdziwieniu bezpośredniością kobiety.

– A jeszcze ktoś poza panem się idiotycznie szczerzy? – warknęła coraz bardziej wściekła.

– Ja na pewno nie! – zapewnił pośpiesznie Żabka w obawie, żeby i jemu się nie oberwało.

Przezornie nie spuszczał też wzroku z dłoni kobiety, w której – nie zapominajmy! – dzierżyła broń mogącą zrobić komuś dziurę w czole.

– Widzę, że pan nie, ale ten drugi wyraźnie czerpie radość z tego, że zniszczyłam swoje ulubione buty. Wie pan, co czeka ludzi, którzy cieszą się z cudzego nieszczęścia?

– Ależ ja się wcale nie cieszę z pani nieszczęścia! – próbował protestować Miziacz, był to jednak daremny trud. Agata już wydała wyrok, nie czekając na argumenty obrony.

– Wstyd, proszę pana, wstyd. Gdybym znała pańską matkę, tobym jej serdecznie pogratulowała wychowania syna – wypaliła w ramach podsumowania. Nagle coś jej przyszło do głowy. Spojrzała prosto w oczy przerażonego Miziacza i odezwała się zimnym głosem: – Pan mi kogoś przypomina, czy my się już poznaliśmy?

– Na pewno bym zapamiętała! – zapewnił przerażony.

– Słowo daję, jakiś taki dziwnie pan znajomy, jakbym już kiedyś, gdzieś... – Urwała w zamyśleniu, po czym zwróciła się do Katarzyny: – Kochana, zapomniałam cię uprzedzić, że może tu się zjawić córka mojej siostry ciotecznej, Renatka. Zupełnie mi z głowy wypadło.

Miziacz poczuł, jak krew cofa mu się w żyłach. Przez moment miał nadzieję, że się przesłyszał albo że... No nie, przecież nie ona jedna ma tak na imię, co on sobie wyobraża? Nie wyspał się i mózg mu płała figle. Głupi Miziu, oj, głupi!

– Renatka? Ta sympatyczna wysuszona prokuratorka? A to była już tu u nas, rozmawialiśmy sobie przy kawce, prawda, panowie władza?

Panowie władza skłęśli w sobie, szczególnie pan podkomisarz, który nagle jakby się skurczył. Coraz mniej przypominał greckiego herosa, a coraz bardziej sprawiał wrażenie osoby cierpiącej na stany lękowe.

Reakcja policjanta nie uszła uwagi Delfiny Blanc, która usiadła kilka kroków dalej na wielkiej walizie i paliła papierosa za papierosem. Pomimo wielu różnic miały z Agatą Śródką jedną wspólną cechę, a była nią nieuleczalna potrzeba wtykania nosa w cudze sprawy. Jeśli przeciętny

człowiek w sześćdziesięciu procentach składa się z wody, to matka Michela oraz jego pracodawczyni składały się w stu procentach ze wścibstwa.

– Chyba się nie pomylę, jeśli stwierdzę, że *monsieur* z ową zasuszoną Renatką jest zaznajomiony? – zagaiła zaczepnie, wydmuchując dym z wyjątkową elegancją.

Agata zmrużyła zielone oczy i zbliżyła twarz do bladego jak anemik policjanta. Po złocistej kanaryjskiej opaleniznie nie został już nawet ślad poza uroczymi piegami ozdabiającymi zgrabny nos mężczyzny.

Miziacz milczał, nawet nie celowo, najzwyczajniej w świecie ze stresu dostał szczękościsku i nie mógł z siebie wydusić słowa. W sukurs przyszedł mu jednak wierny giermek z wyraźnymi zadatkami na rycerza, który kropki na szczęście umiał łączyć całkiem sprawnie i już wcześniej załapał, co się święci.

– Pani Renata Bujko-Wawrzyniak to pani siostrzenica – stwierdził raczej niż zapytał Żabka.

– Cioteczna – doprecyzowała Agata. – To córka mojej siostry ciotecznej. A co?

– W sumie to teraz nawet widzę podobieństwo. – Katarzyna przyglądała się uważnie twarzy przyjaciółki. – A pan, panie podkomisarzu?

Wywołany do odpowiedzi Miziacz wzdrygnął się lekko i pokonawszy opór stawów w zuchwie, palnął:

– Niezaprzeczalne. Obie panie lubią chodzić w szpilkach po błocie.

Śródka zerknęła na buty oblepione brunatną ziemią i zgrzytnęła zębami. Cholera ciężka z tymi ludźmi. Tak trudno zrozumieć, że kobiety potrzebują szpilkostrady? Wszędzie? Na środku pola też?

– Właściwie ma pan rację – odezwała się z godnością. – Obie cenimy elegancję i mamy zgrabne nogi. Grzechem byłoby tego nie podkreślać, nieprawdaż?

– Phawdaż, phawdaż. – Do stolika zbliżył się nadąsany Michel w towarzystwie rośłego jegomościa, który z powodzeniem mógłby

konkurować w zawodach Strongman z Mariuszem Pudzianowskim. – To jest pan Jewgienij, pomoże nam zanieść inghediencje do kuchni.

– A moją walizkę też pan Jewgienij zanieś? – zapytała Delfina, spoglądając zalotnie na wielkiego osiłka.

– *Non!* – odpowiedział jej syn. – My jesteśmy zajęci, ty sobie znajdź swojego thagarza. *Allez*, Jewgieniju, nic tu po nas, musimy zabhać skahby khólowej Agaty, zanim się doszczętnie hożpuszczą.

– Nie dziw się, Delfino, ja mu płacę – wyjaśniła beznamiętnie Śródka. – No ale my tu gadu-gadu, a Maksymilian stygnie. Może pan Jewgienij by nam kawy przyniósł, a my w tym czasie poznamy historię tajemniczej zbrodni w zamku pod Jaworem. Niech panowie meldują.

Spłoszony tym przedziwnym rozkazem wydanym przez cywila sierżant Żabka rzucił w kierunku Miziacza spojrzenie pełne znaków zapytania. Nie znalazł tam jednak wsparcia, a jedynie bezgraniczną rezygnację.

– Mów, Lesiu, nie ma co dyskutować. Lepiej my niż RBW.

Katarzyna Jakimiuk podniosła wzrok na Agatę i skinęła głową z uznaniem. Fiu, fiu, trzeba zapamiętać, na wypadek gdyby w przyszłości zachciało jej się męża policjanta.

## Rozdział XIV. To jak to było z tym typem

*Drogi Dzienniku!*

*Zgodnie z zaleceniem doktora zapisuję wydarzenie, które podniosło mi ciśnienie do poziomu Himalajów. Do tej pory czaszka mi pulsuje, chociaż wziąłem dwa ibuprofeny. Może powinienem wziąć cztery, bo to jakaś mała dawka... Jak mi się nie poprawi, to wezmę, najwyżej rozboli mnie żołądek, ale chyba lepiej żołądek niż głowa.*

*Jeden z moich poruczników opowiedział mi historię zlikwidowania tego typu, który miał pomóc OoKINZ w zniknięciu. Jakby tego było mało, razem z OoKINZ zniknęło jajo, które dla Osoby nabyłem drogą kupna za uczciwie zarobione pieniądze. (No bo skoro wykonałem pracę, za którą mi ktoś zapłacił, to zarobiłem uczciwie, tak czy nie?)*

*Zlikwidowanie miało miejsce w czasie, kiedy przebywałem na zwolnieniu lekarskim, chociaż żadnego L4 nie dostałem, ale do pracy byłem niezdolny dokumentnie. Wtedy właśnie wszystkim zajmował się Wątyły, zajął się też tym typem, podobno na ament. Albo na amen? Nigdy nie wiem, które jest dobrze, bo w kościele ostatni raz byłem w rocznicę swojej komunii. A nie, jeszcze na pogrzebie dziadka, ale to w tym samym roku.*

*Doktor zabronił mi przeklinać. „Panie Mikołaju, pan jest inteligentnym człowiekiem, książki pan czyta, w świecie bywa. Słownictwo rynsztokowe nie przystoi poważanemu przedsiębiorcy”. Bla, bla, bla. Trochę mi jednak na ambicję wjechał, nie powiem, więc staram się nie przeklinać i nawet mi to wychodzi, ale dzisiaj się nie dało. Wątyły to ma szczęście, że mu w ten głupi łeb nie palnąłem, a ochotę miałem wielką. Imbecyl skończony, ćwierćinteligent z bańką w nosie, przygłup kostropaty w mordę kopany! O cudach biblijnych farmazony opowiada, a jedyny cud jest taki, że mu kolan nie przetrąciłem. I jak w takich warunkach człowiek ma do zdrowia dochodzić? Ja już czuję nawrót nerwicy, w lewej łopatce zaczęło mi strzykać.*

No ale dobra, mniejsza o większość, jak mnie nie przestanie strzykać, to pogadam z doktorem. To jak to było z tym typem.

Ten typ nazywa się, albo nie, bez nazwisk, lepiej dmuchać na zimne. Poznałem go wiele lat temu, zajmował się handlem dziełami sztuki, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zrobiliśmy kilka transakcji, raz on mi pomógł, raz ja jemu i tak ten interes się kręcił. Pewnego razu odwiedził mnie, kiedy OoKINZ była w domu, a przed nią nic się nie dało ukryć, zwłaszcza błyskotki, więc szybko tego typa przepytala na okoliczność wartościowych popierdółek, a potem szast-prast i zabuliłem kilka milionów za prezencik dla paniusi. „Chcesz powiedzieć, że jestem dla ciebie warta mniej niż trochę pieniędzy?”. No wiadomo, że nie była, przełknąłem te miliony, kilka zleceń i odrobień, tak myślałem przynajmniej. Dostała to swoje jajo, gównno takie, ani to ładne, ani użyteczne, ale chciała, to niech ma. „Chciałeś panią, zarób na nią!”, mówiła, harpia jedna, bezlitosna. Ja bym jej ostatni kawałek chleba oddał, a ona... Zresztą nieważne, nie o niej ta historia.

Zniknęła ona i zniknęło jajo, ślad po nich zaginął, a Interpolu przecież angażować w poszukiwania nie będę... Kiedy straciłem już całkiem nadzieję, a mój świat się rozpadł doszczętnie, dotarły do mnie wieści, że ten typ maczał swoje złodziejskie paluchy w ucieczce Osoby. Jak już pisałem, ja byłem na chorobowym i sprawą zajął się Wątlý. No i cały wic polega na tym, że źle się zajął, a teraz przez jego głupotę cały plan może się rozsypać. Artykuł dziesiąty ustęp drugi Ustawy o świadku koronnym – tak mówi mecenas. A mecenas się zna. Ostatnia nadzieja w tym, że żadnych śladów bęcwały nie zostawili i nikt nas z tym typem nie powiąże. Bo jak powiąże, to krzyżyk na drogę i mogę się pakować do ciupy. A kto mnie w ciupie z depresji wyleczy?

Druga sprawa jest taka, że ten typ puścił farbę na temat jaja. Osoba miała je sprzedać za dziesięć milionów baksów. Kazałem Wątlému znaleźć nabywcę i z gardła mu wydrzeć moją własność. Może być trudno, bo to podobno Ruski, ale nic mnie to nie obchodzi.

*Widzisz więc, drogi Dzienniku, z czym ja się muszę tutaj użerać, z jakimi idiotami pracować, ale co poradzić – na chleb jakoś trzeba zarabiać. Chociaż chleba też mi nie wolno, pumpernikiel co najwyżej, ponoć na jelita zdrowy. Muszę się chyba położyć, ale najpierw wezmę jeszcze te dwa ibuprofeny, bo nic a nic mi nie przechodzi.*

*To pa.*

*Mikołaj – były Car*

Po dwóch godzinach mąk, podczas których powstał najdłuższy w jego życiu tekst pisany, Mikołaj Kunicki połknął dwie kolejne tabletki przeciwbólowe i udał się na spoczynek. Nie mógł się jednak pozbyć sprzed oczu sceny, którą kilka godzin wcześniej Wąty opowiadał mu z benedyktyńską dokładnością i dbałością o szczegóły.

Widział więc, jak zakneblowany i skrepowany osobnik zostaje zawleczony w środku nocy do ogrodu otaczającego zrujnowany zamek, a chwilę później dwaj młodzi mężczyźni kopią dół w kształcie leja, podczas gdy więzień wyje ze strachu, choć jego krzyków nikt nie słucha. Wyobrażał sobie, że ci dwaj, strudzeni kopaniem, zapalili papierosy i dyskutowali o dziewczynach albo wyścigach Formuły 1, czy innych równie frapujących sprawach. Możliwe, że więzień opadł z sił i czekał na śmierć, której nie mógł już uniknąć. Mikołaj zastanawiał się nawet, czy tamten modlił się do jakiegoś boga albo czy zobaczył całe swoje życie przed oczami, jak to zwykle pokazują w filmach. A potem Wąty chwycił łom, zamachnął się i czaszka ofiary pękła z cichym chrzęstem.

Upchnęli trupa w dole, zasypali ziemią, poskakali, podeptali i fajrant. I nagle, wyobrażając sobie, jak tłusty brzuch Wątego podskakuje w trakcie szalonych płaśów na świeżym grobie, Mikołaj Kunicki poczuł uderzenie w splot słoneczny. Zatchnęło go tak, że przez kilka minut bezskutecznie łapał powietrze niczym ryba, której podły sadysta wypuścił wodę z akwarium.



- Wąąąty!!! – wydarł się w końcu, kiedy przepona odzyskała sprawność.
- Gdzie, do wuja pana, jest łom?!

## Rozdział XV. Znalazłem Osobę, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć

– To chyba ja powinnam zacząć. – Katarzyna wypięła z dumą pierś, która nawet bez wypinania budziła podziw. – W końcu to mnie przypadła w udziale ta wątpliwa przyjemność natrafienia na biednego Maksymiliana w tym, pożałuj Boże, grobie.

Miziacz i Żabka, którzy już wcześniej mieli okazję wysłuchać tej mocno oblewanej łzami opowieści, nie zaprotestowali. Ze szkoły policyjnej pamiętali doskonale zasadę mówiącą o tym, że każde kolejne zeznanie świadka różni się od poprzedniego, najczęściej jest bogatsze w szczegóły, które mogą mieć niebagatelne znaczenie. Podkomisarz skinął głową, dając tym samym oficjalne przyzwolenie na rozpoczęcie prelekcji.

– Hola, hola! – zaoponowała Śródka. – Najpierw załatwmy sobie kawę, a potem możesz mówić do woli.

Tak się złożyło, że dokładnie w tej chwili Michel z Jewgienijem przechodzili obok, taszcząc ogromne pudła i pojemniki. Blanc uparcie demonstrował urazę, udając, że tak matka, jak Agata stały się niewidzialne. Z niejakim zainteresowaniem zerkał jednak w kierunku Miziacza, który odzyskał już kolory na obliczu i znów upodobił się do Achillesa w wykonaniu Brada Pitta.

– Michelku, *mon cherie*, bądź złotem i przy nawrocie przynieś nam... – Śródka policzyła szybko pogłowie. – Pięć kaw.

– A co ja jestem? Kelneh? Albo chłopiec na posyłki?

– Dajże spokój, *mon amour*, pamiętaj o zasadzie unikania pustych przebiegów – zatkała go Agata.

– Pan podkomisarz na pewno będzie ci do zgongnie wdzięczny – dorzuciła Katarzyna jak gdyby nigdy nic.

Miziacz potwierdził wyjątkowo energicznym kiwaniem głową, choć nie do końca rozumiał, dlaczego akurat on miałby być bardziej wdzięczny niż którakolwiek z pozostałych osób. Zależało mu jednak na tym, żeby skończyć to ciągnące się przesłuchanie i ruszyć ze śledztwem.

Michel zarumienił się lekko, co od biedy można było przypisać wysiłkowi, którego niewątpliwie wymagało dźwiganie upiornie wielkich pudeł zawierających głównie czekoladę i wszelkiej maści ozdoby cukiernicze. Na Jewgieniju nie robiły one żadnego wrażenia, ale on nawet Michela mógłby unieść jedną ręką.

– Swoją drogą, Katarzynko, to kiedy zamierzasz zatrudnić kadre? – zagadnęła Śródka, gdy uginający się pod ciężarem Blanc zniknął w pałacu.  
– Nie możesz przecież sama obsługiwać gości, a Michel, jak widzisz, nie jest szczególnie chętny do przekwalifikowania się.

– Skaranie boskie z tym personelem – westchnęła Jakimiuk. – Nie masz pojęcia, jak trudno w tej zabitej nieheblowanymi dechami dziurze o sensownych pracowników. Albo kradną, albo kłamią, albo nie przychodzą w ogóle. Udało mi się do tej pory zatrudnić Jewgienija, ogrodnika na pół gwizdka, dwie dziewczyny do sprzątanania i kucharzy. Ale z kelnerami wciąż jest problem. Dziś mam umówione rozmowy, miałam nadzieję, że mnie wesprzesz i swoim doświadczonym okiem wyłapiesz jakiś talent.

– *Avec plaisir*. – Agata klasnęła w dłonie z radości. – Mów, Kasieńko, mów, żeby nam panowie policmajstrzy nie uciekli, bo już gałami przewracają ze znudzenia. Mężczyźni! Za grosz cierpliwości!

Katarzyna podzielała zdanie przyjaciółki na temat mężczyzn, co zademonstrowała głośnym prychnięciem i wydęciem ust. Miała wielką ochotę jeszcze się podroczyć z policjantami, ale do pierwszej rozmowy z potencjalnym pracownikiem pozostawało niewiele czasu i trzeba było się streszczać.

– Dwa miesiące temu zatrudniłam ogrodnika – zaczęła, usadowiwszy się wygodnie na krześle obok Śródki. – Pan Edmund mieszka niedaleko, jest emerytem, więc ma dużo czasu, a do tego przydadzą mu się dodatkowe fundusze. Umówiliśmy się, że będzie przychodził dwa razy w tygodniu, obrobi najpierw ten bajzel, wytnie wszystkie chabazie, a potem się zobaczy. No i przedwczoraj wpadliśmy na pomysł, żeby pan Edmund zrobił rabaty kwiatowe pod moim oknem, bo to zawsze miło człowiekowi rano, jak sobie oko na coś ładnym i kolorowym zawiesi – zakończyła wyraźną kropką dokładnie w chwili, w której do stolika podszedł Michel z tacą.

– No popatrz, Michelku, jak ty doskonale się sprawdzasz w roli kelnera. Może jednak nie będziemy tej rekrutacji robić, Katarzynko, skoro taki skarb mamy pod nosem?

Mało kto potrafił tak jak Agata Śródka skomplementować człowieka, równocześnie z niego kpiąc.

– Ughyż się w ten jadowity jęzoh, zmij! – warknął Michel i postawił filiżankę z kawą dla Agaty na środku stołu, żeby przypadkiem nie miała za blisko.

– A mleczko przyniosłeś, synku? Wiesz, że *maman* pija tylko *café au lait*.  
– Delfina rozłożyła się wygodnie na walizie i korzystała z wiosennego słońca, słuchając stolikowych rozmów.

Michel odwrócił się powoli w stronę matki, a na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Gołym okiem było widać, że *maman* raczej na szczególne względy nie może liczyć.

– *Excuse moi, avec tout le respect*<sup>5</sup>, ale ja nie jestem cholehnym kelnehem, a ty nie jesteś żadną ahystokhatyczną mathoną, żeby trzeba ci było usługiwać. Homansowanie z bogatymi bubkami nie hobi z ciebie celebhytki! – wycedził zimno, po czym odmaszerował w stronę samochodu, przy którym czekał na niego gotowy do noszenia kolejnej partii kartonów Jewgienij. Pod nosem rzucił jeszcze: – Jedna cahyca, dhuga khólowa i do tego mahkiza od siedmiu boleści.

Na reakcję Agaty i Katarzyny długo nie trzeba było czekać. Przewiercana wzrokiem tych dwóch bazyliżków Delfina machnęła ręką w wyrazie rezygnacji i wyszeptała, że później im opowie. Odrobinę zawiedziona właścicielka zamku wróciła więc do swojej historii.

– Łaziliśmy po tym wyrobisku, które kiedyś było pewnie ogrodem, planowaliśmy grządki i nagle pan Edmund wpadł na pomysł, żeby skalniaczek zrobić, bo jakieś takie wybrzuszenie dojrzał i mu się skojarzyło.

– Kobieta przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. – Ja tam do skalniaczków nic nie mam, ale zaciekało mnie to wypiętrzenie, może to intuicja albo zwyczajny przebłysk geniuszu.

Miziacz ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, co myśli o przebłyskach geniuszu u kobiet, zwłaszcza bogatych i rozpuszczonych dzięki pieniądзом mężczyzn. W jego filozofii bogactwo i luksus były naturalnymi wrogami szarych komórek. Mężczyzn ta choroba jednakże nie dotykała, albo dotykała w mniejszym stopniu.

– Chcesz powiedzieć, że złoczyńca usypał kurhan i uznał, że nikt go w tym istic górkim krajobrazie nie dostrzeże? – Śródka przechyliła się przez blat, żeby dosięgnąć swojej filizanki.

– A gdzie tam! Złoczyńca zostawił na płasko, ale panowie od remontu co chwila giczałami się zapadali, bo podobno ziemia luźniejsza była w tym miejscu, nasypali więc kamieni i gliny, żeby omijać pułapkę.

Sierzant Żabka, tym razem pamiętając o dmuchaniu na gorący płyn, pokiwał głową w ramach autoryzacji wersji zdarzeń przedstawionej przez Katarzynę. Tak samo zeznawała, wszystko się zgadza.

– I co było dalej?! Niech pani mówi, ogromnie to intrygujące! – ponagliła Delfina, która musiała wstać z walizy i podejść do stołu, żeby napić się kawy, niestety bez mleka.

– Pan Edmund chwycił łopatę i zaczął kopać, bo rzeczywiście wyglądało to jak zasypany dół – kontynuowała Katarzyna. – Kopał i kopał, nasapał się przy tym jak parowóz, ale nie przestał, aż ukazał się on.

– Maksymilian! – krzyknęła Śródka, przyprawiając Żabkę o lekki zawal.  
– Worek – wyjaśniła Katarzyna. – Zakrwawiony jutowy worek.  
– A Maksymilian gdzie? – zaciekawiła się Delfina.  
– Pod workiem. Zwinięty jak embrion, z rozłupaną czaszką i wytrzeszczonymi oczami. Nigdy tego widoku nie zapomnę!

Agata Śródka przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z ofiarą zbrodni, a zaraz potem drugie, i przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. To stanowczo nie jest rozrywka dla ludzi o słabych nerwach. Ani żołądkach.

– Mają panowie podejrzenia, kto to jest? – drażyła amatorka różowych szpilek i detektyw amatorka.

Miziacz pokręcił głową w milczeniu. Zastanawiał się, czy obecność ciotki Renaty sprawi, że prokuratorka nie będzie mu sterczeć nad głową, co z pewnością ułatwiłoby pracę. Bez względu jednak na wszystko inne, na pierwszy plan wysuwała się konieczność ustalenia personaliów denata, choć ten „Maksymilian” nawet nie zgrzytał aż tak bardzo. Można się przyzwyczaić.

Upewniwszy się, że Katarzyna powtórzyła wiernie swoją wersję zdarzeń, policjanci podziękowali za kawę i pożegnali się, tłumacząc koniecznością odwiedzenia prosektorium, gdzie czekali na nich z rozpoczęciem sekcji zwłok.

Michel, wracający akurat z trzecią partią kartonów, powiódł za nimi cielecym wzrokiem, szybko jednak się opanował, zarejestrowawszy złośliwe uśmiešky na twarzach siedzących przy stole kobiet.

Agata dopijała kawę w milczeniu, a pod czarną grzywką zachodziły skomplikowane procesy myślowe. Zastanawiała się, dlaczego zwłoki Maksymiliana były przykryte workiem – nie posądzała złoczyńców o humanitarną potrzebę nakrycia ciała całunem. Coś tu wyraźnie zgrzytało.

– Katarzyno? – zagadnęła przyjaciółkę. – Czy ty na pewno powiedziałaś tym policjantom całą prawdę?

– Nie bądź głupia, Agatko! – parsknęła okrągła blondynka. – Przecież mówiłam ci, że udawanie kretynki weszło mi w krew, ale to nie oznacza, że stałam się kretynką.

– *Oh mon Dieu!* – Oczy Delfiny rozszerzyły się nienaturalnie. – Ukryła coś pani?

– Ukryłam i odkryłam zasadniczo – zakomunikowała Jakimiuk. – Tak naprawdę to ten trup był w worku. Zapakowany jak kiszka wątrobianą, owinięty sznurkiem i oklejony taśmami. Wyjęliśmy go z panem Edmundem, Jewgienij nam pomógł, bo to ciężkie, rozwiązaliśmy worek i zajrzeliśmy do środka.

– Ale po co? – Pani Blanc wyraźnie nigdy nie miała do czynienia z żadną zbrodnią i wszystko to wykraczało poza jej możliwości poznawcze.

– Żeby sprawdzić, co jest w środku – odparła Katarzyna. – A niby po co innego?

– Nie mogła pani zostawić tego policji?

W tym momencie obie przyjaciółki – maleńka Agata i wielka Katarzyna – zarechotały złośliwie.

– Delfino, kochana, naiwna Delfino... Czy ty myślisz, że ci dwaj panowie, z którymi tak przyjemnie piło nam się kawę, są w stanie sami rozwiązać taką zagadkę? – Śródka pokręciła głową z politowaniem. – Otóż nie są, moja droga. Bez mojej pomocy morderca z Gościńca wciąż byłby na wolności, a ja pewnie leżałabym w charakterze Maksymiliana w jakimś dole. – Nagle przyszło jej coś do głowy. – Kaśka, nie zostawiłaś tam żadnych paluchów na tym trupie?

– Spokojna głowa – zapewniła ją Jakimiuk z uśmiechem. – W ogóle go nie macałam, a pan Edmund miał rękawiczki. Sprawdziliśmy tylko kieszenie, czy jakichś dokumentów nie ma albo co.

– Miał? – W głosie Śródki brzmiała nadzieja.

– Nie miał.

Zawód wyraźnie odmalował się na twarzy obu przyjezdnych. Katarzyna włożyła rękę za dekolt, pogrzebała tam trochę i wyjęła zwinięty papierek.

– Przy sobie nie miał niczego, ale w dole znaleźliśmy to! – ogłosiła z triumfem, machając paragonem z Ikei.

Podczas gdy trzy kobiety zachwyciły się znaleziskiem, młody mężczyzna ukryty za gęsto rosnącymi krzewami berberysu bacznie im się przysłuchiwał i żałował jedynie, że widok zasłaniały mu kłujące gałęzie. Siedział tam dobrą godzinę, zdołał więc usłyszeć wszystko, co działo się od przyjazdu nieznanym mu osób. Właścicielkę zamku kojarzył już także z widzenia, odkąd kazano mu obserwować teren, ale dziś „zobaczył” ją w zupełnie nowym świetle.

Kiedy kobiety weszły do budynku, mężczyzna włożył do uszu słuchawki i wybrał numer na telefonie, który wcześniej służył mu za dyktafon.

– Halo? Wąty? To ja – szeptał, przytykając mikrofon do ust. – Stoisz czy siedzisz? To usiądź, bo to, co za chwilę usłyszysz, może cię ściąć z nóg. Siedzisz? No to słuchaj: chyba znalazłem Osobę, o Której Istnieniu Należy Zapomnieć.



## Rozdział XVI. Same niewiadome

Podkomisarz Miziacz nie przepadał za wizytami w prosektorium, ale potrafił to znakomicie ukrywać. Naśmiewał się też bezdusznie z tych wszystkich cieniasów, którzy mdleli na widok zielonego jelita grubego albo gąbczastego mózgu. On sam nigdy nie zemdłał, jednak starał się przychodzić na sekcje z pustym żołądkiem.

W drodze do Świdnicy udało mu się wreszcie poznać treść notatek sierżanta Żabki, które wnosily do sprawy niewiele nowego, a w zasadzie powielały jedynie informacje, z którymi zetknął się do tej pory. Wyglądało na to, że trzeba będzie polegać na wiktymologii, a tego Miziacz nie lubił szczególnie, bo mało go właściwie interesowały jednostki, które dały się zabić. Skoro się dały, to znaczy, że nie były wystarczająco przystosowane do ekosystemu, a zatem – same się prosiły. Za to sprawcy – to zupełnie inna para kaloszy. Mózgi popaprańców interesowały go wyjątkowo; pasjami pochłaniał książki traktujące o seryjnych mordercach, gwałcicielach i porywaczach. Nauczył się angielskiego, żeby czytać amerykańską prasę, w której codziennie pojawiała się wzmianka o jakimś nowym zwyrodnialcu. Napisał nawet list do Roberta D. Keplera, słynnego policjanta stojącego za ujęciem mordercy z Green River, a wcześniej pracującego w zespole, który schwytał Teda Bundy'ego. Emerytowany detektyw nie był łaskaw na list odpowiedzieć, ale Miziacz nie tracił nadziei i brak korespondencji zwrotnej tłumaczył sobie opieszałością poczty, strajkami pilotów, a ostatnio nawet smogiem.

Na parkingu pod budynkiem numer jedenaście przy ulicy Śląskiej stała zaparkowana toyota Renaty Bujko-Wawrzyniak. Miziacz zatrzymał się kilka miejsc dalej. Narzucił na ramiona marynarkę i ruszył za Żabką, któremu wyjątkowo śpieszyło się do środka. Jak się za chwilę okazało, był to wyłącznie zew natury – skutek wypicia dwóch kaw i pół litra coli.

Podkomisarz nie miał ochoty na spotkanie z RBW bez świadków, czekał więc pod toaletą, układając w głowie złośliwe riposty i zaczepne odzywki, na wypadek gdyby prokuratorka była wciąż w bojowym nastroju. Po kilku minutach sierżant wyszedł z ustępu, wycierając ręce w spodnie.

– Jak zwykle – odpowiedział na pytające spojrzenie Miziacza. – Ani pół ręcznika papierowego, a chusteczek zapomniałem.

Ruszyli w milczeniu korytarzem prowadzącym do sali prosektoryjnej, skąd już po kilku krokach dało się słyszeć dźwięki prowadzonej rozmowy. Miziacz głośno przełknął ślinę, po czym zapukał.

– Miejmy to już za sobą – wyszeptał, a Żabka zgodził się z nim skinieniem głowy.

Rozległ się dźwięk odblokowania zamka w drzwiach, sierżant nacisnął więc klamkę i obaj policjanci weszli do pomieszczenia, w którym zdecydowana większość ludzi chciałaby się znaleźć najwyżej raz, i to nie w życiu, a dopiero po jego zakończeniu.

Odziana we flizelinowy fartuch Renata Bujko-Wawrzyniak stała pod oknem; oprócz niej w sali znajdowało się dwóch mężczyzn – obaj mieli na sobie kitle zdradzające zawód medyczny. Starszy z nich, całkiem siwy staruszek, uśmiechnął się przyjaźnie do przybyłych.

– Dzień dobry, panowie. Pani prokurator już zaczynała się niecierpliwić.

– Bardzo przepraszamy, zatrzymały nas czynności dochodzeniowo-śledcze – wyjaśnił Miziacz i uśmiechnął się przepaszająco.

– Szalenie jestem ciekawa, co też w ich trakcie ustaliliście, podkomisarzu, za chwilę złożę mi pan szczegółowy raport. – Miedzianowłosa kobieta rzuciła w jego kierunku pełne ironii spojrzenie. – A teraz, skoro zaszczyliliście nas swoją obecnością, możemy zaczynać, panie profesorze.

– Tak, tak, oczywiście. – Staruszek ruszył do umywalki, gdzie wyszorował dłonie zgodnie ze wszystkimi standardami, po czym włożył

rękawiczki i zbliżył się do stołu sekcyjnego, na którym spoczywało ciało przykryte białą tkaniną.

Miziacz odruchowo cofnął się w najdalszy kąt, zostawiając wątpliwą przyjemność przyglądania się zmarłakowi prokuratorce i obducentom. Jego interesowało tylko to, kto i dlaczego zabił. Reszta – tym niech się inni martwią.

Profesor przystąpił do sekcji, a Renata dzielnie mu asystowała podczas kolejnych jej etapów, co jakiś czas pytając o różne szczegóły. Już na pierwszy rzut oka dało się ustalić, że mężczyzna w wieku między czterdzieści pięć a sześćdziesiąt lat przed śmiercią został solidnie skatowany, o czym świadczyły liczne krwiaki i zasinienia, a bezpośrednią przyczyną zgonu była dziura w czaszce średnicy trzech centymetrów.

Badanie przeciągało się w nieskończoność – przynajmniej takie wrażenie odnosił Miziacz – bo Renata wciąż o coś pytała, niekiedy po kilka razy, a profesor cierpliwie wyjaśniał, zachwycony zainteresowaniem pięknej prawniczki. Podkomisarz miał przeczucie graniczące z pewnością, że ona to robi złośliwie, znając jego niechęć do udziału w sekcjach. W pewnym momencie nie mógł już ukryć zniecierpliwienia i zaczął wydawać dźwięki zbliżone do sapania astmatyka.

– Dobrze się czujesz? – rzuciła Renata znad ziejącego bebeczami otworu w korpusie denata.

– Duszno mi – odparł Miziacz.

– To może otworzymy okno? Żeby nam pan tu nie zemdłał, podkomisarzu! – zaniepokoił się profesor, ewidentnie odznaczający się wyjątkową empatią.

Nie był to efekt, na który liczył Marcin, niemniej skinął na Żabkę, żeby ten uchylił okno. Młodzieniec o urodzie ryby przez chwilę siłował się z rzadko używaną klamką, po czym do pomieszczenia wleciało pachnące wiosną powietrze.

– Czy możemy już uściślić czas zgonu, panie profesorze? – zapytała Renata, litując się nad podkomisarzem. – Panowie muszą zapewne stawić się w komendzie, więc wypuścimy ich, o ile to możliwe.

– Biorąc pod uwagę warunki, w jakich ofiara została znaleziona, śmiem twierdzić, że jedyną osobą mogącą dokładnie określić czas zgonu jest antropolog sądowy – odpowiedział z uśmiechem profesor. – A jako że mamy ich w kraju aż trzech i zapewne każdy z nich jest w tej chwili zajęty sprawami większej wagi, to mogę jedynie spróbować zawęzić czas zgonu, ale próba ta z pewnością obarczona będzie ryzykiem błędu.

– A co mamy do stracenia? – zapytał retorycznie Miziacz.

– To prawda, lepsze to niż nic – zgodziła się prokuratorka.

– Doskonale, drodzy państwo, doskonale. – Dziadziusiowaty profesor uśmiechał się szeroko, jakby właśnie spełniło się marzenie jego życia. – Jeśli weźmiemy pod uwagę stan zwłok, warunki, w jakich zostały znalezione, to... – Urwał nagle, bo coś mu przyszło do głowy. – Czy denat znajdował się w jakimś okryciu? To znaczy: był czymś owinięty?

– Nakryty był workiem jutowym, technicy go zabrali – wyjaśnił pośpiesznie Żabka.

– Hmm, dziwne... – Medyk przyjrzał się skórze, która wyglądała, jakby pokryto ją gaszonym wapnem.

– Co takiego, panie profesorze? – Renata także pochyliła się nad ciałem, ale niewiele mogła z niego wyczytać.

– Takie zmiany, jakie mogą państwo zaobserwować na skórze ofiary, wskazują na rozpoczęte przeobrażenia tłuszczowo-woskowe, a to z kolei oznacza, że musiał długo leżeć w ziemi, ale na ciele nie było wcale aż tak wielu larw. *Ergo*: albo denat został zakopany w dole niedawno, albo był dosyć szczelnie owinięty czymś, co utrudniło muchówkom złożenie jaj.

Prokuratorka podniosła wzrok na bladych policjantów, a w jej oczach pojawiło się pytanie. Niestety żaden z mężczyzn nie był w stanie udzielić na nie odpowiedzi, przynajmniej na razie.

– Zakładając, że był w coś zawinięty lub przechowywany w innych warunkach, to kiedy zginął? – zapytała dziadziunia, który wciąż zastanawiał się nad niecodziennym przypadkiem.

– Między dwa a cztery miesiące temu, z pewnością nie wcześniej, bo masa woskowa jest wciąż stosunkowo cienka.

Miziacz natychmiast skonfrontował tę informację z tym, czego dowiedział się od Katarzyny Jakimiuk: Oleg Wasiljew kupił zamek niespełna cztery miesiące temu, od tamtej pory na terenie ogrodu wiecznie coś się działo, kręciło się mnóstwo ludzi, więc wykopanie grobu byłoby raczej niemożliwe. Należałoby zatem założyć, że do morderstwa doszło wcześniej, co z grubsza wyklucza obecnych właścicieli. No właśnie, z grubsza. Bo w zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, żeby ukatrupili Maksymiliana i pochowali go tam, gdzie będą mogli mieć na niego oko. Historia zna już podobne przypadki. I co właściwie wiadomo o Olegu Wasiljewie poza tym, że jest Rosjaninem i obraca milionami? Same niewiadome...

Podobne myśli musiały pojawić się w głowie prokuratorce, bo zerknęła na Miziacza wymownie, jakby pytała: „Teraz mi wierzysz, że ta kobieta musi wiedzieć coś więcej?”.

– Panowie, jesteście wolni – powiedziała po chwili, wciąż przeglądając się w oczach podkomisarza. – Skończę tutaj z profesorem, zbiorę kwity i widzimy się w prokuraturze. Spróbujcie pogrzebać w życiorysach nowych właścicieli zamku. Może sierżant Żabka miał nosa z tą seryjną morderczynią.

Miziacz prawie się uśmiechnął na myśl, że mogłaby mu się trafić sprawa seryjnego. To byłoby jak Gwiazdka w kwietniu. Wielkanoc idzie, więc to nawet pod Zajączka by podchodziło – wszystko idealnie się składa. Niemal zaczął się modlić o to, żeby Katarzyna Jakimiuk okazała się krwiożerczą bestią, a wtedy on, podkomisarz Marcin Miziacz, będzie mógł ją sprofilować i zdobędzie sławę, o której w skrytości ducha marzył. To o nim

będą kręcić seriale, a zagra go... Najlepiej by było, gdyby sam siebie zagrał, bo któż lepiej od niego zrozumie meandry jego umysłu? Ale gdyby nie mógł, to ostatecznie Ryan Phillippe. Ale ostatecznie!

– Halo! Ziemia do Miziacza! – Świdrujący sopran przebił się przez marzenia i dotarł do mózgu mężczyzny.

– Tak? Przepraszam, zamyśliłem się...

– Wyjątkowo głęboko – ironizowała prokuratorka. – Pytałam, czy nie spotkaliście mojej ciotki, Agaty. Miała dziś przyjechać do pałacu.

– Owszem, przyjechała. – Ton policjanta nie pozostawiał żadnych złudzeń w kwestii uczuć, jakie towarzyszyły poznaniu ciotki Renaty. – Ty wiedziałaś, że ona zna tę Katarzynę Jakimiuk tak bardziej prywatnie?

– Co ty powiesz? To nawet dobrze się składa, moja ciotka jest wścibska i ciekawska, a już na pewno nie odpuści sobie możliwości poprowadzenia prywatnego śledztwa. Zostawcie to mnie.

„Z dziką rozkoszą”, pomyślał Miziacz, ale przezornie się nie odezwał. Skinął głową na pożegnanie, obrócił się na pięcie i z wielką ulgą opuścił miejsce, które będzie mu się kojarzyć ze sztywną atmosferą do końca życia. A później tym bardziej.

Po wyjściu na zewnątrz odetchnął głęboko, założył na nos modne okulary z lustrzanymi szklami i żwawym krokiem ruszył do samochodu. Sierżant Żabka szedł tuż za nim, grzebiąc w telefonie, przez co niemal zarył nosem w latarnię, obok której stał zaparkowany samochód Miziacza.

– Coś ciekawego tam znalazłeś? – zarechotał podkomisarz.

– Sprawdzalem w Google'ach tego Wasiljewa, żeby od czegoś w ogóle zacząć – wyjaśnił, zajmując miejsce w samochodzie. – Miejmy nadzieję, że uda nam się ustalić personalia Maksymiliana w miarę szybko, bo inaczej czarno to widzę.

– Trzeba przeczesać bazy zaginionych, na bezdomnego nie wyglądał, sądząc po ubraniach.

– W sumie racja – przyznał Żabka. – Może technicy znaleźli jakieś mikroślady, a może zdarzy się cud...

– Na cuda to ty lepiej, Lesiu, nie licz, ale nadzieję zawsze warto mieć. Dla naszego dobra najlepiej by było, gdyby morderca sam się do nas zgłosił i przy okazji wyjawiał tożsamość ofiary. Ale takie rzeczy się nie zdarzają, nawet w bajkach, więc pozostaje nam stara dobra kryminalistyka.

Sierżant Żabka westchnął cicho, bo i jemu w skrytości ducha marzył się spektakularny sukces, który pozwoliłby mu przenieść się do Wrocławia. Pomarzyć zawsze można, a tymczasem czeka go orka na ugorze i taplanie się w guanie, jak mawiał jego dziadek, szambonurek, znaczy pracownik przedsiębiorstwa komunalnego oczyszczającego miasto.

## Rozdział XVII. Chyba znaleźliśmy twoją żonę

Wąty powoli zaczynał żałować, że dał się namówić na wycieczkę do matuchny Bidula, o kropnięciu tego typu już nawet nie wspominając. Kunicki wciąż ciosał mu kołki na głowie i wiecznie był wściekły, a przecież miał odpoczywać i zdrowieć. „Chciałem dobrze, a wyszło jak zwykle – myślał Daniel Liszka, zakończywszy rozmowę przez telefon. – I teraz na dwoje babka wróżyła: albo będzie sukces, albo znowu gównem z tego wyjdzie, a szef ostatecznie się załamie”.

Takie myśli kołatały się w głowie Wątłego, kiedy usłyszał wołanie szefa. Nie było to w żadnym wypadku wołanie o pomoc, prędzej o pomstę do nieba, i nie wróżyło zbyt dobrze.

– Wołał mnie szef? – zapytał, rznąc głupa, bo nawet ten typ pewnie słyszał.

– Nie, śpiewałem *My Heart Will Go On* – warknął Kunicki. – No jasne, że cię wołałem, baranie jeden. Co zrobiliście z łomem?

Wąty może do Mensy się nie nadawał, ale skojarzenia całkiem nieźle mu działały, wobec czego zrozumiał pytanie.

– Zostawiliśmy u matuli Bidula, mówiła, że jej się przyda do odstraszenia lisów.

– Na pewno?

– No ja nie wiem, czy na pewno. Żadnego lisa tam nie widziałem, ale po co miałyby kłamać? – Liszka rozłożył ręce w geście bezradności.

– Czy na pewno zabraliście łom z miejsca zbrodni, ty geniuszu? – wycedził Mikołaj, ledwo hamując wybuch gniewu.

– Co też szef? No pewnie, że na pewno! Chyba wiem, co zabrałem, a czego nie zabrałem... – Wąty nie zdążył się w porę zatrzymać, a na jego nieszczęście Kunicki intuicję miał całkiem sprawną.



– No i popatrz, Wąty, jak to kłamstwo nie popłaca. Chętnie się dowiem, co moi mistrzowie niezostawiania śladów zostawili dla psów.

– Ale nie ma się o co martwić, szefie. Po takim czasie już nic tam nie zostało. – Wąty machnął ręką, żeby dodać sobie odwagi. – Jeśli nie załatwiły tego trupie wydzieliny, to robaki już na sto procent.

– Proszę bardzo, matematyk się znalazł. W myślach prawdopodobieństwo liczy, no, no... – Mikołaj zbliżył się do chłopaka i poklepał go po policzku. – Słuchaj no, Wątlutki, ja cię po raz ostatni proszę, żebyś mi nerwów nie psuł. Gadaj natychmiast, co zostawiliście przy zwłokach, żebym ja się z gazet nie dowiedział, że mnie policja szuka za przestępstwo przeciwko życiu.

– Pa...paragon. – Broda Liszki zaczęła drżeć jak u dziecka, które ostatkiem sił hamuje wybuch płaczu.

– Co?

– Paragon. No, taki świstek ze sklepu, co się w kasie dostaje. Wypadł mi z kieszeni, jak się pochyliłem, i już nie dałem rady sięgnąć.

Kunicki przeżuł w ustach słowa nienadające się do wypowiedziania w towarzystwie dam, a zaraz potem wziął serię głębokich wdechów i wyobraził sobie, że jest kwiatem lotosu. Co prawda nigdy w życiu nie widział kwiatu lotosu, więc chwilowo został grzybieniem, ważne jednak, że metoda działała.

– Co było na tym paragonie, Wąty? – zapytał całkiem spokojnie, wciąż oglądając oczyma duszy pływający na liściu kielich lilii wodnej.

– Nic takiego, szefie, same szpargały do kuchni: patelnie, garnki, tarka do sera. Wszystkiego nie pamiętam...

– I oczywiście zapłaciłeś gotówką?

Wąty stropił się, bo odpowiedź na to pytanie mogła go słono kosztować, ale po chwili przypomniał sobie o okoliczności łagodzącej i rozpromieniony wypalił:

– Lepiej, szefie! Zapłaciliśmy kartą tego typu! Nikt nas z nim nie połączy, na milion procent!

Mikołaj Kunicki optymistą był raczej umiarkowanym z tendencją zniżkową, więc milion procent podziałał na niego całkiem odwrotnie, niż Wąty mógł oczekiwać. Otworzył oczy i w skupieniu wpatrywał się w nalaną twarz chłopaka. Trwało to dobrych kilka minut, po których nawrócony mafioso w milczeniu nakazał Liszce opuścić swoją osobistą przestrzeń, a tym samym swój osobisty pokój.

Wąty wycofał się posłusznie, ale w proggu przypomniał sobie o istotnej sprawie, która mogłaby zmienić nastrój pryncypała.

– Szefie? – zagaił niemal niesłyszalnym szeptem. – Jest coś jeszcze...

Odpowiedziała mu cisza.

– Bidul dzwonił z meldunkiem. I powiedział, że... Powiedział, że chyba znalazł twoją żonę – wyrzucił z siebie z ulgą.

Kunicki drgnął. I jeszcze raz, i kolejny. Chude nogi pokryte gęstwą czarnych włosów ugięły się lekko i Mikołaj musiał się chwycić brzegu łóżka.

– Szefie? Niech szef się odezwie! – Głos chłopaka drżał coraz silniej, jeszcze chwila, a przeszedłby w płacz.

– Wąty?

– Tak, szefie?

– Zapamiętaj sobie raz na zawsze: *ja nie mam* żony. I jeśli kiedykolwiek jeszcze usłyszę to słowo, matka Bidula nie będzie miała czym odstraszać lisów, bo ten łom pochowam razem z tobą.

– Tak jest, szefie. Rozumiem, szefie.

– A teraz podaj mi szklanekę wody i szykuj się do wyjazdu.

– Ale, szefie...

– Zawrzyj pysk i rób, co ci mówię! – ryknął Mikołaj. Od miesiący nie używał tego głosu, a to oznaczało, że lilia wodna odplynęła w siną dal. –

Dziś w nocy, kiedy wszyscy pójdą spać, masz mnie zawieźć tam, gdzie ona jest. I lepiej dla ciebie, żeby faktycznie tam była.

## Rozdział XVIII. Khólowa Śródka miała przebłysk geniuszu

– Nazwisko?

– Rójek.

– Imię?

– Sylwester.

– Wiek?

– Dwadzieścia dwa. I pół.

– Wzrost?

– Wysoki.

Świdrujące spojrzenie Agaty Śródki przewiercało chłopaka na wylot, dodał więc szybko:

– Metr osiemdziesiąt dwa.

– Na jakie stanowisko pan aplikuje?

– Ja mogę wszystko... Kelnera. Chciałbym być kelnerem – poprawił się niezwłocznie w obawie przed śmiercią od wzroku bazyliuszka.

– Ma pan doświadczenie w takiej pracy?

Sylwester Rójek, lat dwadzieścia dwa i pół, w niektórych kręgach lepiej znany jako Bidul, zamyślił się nad odpowiedzią. Zdarzało mu się biegać ze szklankami i butelkami w czasie libacji, które jeszcze do niedawna regularnie odbywały się w domu jego pracodawcy. Zdarzało mu się sprzątać ze stołów, wycierać podłogi, zbierać potłuczone szkło. Tak, zdecydowanie mógł powiedzieć, że ma doświadczenie, i to solidne.

– Jak Lewandowski w reprezentacji – błysnął porównaniem.

– Kiedy może pan zacząć? – indagowała Śródka, ani na moment nie spuszczać wzroku z twarzy chłopaka.

– Aktualnie jestem bezrobotny, to mogę nawet i zaraz.

– Doskonale! – Katarzyna klasnęła w dłonie, za co spotkało ją karcące spojrzenie przyjaciółki.

– Moment, nie tak szybko – odezwała się zimno Agata. – Do otwarcia pałacu pozostał tydzień, przyjmujemy pana na próbę i jeśli się pan sprawdzi, dostanie pan pracę. Zacznie pan jutro, punktualnie o szóstej rano. No co pan tak na mnie patrzy, jakbym panu matkę zamordowała? Kuchnia zaczyna wcześniej.

Chłopak skinął głową z rezygnacją, bo na negocjacje wyraźnie nie było żadnych szans, podziękował uprzejmie za spotkanie i obiecał stawić się bladym świtem. Starał się przy tym nie gapić na Katarzynę nachalnie, choć wzrok uciekał mu w jej kierunku.

– I co myślisz, Agatko, będą z niego ludzie? – zagadnęła Jakimiuk po wyjściu młodzieńca.

– Okaże się, ale wielkiego wyboru nie mamy. Ci wszyscy poprzedni nadają się jak wół do karety.

– Nie miałaś wrażenia, że jakoś tak intensywnie mi się przyglądał?

– Nic dziwnego, że ci się przyglądał, skoro cały bufet na wierzch wywaliłaś. Młody jest, hormony mu szaleją. Lepiej wybieraj ubrania z mniejszym dekoltem, chyba że chcesz, żeby ci narzeczony robił wymówki.

– Phi! – parsknęła Katarzyna. – Oluś mi nigdy żadnych wymówek nie robi, on wielbi ziemię, po której stąpam.

– Do czasu, moja droga, do czasu... – judziła Śródka odrobinę poirytowana.

Sama właściwie nie wiedziała, skąd bierze się owa irytacja, niemniej coś ją kłuło i psuło całkiem dobry dotychczas nastrój.

Sylwester Rójek był ostatnim kandydatem, który stawił się tego dnia na rozmowę, więc w końcu mogły się zająć omawianiem przygotowań do otwarcia pałacu. Przeszły do skrzydła, w którym znajdowały się kuchnia i wielka sala jadalna, gdzie czekała na nie Delfina Blanc pogrążona w lekturze. Agata rozejrzała się w poszukiwaniu Michela, jednak nigdzie go

nie dostrzegła. Usiadła w fotelu i zdjęła uwierające ją szpilki w kolorze łososa.

– Nie znoszę nierozchodzonych butów, stopy mnie palą od spodu!

– Aż dziw bierze, że żylaków od nich nie masz. – Delfina z podziwem przyglądała się zgrabnym nogom Śródki.

– Moja mama pracowała jako fryzjerka i na starość była jednym wielkim żylakiem. – Katarzyna rozsiadła się w fotelu i zajęła zawijaniem złotych włosów na palec.

– À propos matek – przypomniała Śródka. – Miałaś zdradzić powód twojej wojenki z Michele, *mon cherie*. Cóż takiego ma ci za złe to twoje *enfant terrible*?

Delfina odłożyła książkę na podłokietnik fotela i pochyliła się lekko. Agata i Katarzyna poszły w jej ślady.

– Mój syn ubzdurał sobie, że jego świętym obowiązkiem jest decydowanie o moim życiu uczuciowym – wyszeptała pani Blanc.

– Ale że jak? – zdziwiła się Katarzyna. – Mówi pani, kiedy może pani chodzić na randki, i wyznacza godzinę policyjną?

– Mówi mi, z *kim* mogę chodzić na randki. A raczej z kim nie mogę.

– Selekcję robi? A jakie są kryteria? – Okrągłutka blondynka wyglądała na szczerze zaintrygowaną.

– Jak znam Michela, to nawet książkę Monaco by ich nie spełnił – zadrwiła Agata. – Delfino, coś mi się zdaje, że nie powiedziałaś jeszcze wszystkiego.

– Nic się przed tobą nie ukryje – odparła półgębkiem pani Blanc, a na jej policzkach wykwitły rumieńce. – No dobrze, powiem wam, czuję, że i tak nie dacie mi spokoju. Kilka miesięcy temu poznałam kogoś i zaczęliśmy się widywać.

– Ha! – wykrzyknęła Katarzyna i natychmiast zakryła usta dłonią. – To znaczy: ha – dodała szeptem. – To poważne?

– Chyba jeszcze za wcześnie, żeby o tym wnioskować. – Delfina czuła się odrobinę skrępowana, ale też ulżyło jej, kiedy podzieliła się ciężącym sekretem. – Poza tym na razie mamy przymusowy urlop, bo mój... przyjaciel wyjechał na specjalistyczne leczenie za granicę.

Śródka przyglądała się matce Michela w skupieniu, szczegółowo analizując usłyszane informacje. Intrygowało ją zwłaszcza to, co tamta przemilczała. Bez wątpienia musiały być to detale istotne, o Michelu bowiem wiele rzeczy można by powiedzieć, na pewno jednak nie to, że chciałoby mu się układać życie własnej matce. Na to był zdecydowanie zbyt egocentryczny i leniwy. Agata zastanawiała się, w jaki sposób sformułować pytanie diagnozujące, żeby dowiedzieć się wszystkiego, a jednocześnie nie urazić pani Blanc, okazało się jednak, że na próżno sili się na dyplomację, bo Katarzyna dawno już przestała zawracać sobie nią głowę.

– Za granicę? To znaczy, że jest bogaty – wnioskuje blondynka o figurze Wenus z Willendorfu. – Czym się zajmuje? Gdzie mieszka? Kogo zna? Przystojny jest?

Zasypana obcesowymi pytaniami Delfina poczuła się odrobinę zaszczuta i oblała się purpurą. O ile wtykanie nosa w cudze sprawy nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu, o tyle naruszanie jej prywatności budziło niejaki wątpliwości.

– Tak właściwie to nie wiem dokładnie, czym się zajmuje... – wyznała z zawstyżeniem. – Nigdy go o to wprost nie zapytałam, a on sam też się nie chwalił. Interesy robi, międzynarodowe. Kiedyś słyszałam, jak wydawał swoim pracownikom polecenie zrobienia porządku z kimś o ukraińskim nazwisku, więc domyśliłam się, że zatrudnia imigrantów.

– A o jego prywatnym życiu coś wiesz? – Agata wciąż przyglądała się Delfinie z lekką zadumą.

– Niewiele. Był żonaty, ale chyba przestał być w jakichś tragicznych okolicznościach. W każdym razie już nie jest – dodała natychmiast, by

uniknąć podejrzeń o pakowanie się w romans z wiarołomnym facetem.

– A jego dom? Gdzie mieszka? Penthouse, willa, apartament? – Katarzyna zdecydowanie miała inne priorytety niż Agata Śródka, która latami gnieździła się z rodziną w ciasnej kawalerce odziedziczonej po babci i była wtedy najszczęśliwsza na świecie.

– Nigdy nie byłam w jego domu. – Matka Michela pokręciła głową ze smutkiem. – Spotykaliśmy się w restauracjach albo u mnie w mieszkaniu.

– To może to jakiś biedak jest?! – W głosie Jakimiuk brzmiało autentyczne przerażenie. – Znalazł sobie bogatą wdówkę, a potem ciach: suszarka w wannie i wypadek gotowy.

– Co też pani wymyśla! To żaden morderca, niech pani nawet takich rzeczy głośno nie opowiada i nie szkaluje porządnego człowieka! Agato, powiedz coś!

– Sama nie wiem – odparła Śródka, mierząc wzrokiem kasztanowłosą kobietę. – Nie znamy okoliczności tragicznego zakończenia jego małżeństwa, może warto by jednak poszperać. Mordercy nie mają na czole znaku Kaina, a teoria Lombroso już dawno została obalona. Większość zwyrodnialców to z pozoru zwykli ludzie.

– No właśnie! – poparła ją Katarzyna. – Agata wie, co mówi. Jednego nawet przyskrzynała.

– Dwóch – poprawiła ją Śródka. – I żaden nie wyglądał na złoczyńcę. Za to jeden wyglądał trochę jak moja przyjaciółka...

Ziarno niepewności, które zasiały w umyśle Delfiny jej dzieci, zaczęło kiełkować, podlewane kolejnymi argumentami. Właściwie co ona wiedziała o tym swoim „przyjacielu”, który często zniknął na kilka dni, żeby nagle pojawić się w jej drzwiach z ogromnym bukietem białych tulipanów i przeprosinami w czarnych oczach? Nigdy o sobie nie mówił, a kiedy tylko przekraczała granicę poufałości, natychmiast się wycofywał. Nie pisał, nie dzwonił i bez słowa wyjaśnienia przechodził nad tym do porządku



dziennego. No i ta jego żona. Umarła? Zostawiła go? Usmażyła się w wannie z suszarką?

Delfina otrząsnęła się z odrazą, przekonana, że obraz tej wanny będzie jej towarzyszyć przez długi czas. A przynajmniej dopóki się nie dowie, co spotkało żonę mężczyzny, w którym zaczęła się zakochiwać.

– Co o tym sądzisz, Delfino? – zapytała Śródka, wyrywając panią Blanc z rozmyślań.

– O czym?

– O tym, że trzeba go przeświecić i zobaczyć, czy na pewno jest tym, za kogo się podaje – wyjaśniła Agata.

– No wiesz usłyszałem coś mądrego! Khólowa Śródka miała przebłysk geniuszu! – Michel wparował do jadalni i stanął obok fotela, w którym siedziała jego matka. – Mówiłem ci od początku, że ten twój Mahkowski to jakiś szemhany typek, a ty tylko „nie mów bzdur, nie oceniaj, nie bądź zazdrosny”. Przyznaj się lepiej, że musiałaś to usłyszeć z ust baby, prawda?!

– Przestań się pieklić, Michelu, bo ci ta zmarszczka na czole zostanie i będziesz mógł dzieci straszyć bez charakteryzacji – ofuknęła go Agata. – I bądź łaskaw nie używać słowa „baba” w odniesieniu do dam.

– Dam, sham – prychnął pół-Francuz. – Khólowa, mahkiza i cahyca, jak Boga kocham!

Widząc, że na przychylność kobiet nie ma co liczyć, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z jadalni do ogrodu. Oczywiście na nikim jego ostentacyjne tupanie nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

Tymczasem Sylwester Rójek, ukryty za berberosem rosnącym pod oknem jadalni, z uwagą wysłuchiwał rozmowy toczącej się między trzema kobietami, z których jedna coraz bardziej go interesowała. Co prawda jej wygląd odbiegał od tego, jaki zapamiętał, ale w tych czasach zmiana rysów twarzy nie nastrocza najmniejszych kłopotów, zwłaszcza komuś, kto dysponuje

milionami. Ufarbowanie włosów i utuczenie się jak prosiak też raczej nie jest trudne. Czyżby sprzyjał mu ślepy fart?

Na wypowiedziane przed chwilą przez Michela nazwisko nie zwrócił już uwagi zajęty pisaniem wiadomości na telefonie. Skutki tego zaniedbania okazały się opłakane, ale nie uprzedzajmy faktów.

## Rozdział XIX. Wszystko zależy od pana podkomisarza

Sierżant Leszek Żabka bezmyślnie przeglądał strony internetowe poświęcone osobom zaginionym, sam nie bardzo wierząc w powodzenie tego przedsięwzięcia. Skoro nie znalazł w policyjnych bazach nikogo, czyj opis zgadzałby się z cechami Maksymiliana, to albo nikt go nie szukał i trzeba będzie go pochować w kwaterze dla NN, albo... Nic nie przychodziło mu do głowy. Znużony oglądaniem setek zdjęć, wpisał do wyszukiwarki hasło „Maksymilian” i po przeklikaniu kilku stron poświęconych ojcu Kolbemu porzucił również i to zajęcie. Co teraz? Jak ruszyć ze sprawą, w której absolutnie nic nie wiadomo?

– Podnoś siedzenie, Lesiu – rzucił Miziacz, wetknąwszy głowę przez uchylone drzwi. – Jedziemy do zamku, zrobimy jeszcze jedną rundkę z panią Katarzyną, a przy okazji popytamy robotników.

– Ogrodnika też by wypadało... – zauważył nieśmiało Żabka.

– Słusznie, w końcu jest współbohaterem dramatu. Jeśli się nie zjawi, trzeba będzie go poszukać – skonstatował podkomisarz. – No, zwawo, zwawo, chciałbym się uwinąć przed wieczorem.

W drodze do Roztoki Żabka przeglądał dostępne w internecie informacje na temat zamku, który w XVIII wieku został przebudowany na pałac, ale wciąż mówiło się o nim zamek. Burzliwa historia Dolnego Śląska odcisnęła piętno także na posiadłości znajdującej się w posiadaniu śląskiego rodu von Hochberg aż do zakończenia II wojny światowej. Znalazł lakoniczne anonse w lokalnej prasie dotyczące nowego właściciela, „który życzy sobie zostać anonimowy”, a z jednego z portali poświęconych turystyce dowiedział się, że „zamek przeszedł w prywatne ręce, a jego nowi właściciele zamierzają go odrestaurować i przywrócić mu dawną świetność”.

– Tyle to sami wiemy – parsknął Miziacz, kiedy Żabka przeczytał mu ową wzmiankę. – Ciekawe, dlaczego temu Ruskiemu tak bardzo zależy na

anonimowości, jak myślisz, Lesiu?

– Nie mam bladego pojęcia. – Sierżant wzruszył ramionami. – Może to jakiś filantrop?

– E tam. Kulczyk był filantrop, Czarnecki jest filantrop, a jakoś anonimowi nigdy nie byli. Moim zdaniem, Lesiu – perorował podkomisarz z niezachwianym przekonaniem – to jest jakaś przykrywka. Nikt normalny nie kupuje pałacu, jeśli nie chce w nim zrobić muzeum czy innej równie bezsensownej galerii sztuki.

– Hotel tam chcą otworzyć, taki więcej luksusowy – przypomniał mu Żabka. – Ze spa, kąpielami w błocie z Morza Martwego i innymi wymysłami.

– No to tym bardziej! – Miziacz nie dawał za wygraną. – Pomyśl sobie, ile za te luksusy trzeba będzie zapłacić. A kogo stać, żeby za grube tysiące moczyć tyłek w jakimś martwym błocie? Mówię ci, bracie, mam przecucie, że tu jakieś szwindle odchodzą.

Sierżant Żabka nie wyglądał na przekonanego, jednak kontrargumentów nie miał żadnych, a i na kłótni z przełożonym wcale mu nie zależało. Jego intuicja nie zgadzała się z teorią Miziacza, ale musiała siedzieć cicho. Najpierw trzeba zebrać dowody, a dopiero później wyrokować.

Zajechali pod zamek dokładnie w chwili, w której Michel wychodził do ogrodu, ostentacyjnie tupiąc i rzucając pod nosem klątwy pod adresem trzech wiedźm. Na widok wysiadających z samochodu policjantów zatrzymał się nagle, po czym czmychnął za rosnące pod oknami berberysy.

– A pan to kto? – szepnął na widok chłopaka kucającego za jednym z krzaków.

– Kelner – odparł tamten, również szeptem.

– Aha, to ghatuluję.

– Dziękuję. Sylwester Rójek. – Młodzieniec wyciągnął rękę, którą Michel uścisnął delikatnie.

– Michel Blanc – odparł nieco osłupiały. – Dlaczego siedzi pan w krzakach?

– Chowam się. A pan?

– Ja też.

Nić milczącego porozumienia nawiązała się między nimi niemal natychmiast, a wygląd zewnętrzny dwudziestodwuletniego Rójka z pewnością bardzo w tym pomógł. Młodzieniec charakteryzował się bowiem urodą cherubina, a jego idealnie owalną twarz okalały loczki w kolorze ciemnoblonde.

Michel odczekał, aż policjanci znikną w głębi pałacu, po czym skinął chłopakowi na pożegnanie i rażnym truchtem udał się do ogrodu. Rójek tymczasem wycofał się zza krzewu, otrzepał spodnie, które zdążyły obleźć liśćmi berberysu, i pogwizdując, ruszył w kierunku domu, żeby przygotować się na przyjazd szefa. Czekala go nieprzespana noc, więc może jeszcze zdąży uciąć sobie energetyzującą drzemkę. Za to wszystko, czego udało mu się dowiedzieć, z pewnością mu się należy.

Miziacz z Żabką zajrzeli do remontowanego skrzydła pałacu, nie znaleźli tam jednak nikogo, ruszyli więc w drugą stronę, podziwiając freski na suficie i zdobienia na ścianach. Piękno budowli zapierało dech w piersiach nawet takim laikom jak oni.

– A, tu się panie ukryły! – zawołał Miziacz na widok trzech kobiet rozprawiających nad czymś ze strategicznych pozycji w głębokich fotelach.

– Ależ skąd, my się wcale nie kryjemy! – odkrzyknęła Katarzyna. – Dobrze się składa, że panowie się zjawili.

– Naprawdę? – zdziwił się Żabka, na którego widok niemal nikt nigdy się nie cieszył.

– Naprawdę, naprawdę – potwierdziła Śródka. – Niech panowie tu do nas dołączą, potrzebujemy rozstrzygnięcia.

Zaintrygowani policjanci zbliżyli się do ustawionego pośrodku stolika, na którym leżała otwarta książka. Album raczej – kolorowe zdjęcia

przedstawiały wyjątkowo jarmarczne jaja, na pierwszy rzut oka przypominające przesadzone pisanki.

– Jak możemy pomóc? – zapytał Miziacz, przyglądając się fotografii różowego dzieła.

– Musimy wybrać wzór jaja, które wykona dla nas nasza mistrzyni, Agata Śródka, a następnie odtworzą je ubiegający się o tytuł mistrza cukiernictwa uczestnicy telewizyjnego show – wyjaśniła Delfina.

– *Ta* Agata Śródka?! – Żabka wytrzeszczył oczy. – Ta restauratorka z telewizji?!

– Ta sama – odpowiedziała Delfina, tłumiąc chichot. Wyglądało na to, że sierżant nie rozpoznał w Agacie jej samej, co wydawało się wyjątkowo komiczne.

– Widział ją pan kiedyś? – zagadnęła właścicielka pałacu w Gościńcu i puściła porozumiewawcze oko do Delfiny.

– Na żywo nie miałem okazji, w telewizji tylko – wyjął młody funkcjonariusz.

– Hmm... – Agata wcisnęła na stopy niewygodne buty i stanęła w pozie, którą zwykle przyjmowała w programach kulinarnych. – No to teraz okazja się nadarza.

– To... to pani?! – wybąkał sierżant i spiekł raka aż po czubek rybiej głowy.

– Aż się dziwię, że mnie pan nie poznał – odparła z uśmiechem restauratorka. – Może to dlatego, że kamera dodaje pięć kilo do osobowości.

– I chyba z pół metra wzrostu – wyrwało się chłopakowi, za co natychmiast przeprosił.

Zakłopotany Miziacz wodził wzrokiem od Śródki do Delfiny, przemknął po obfitym biuście Katarzyny i ostatecznie zatrzymał go na twarzy skonsternowanego Lesia.

– Czy ktoś mi może wytłumaczyć, co tu się właśnie wydarzyło? – zazaądał. – Pani jest kimś sławnym, tak?

– E tam, bez przesady. – Agata machnęła ręką, wyrażając lekceważący stosunek do sławy. – Tylko w pewnych kręgach.

Podkomisarz Marcin Miziacz bardzo nie lubił być wykluczany z kręgów, bez względu na to, wokół czego się skupiały. Tym bardziej złościł go fakt, że jego podwładny w owym kręgu się znajdował. Nagle go olśniło. Pacnął się w czoło z takim rozmachem, że aż echo poszło, i wykrzyknął:

– Już wiem! To pani jest tą ciotką Renaty, która wplątała się w podwójne morderstwo!

Agata z godnością przyjęła tę oczywistą omyłkę, bo przecież morderstwo było potrójne, za to sprawców dwóch. Na wplątanie jednak zgodzić się nie mogła.

– Tu należy się sprostowanie, panie podkomisarzu: ja zostałam w tę zawiłą sprawę wplątana, sama nie miałam z nią nic wspólnego.

– Poza byłym mężem i niedoszłym adoratorem – ironizował Miziacz, bo już przypomniały mu się wszystkie szczegóły. – Proszę, proszę. I znów zjawia się pani we właściwym miejscu i czasie. Ciekawy zbieg okoliczności.

Śródka nie dała po sobie poznać, że słowa policjanta dotknęły ją do żywego, poprzysięgła mu jednak zemstę, a ta, jak wiadomo, najlepiej smakuje na zimno. Uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła, i wróciła do wygodnej pozycji w fotelu, po czym zrzuciła buty, na których widok robiło jej się gorzej.

– Skoro już wiemy, kto jest kim, wróćmy może do wyboru jaja – zaproponowała miękko. – Delfina optuje za Pamięcią Azowa, ja za konwaliowym, a Katarzyna uparła się na koronacyjne. Niech panowie rozstrzygają.

– Wcale się nie uparłam, tylko uważam, że jest najpiękniejsze – nachmurzyła się Jakimiuk. – Skoro ma to być arcydzieło, w dodatku wystawiane w prawdziwym pałacu, niech będzie prawdziwie cesarskie.

– Ty naprawdę masz w sobie coś z carycy – skwitowała Śródka. – A niby jak ja mam tę karekę zrobić? Samo jajo zajmie ze trzy dni. A potem amatorzy mają to powtórzyć? Zapomnij!

– A dlaczego pani chce tego Azowa? – zwrócił się Żabka do Delfiny. – Skoro mamy podjąć decyzję za panie, to musimy znać argumenty wszystkich stron – wyjaśnił zdumionemu Miziaczowi, dla którego wszystkie trzy proponowane dzieła sztuki wyglądały jak koszmarki.

– Prawdziwa nazwa tego znakomitego dzieła brzmi „Jajo z miniaturą okrętu Pamięć Azowa” i jest to jedno z najbardziej dekoracyjnych, najwięcej wartych i najbardziej rozpoznawalnych jaj, jakie wyszły z pracowni Fabergé. Wiąże się z nim tragiczna historia młodego carewicza, a niektórzy historycy mówią nawet o klątwie, która zawisała nad rodem Romanowów. – Delfina umiejętnie zawiesiła głos, osiągając zamierzony efekt.

Michel wcale nie przesadzał, kiedy mówił, że dzieła Fabergé są konikiem jego matki i że o każdym potrafi opowiadać godzinami.

– Niech pani kontynuuje! – domagała się Katarzyna. – Na pewno był jakiś romans!

– Nie myli się pani, Katarzyno, był romans, który dla rodziny cesarskiej nieomal skończył się tragicznie. Carewicz Mikołaj Aleksandrowicz wdał się w namiętną znajomość z polską baletnicą, Matyldą Krzezińską. W zasadzie sam fakt romansowania młodego Romanowa nie był niczym niezwykłym, ale dziewczyna owinęła sobie następcę tronu wokół paluszka, a to już groziło skandalem. Żeby go uniknąć, wysłano carewicza w podróż dookoła świata statkiem Pamięć Azowa. W trakcie pobytu księcia w Japonii zaatakował go i zranił w głowę samuraj i gdyby nie pomoc kuzyna towarzyszącego carewiczowi, mogłoby skończyć się prawdziwą tragedią.

– I car zamówił jajo na okoliczność niedoszłej śmierci swojego syna? – zapytała Śródka z niesmakiem. – Chyba musiał go nie kochać...



– Nie, nie – roześmiała się Delfina. – Jajo było prezentem dla cesarzowej Marii z okazji Wielkanocy. Otrzymała je na kilka dni przed atakiem na carewicza. Wewnątrz tego cacuszka znajdowała się miniatura okrętu, którym podróżował Mikołaj Aleksandrowicz. Maria była zachwycona prezentem. Oczywiście do czasu, kiedy na dwór w Petersburgu dotarła wiadomość o wydarzeniach w Japonii.

– To w sumie smutna historia – stwierdził Żabka, przysiadłszy na podłokietniku jednego z wolnych foteli. – A to z kwiatkami też ma jakąś legendę?

– Taką ma, że jest najładniejsze, różowe i secesyjne, a tak się składa, że to mój ulubiony styl w sztuce – odparła Agata, wydymając usta. Głupio jej było, że nie znała historii jajka z konwaliami, nie wiedziała nawet, czy jakaś faktycznie istnieje. Naburmuszyła się więc trochę, czując, że przegra z romantyczną opowieścią Delfiny.

– Jajko z konwaliami było pierwszym jajkiem Fabergé wykonanym w stylu secesyjnym i jednym z pierwszych dzieł reprezentujących ten styl w Rosji, do której secesja dotarła z Europy Zachodniej z lekkim opóźnieniem – wyjaśniała pani Blanc. – Jedną z pierwszych propagatorek i mecenatek secesji w sztuce była cesarzowa Aleksandra, podczas gdy ulubionym stylem cara Mikołaja II był klasycyzm. Ale jajko z konwaliami miało przecież sprawić przyjemność jego ukochanej żonie, dlatego zostało wykonane w stylu, którym zachwycała się cesarzowa.

– Ja głosuję na konwalie! – zakrzyknął Żabka, którego romantyczna dusza pragnęła spotkać kiedyś swoją Aleksandrę.

Gotów byłby dla niej zrezygnować z piwa i sączyć wykręcające usta najbardziej cierpkie wina, byleby uszczęśliwić damę swego serca. Niestety nie zanosilo się ani na Aleksandrę, ani na żadną inną niewiastę, która miałaby ochotę dzielić z wrażliwym Lesiem życie.

– Ha! – ucieszyła się Śródka. – W takim razie wszystko zależy od pana podkomisarza.

Miziacz przyglądał się zdjęciom, ale żadną miarą nie potrafił znaleźć niczego, co mogłoby go przekonać do którejkolwiek z trzech propozycji. Najmniej jego gust drażniła „Pamięć Azowa”, ale to złoto, te diamenty – coś okropnego! Skoro zaś nie mógł wybrać oczami, a nie przekonywały go też ckliwe historie o romantycznych wzlotach i upadkach rozpuszczonych rosyjskich carewiczów, postanowił dokonać wyboru na podstawie logiki. A ta podpowiadała mu, że wdzięczność Agaty Śródki może się okazać pomocna.

– Ja też wybieram konwalie – ogłosił i zerknął na restauratorkę.

Nie pomylił się cyniczny podkomisarz; Śródka uśmiechała się, jakby właśnie wygrała wybory prezydenckie.

– *Parfaitement!* – zakrzyknęła, podskakując na fotelu. – W takim razie jutro z samego rana zabieram się do roboty. Delfino, może chciałabyś mi pomóc? W końcu jesteś artystką.

Pani Blanc rozpromieniła się natychmiast i ochoczo pokiwała głową. Tylko Katarzyna od dłuższej chwili się nie odzywała, a jej twarz wyrażała absolutny brak jakichkolwiek uczuć. Bardzo liczyła na jajo koronacyjne, które chciała pokazać Olegowi i zażądać jego pierwowzoru jako dowodu bezgranicznej miłości przysłego małżonka. Osobiście czuła także odrazę do konwalii, albowiem te jednoznacznie kojarzyły jej się z piątym mężem, z niezrozumiałych powodów obdarowującego ją tymi kwiatami przy każdej okazji.

Mechanicznie udzieliła policjantom wyjaśnień na temat przebywającego na terenie pałacu personelu oraz wskazała szefa ekipy remontowej, po czym wymawiając się koniecznością pilnego wykonania telefonu i odszukania adresu wciąż nieobecnego ogrodnika, opuściła jadalnię i podążyła na piętro, gdzie znajdowała się jej sypialnia z widokiem na grób Maksymiliana.

## Rozdział XX. Wszystko można w człowieku zmienić, ale charakter mu zostanie

Mikołaj Kunicki w przygotowywaniu się do wyjazdów miał doświadczenie jak mało kto, ponieważ w ciągu swojego pięćdziesięcioletniego życia przeprowadzał się ponad sto razy, co dawało wynik kwalifikujący do Księgi rekordów Guinnessa. Nie zmieniało natomiast faktu, że wcale tego nie lubił, a z każdą kolejną przeprowadzką pakowanie irytowało go coraz bardziej. Tym razem co prawda wyjeżdżał zaledwie na kilka dni, jednak sam widok torby podróżnej budził w nim mordercze instynkty.

– Wąły! – wrzasnął, kiedy po raz trzeci nie udało mu się dopiąć zamka błyskawicznego. – Wąły, natychmiast do mnie!

– Jestem, szefie! – zameldował grubasek, z trudem łapiąc oddech. Zziajął się, biedaczysko, jakby przebiegł co najmniej półmaraton.

– Co tak dyszysz? – syknął Kunicki, zły jak osa. – Ty musisz, Wąły, zadbać o siebie, schuć trochę, nad rzeźbą popracować. Wyglądasz jak wieprz, a wcale niegorszy z ciebie model.

Wąły zerknął w lustro wiszące obok drzwi i z powątpiewaniem przyjrzał się swojemu odbiciu. Całe życie zdawał sobie sprawę ze swojej nienachalnej urody, ale żeby od razu wieprz? No, może faktycznie sadła tu i ówdzie miał w nadmiarze, a z powodu bandziocha genitalia musiał oglądać w lusterku, jednak opinia szefa mocno go ubodła.

– No już, nie dąsaj się – syczał dalej Mikołaj. – Zaczniejsz mniej zreć, więcej ćwiczyc i od razu ci urody przybędzie. A ty w tym stroju zamierzasz jechać? – Spojrzał z niesmakiem na ortalionowy dres, który bynajmniej nie działał na korzyść chłopaka.

– No w tym. A co? – Wąły absolutnie nie widział nic złego w swoim ulubionym outficie, wręcz przeciwnie – był przekonany, że nadaje mu szyku.

– A gównu. Dokładnie to myślę o tym twoim kreszowym badzewiu z trzema paskami. Spodnie z lampasami to mogą nosić matadorzy, a nie uczciwi i kulturalni przedsiębiorcy.

Liszka poczuł się skonsternowany. Uczciwych jeszcze by jakoś zrozumiał, w końcu od miesięcy nie robili niczego, co mogłoby być niezgodne z prawem. Ale przedsiębiorcy?

– Jesteś moim asystentem, Wąty, i jak asystent masz wyglądać. Żadnych dresów, żebym ja tego więcej nie musiał oglądać! – Kunicki docisnął tobół i wreszcie udało mu się zapiąć suwak. – Bidul meldował?

– Meldował, szefie. Wszystko zgodnie z planem.

– Bardzo dobrze. To teraz leć się przebrać, przepakuj torbę i ruszamy, jak tylko się ściemni.

Niepocieszony Wąty opuścił pokój i wrócił do siebie, powłócząc nogami. Smutno mu się zrobiło, bo przecież on do szefa zawsze z sercem na dłoni, zawsze za nim murem, nigdy go ukrzywdzić nie dał. Starał się przynajmniej, a czy to jego wina, że tak przepadał za żeberkami albo goloneczką? Że ziemniaczki mu wchodziły jak złoto, a kasza raczej nie? Że lubił sobie wieczorem wysączyć piwko przy dobrym meczyku? Góra sześć piwek? Czy to robiło z niego osobę gorszej kategorii?

Usłyszawszy w głowie słowo „osoba”, poczuł nieprzyjemne ukłucie w mostku. Jego największa porażka, prawdziwy blamaż, wiązała się właśnie z Osobą. Miesiącami umartwiał się i obwiniał, beznadziejnie szukając wiatru w polu. Ale teraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, miał dostać szansę odkupienia win. Nie zmarnuje jej, nawet nie bierze tego pod uwagę!

Kiedy za oknem zrobiło się niemal całkiem ciemno, a na niebie błyszczało coraz więcej gwiazd, Kunicki i Wąty zapakowali się do czarnego vana z przyciemnionymi szybami i ruszyli do Roztoki. Buzująca w żyłach obu adrenalina skutecznie odstraszała pierwsze oznaki zmęczenia,

dzięki czemu udało im się pokonać ponad sześćdziesięciokilometrową trasę w rekordowym czasie trzydziestu czterech minut.

Bidul już na nich czekał. Siedział przed wejściem do domu i palił jointa. Gdy Kunicki wysiadł z samochodu, jego nozdrza natychmiast podrażnił słodki zapach unoszący się nad głową chłopaka.

– A co ty wyprawiasz, Bidul? – przywitał podwładnego. – To nielegalne.

– W celach zdrowotnych legalne – odparł hardo młodzieniec.

– Ciekaw jestem bardzo, z jakiej choroby się leczysz – zaśmiał się Mikołaj i wyciągnął rękę. Chłopak bez pudła zrozumiał gest.

– Niech szef uważa, to mocny towar – ostrzegł, podając Kunickiemu tłącego się skręta. – Chcesz też, Wąty?

Wąty pokręcił głową i włożył ręce do kieszeni ciemnych džinsów. Wciąż czuł się rozgoryczony po konfrontacji z Mikołajem, wskutek której postanowił nad sobą popracować. Zresztą nigdy go do używek nie ciągnęło, a gandzię palił może dwa razy w życiu. W obu przypadkach zamiast dostać słynnej fazy, popadł w melancholię i uskuteczniał filozoficzne dysputy o bezsensie ludzkiej egzystencji.

Kiedy skończyli palić, Bidul zaprowadził przyjezdnych do dobudowanej niedawno części domu. Przez kilka miesięcy udało mu się doprowadzić posesję do jako takiego porządku, a przy okazji dokończył remont, który rozpoczął jeszcze jego ojciec wiele lat wcześniej. Po wyjeździe do Warszawy rzadko odwiedzał matkę, wypadało raz na dwa lata, bo i też wcale go do tej wsi nie ciągnęło. Był młody, zdolny, niebrzydki i niegłupi. Szybko znalazł pracę i zaczął zarabiać prawdziwe pieniądze. Oczywiście o matce zawsze pamiętał i regularnie wysyłał jej przekazy pocztowe, a ona za każdym razem dzwoniła, płakała i mówiła: „Synku, nie trzeba było. O siebie zadbaj”. A co jemu było potrzebne do szczęścia? Miał kąt do spania, jedzenie zawsze ktoś ogarnął, od czasu do czasu jakaś dziewczyna się znalazła na kilka randek.

Choroba matki zmieniała wszystko. Choć walczył ze sobą, musiał wrócić do Roztoki. Załatwił lekarzy, opłacił opiekę i pilnował włości jak prawdziwy gospodarz. Odkąd zatrudnił pielęgniarkę, miał też czas, żeby zrobić coś dla siebie, a i sąsiadowi pomógł płot postawić, innemu dach wymienił. Pieniądzy od nich nie brał, a oni z wdzięczności odwiedzali jego matkę, przynosili ciasta, wychwalali jej jedynaka pod niebiosa. Złoty chłopak!

Któżby podejrzewał tego złotego chłopaka o ukrycie zwłok w pałacowym ogrodzie?

Kunicki postawił torbę w sypialni, którą przygotował dla niego Bidul, po czym rozejrzał się po pokoju. Gorzej niż w hotelu, lepiej niż w celi. Ujdzie. W końcu nie na wywczasu tu przyjechał, więc marudzić nie będzie. Dobry chłopak z tego Bidula w gruncie rzeczy.

Wątlęmu dostał się materac na podłodze w sypialni Bidula, ale i on daleki był od narzekania. W gorszych warunkach zdarzało mu się waletować, ważne, żeby na głowę nie kapało.

– Panowie, musimy przygotować plan – zarządził Mikołaj. – Bidul, dokumentację zrobiłeś?

– Coś tam zrobiłem, ale niewiele widać. – Chłopak wyświetlił zdjęcie na ekranie nowoczesnego smartfona. – Nie miałem dobrej pozycji.

– To na pewno ona? – powątpiewał Wątlę, powiększając rozpixselowany obraz. – Jakaś niezbyt podobna. Co myślisz, szefie?

Kunicki podniósł telefon i jął się przypatrywać niewyraźnym zdjęciom przedstawiającym postać niewątpliwie kobiecą, o czym świadczyły wyjątkowo wydatny biust i ogólna krągłość. Rubensowska piękność na każdym ujęciu siedziała bokiem lub tak pochylała głowę, że nie było widać rysów twarzy.

– Czy ja wiem... – Mikołaj mrużył oczy, starając się dostrzec choćby profil kobiety. – Możliwe, że utyla, żeby zmienić osobowość. Paszczę też pewnie ma nową, więc trudno powiedzieć.

– Głupio by było, jakbyśmy wzięli nie tą, co trzeba – martwił się Wąty.  
– Nie ma mowy o pomyłce. – Bidul wypiął chudą pierś i stuknął się w nią pięścią trzy razy. – To ona, mówię wam. Wszystko można w człowieku zmienić, ale charakter zostanie.

Z tym rzeczywiście musieli się zgodzić. Uzgodnili, że zrealizują plan następnego dnia jeszcze przed świtem, była to bowiem pora, kiedy obiekt uprawiał gimnastykę na świeżym powietrzu, najczęściej rozmawiając przez telefon z kimś, kto ewidentnie musiał cierpieć na bezsenność, skoro o tej nieludzkiej godzinie był w stanie słuchać kobiety szczebioczącej o dupie Maryni.

## Rozdział XXI. Wypijmy za proste rozwiązania!

Agata nie mogła zasnąć. Rzuciła się na wielkim łóżku, naliczyła dwieście baranów i tyle samo owiec, a potem jej się znudziło. Poleżała przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w sufit, po czym zalała ją fala złości, więc wstała z impetem. Narzuciła szlafrok, wsunęła stopy w kapcie z wielkimi pomponami i wyruszyła na poszukiwanie pokoju Delfiny.

Ku jej radości pani Blanc też nie spała.

– Mogę? – zapytała Śródka szeptem, wsadziwszy głowę przez uchylone drzwi.

– Chodź, jasne. I tak nie spałam.

– Męczy cię coś?

– Trochę – przyznała Delfina ze smutkiem.

– Chyba domyślam się co... Mam rację?

– Nie masz przypadkiem jakiegoś wina?

– Nie mam, ale możemy zajrzeć do kuchni. Tam coś powinno być.

Delfina skinęła głową i wstała z łóżka. Miała na sobie jedwabną piżamkę, na którą narzuciła długi sweter.

Pałacowy korytarz oświetlały rozmieszczone w odstępach półtora metra kinkiety stylizowane na dawne świeczniki. Poza tym w całym budynku panowała zupełna ciemność. Agata wyjęła telefon z kieszeni szlafroka i świeciła nim jak latarką. Ostrożnie zeszły po schodach, niemal biegiem przemknęły przez ciemną jak grób jadalnię, a w kuchni natychmiast zapaliły wszystkie światła.

– Ale się strachu najadłam – wyznała Delfina. – Chyba nie mogłabym tu mieszkać.

– Jutro mają zamontować wszystkie lampy, więc przestanie być tak upiornie. O, jest i wino! – zawołała z triumfem Śródka, machając butelką. – A teraz przydałyby się kieliszki.



– Tu są. – W dłoni pani Blanc zabrzęczało szkło. – Lej, do pełna.

Agata spełniła polecenie, sama czując potrzebę ukojenia nerwów nadszarpniętych przez ostatnie wydarzenia. Choć nie dała tego po sobie poznać, kolejna zbrodnia w jej otoczeniu mocno nią wstrząsnęła. Postanowiła, że tym razem nie będzie się mieszać w śledztwo, co najwyżej podpyta o postępy Renatkę.

– Za nasze zdrowie! – wzniosła toast. – Pij, a potem mów.

– Mmm, smaczne! – Delfina oblizwała usta i wzięła głęboki wdech, jakby szykowałą się do wysiłku. – Namieszaliście mi w głowie dziś po południu, więc zaczęłam sprawdzać. Nie znalazłam ani jednej wzmianki o Andrzeju Markowskim, biznesmenie. Pełno ludzi o tym nazwisku na Facebooku, ale żaden nie wygląda jak mój Andrzej... – Urwała nagle i wzięła spory łyk wina. W zasadzie wydudliła jednym haustem pół kieliszka.

– Mów dalej, kochana, mów dalej – zachęcała Agata, a w jej głowie powstawały już dziesiątki różnych scenariuszy.

– Niewiele tu jest do powiedzenia: ot, człowiek widmo. Albo nie jest tym, za kogo się podaje, albo z jakichś powodów nie życzy sobie istnieć publicznie. Czy to w ogóle ma sens?

– Może mieć różne sensy – zaczęła dywagować Śródka. – Jeśli faktycznie nie jest tym, za kogo się podaje, to może jest bigamistą. Albo musiał zmienić tożsamość z jakiegoś powodu.

– Znasz kogoś, kto zmienił tożsamość? – W tonie Delfiny słychać było złość.

– Skoro zmienił, to ja nie wiem, czy miał inną – odparła Śródka, ale nagle przypomniała sobie, że jednak kogoś takiego poznała. I ten ktoś zmienił tożsamość z bardzo niebłahego powodu. Nie chciała jednak o tym mówić, przeszła więc do rozważań nad rozwiązaniem numer dwa. – A jeśli nie życzy sobie istnieć publicznie, co wydaje się o wiele bardziej prawdopodobne, to znaczy, że jest kimś ważnym.

– Myślisz? – Tym razem w głosie pani Blanc wyraźnie zabrzmiała nadzieja.

– Tak właśnie myślę. A jeśli nie daje ci to spokoju, to mogę poprosić moją siostrzenicę, żeby prześwieciła tego twojego Andrzejka. Chcesz?

– Chcę! – Delfina wyglądała, jakby właśnie zdjęto jej z barków ogromny ciężar. Wyprostowana jak struna górowała nad Śródką o dobrą głowę.

– No to załatwione. Wypijmy za proste rozwiązania! – Śródka wymachnęła kieliszkiem tak energicznie, że jego zawartość chlusnęła na podłogę. – Jutro przyjdzie Rójek i posprząta, niczym się nie przejmuj – dodała, chichocząc.

Wypiły wino, po czym w doskonałych humorach wróciły do swoich pokojów i zasnęły kamiennym snem.

## Rozdział XXII. Dwadzieścia po czwartej

Marcin Miziacz długo walczył z bezsennością. Była to wina zarówno zmęczenia, jak i wydarzeń, w które obfitowały ostatnie dni. Mimowolnie odtwarzał w myślach sceny i sekwencje, a na domiar złego co chwila pojawiała się w nich ona. Nie potrafił precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wciąż tak na niego działa. Przecież od ich romansu minęło tyle lat, a romans właściwie zdechł, zanim na dobre się zaczął. Ot, kilka randek, nawet seksu nie było. Dlaczego więc wciąż o niej myślał? Być może, gdyby choć na chwilę uruchomił tę część mózgu, która odpowiada za kontakt z podświadomością, zrozumiałby, że to właśnie przez brak seksu Renata Bujko-Wawrzyniak stała się dla niego mitycznym króliczkiem, którego nigdy nie uda mu się dogonić. Ale nie, Marcin Miziacz był zbyt przyziemny na tego typu rozważania, niech więc dalej się zastanawia.

Na drugim miejscu pod względem częstotliwości występowania plasowała się myśl o bezimiennej ofierze znalezionej w pałacowym ogrodzie. Śledztwo nie mogło posunąć się do przodu, dopóki nie znajdzie się choćby najmniejsza wskazówka, za którą mogliby podążyć. Martwiła go zarówno nieznaną tożsamość mężczyzny pochowanego w anonimowym grobie, jak i zupełny brak punktu zaczepienia. Pracownicy pałacu i robotnicy z firmy zajmującej się renowacją nie wnieśli niczego nowego do poczynionych już wcześniej ustaleń. Pana Edmunda, ogrodnika, nie zastali, miał się pojawić w pracy dopiero nazajutrz, a nikt poza Katarzyną nie znał jego adresu. Katarzyna zaś zniknęła w swojej sypialni i nie uraczyła ich już swoim widokiem, wymawiając się galopującym globusem.

Wyglądało na to, że kręca się jak śruba w zbyt dużym otworze, a właściwie tkwią w martwym punkcie bez szans na zmianę pozycji.

Męczyła go też inna kwestia. Tego typu zbrodnie nie zdarzały się w jego rejonie – czasem ktoś kogoś palnął w łeb i przesadził z siłą, zdradzany mąż

tłukł żonę, aż przestała krzyczeć, sąsiad strzelał do drugiego z wiatrówki i przypadkiem trafił w oko – ale z egzekucją Miziacz jeszcze się nie spotkał. Kto bowiem mógłby być egzekutorem? Nie ma tu gangów, nie wspominając już o mafii, płatni zabójcy grasują raczej w większych miastach, szpiegów też się nie spodziewał. Bądź tu mądry i złap mordercę...

Kiedy w końcu zasnął, przyśniło mu się wielkie przyjęcie w pałacu. Goście ubrani w stroje z czasów Marii Antoniny, kobiety w sukniach o szerokości spódnic nierzadko przekraczającej dwa metry, mężczyźni w absurdalnych perukach i pośrodku ona: miedzianowłosa bogini przystrojona jedynie w szarfę biegnącą po skosie, jak jakaś miss. Napis na szarfie głosił: „Caryca Ludzkich Serc”.

Obudził się nagle i natychmiast zapomniał o balu, w którym jeszcze przed chwilą uczestniczył, długo jednak nie mógł uspokoić kołającego serca. Za oknem wciąż panowała ciemność, ale jemu całkiem odechciało się spać. Napił się wody i włączył komputer. Skrzynka mailowa pękała w szwach od reklam środków na erekcję, pożyczek inwestycyjnych i innych śmieci, których nawet nie chciało mu się usuwać. Kliknął w zakładkę wyszukiwarki i znalazł się na portalu informacyjnym, jednak poza sportem nic nie przykuło jego uwagi. Same afery, przekręty i bełkotliwe komentarze na temat politycznego bagienka.

Nagle coś mu przyszło do głowy. Tym razem podświadomość jakimś tajemniczym kanałem przesłała impuls do ego i w wyszukiwarce pojawiły się strony powiązane z tagiem „caryca”. Poza oczywistymi definicjami i biografiami najbardziej znanej rosyjskiej władczyni mignął mu artykuł z jakiegoś brukowca, w którym pseudodziennikarz podejmował niezbyt udaną próbę przeanalizowania polskich grup przestępczych. W jednej z nich najwyższą funkcję miał pełnić Mikołaj K. nazywany Carem, jego żona zaś, Katarzyna K., nosiła miano Carycy.

Miziacz przebiegł wzrokiem po kilku liniijkach grafomańskiego artykułu, jednak nic go w nim nie zaciekawilo na tyle, zeby drążył dalej. Wyłączył komputer i wrócił do łózka z nadzieją, że uda mu się jeszcze zasnąć. Było dwadzieścia po czwartej, do rozpoczęcia pracy miał ponad dwie i pół godziny.

\*

Dokładnie o czwartej dwadzieścia budzik Mikołaja zaczął wydawać irytujące dźwięki, które z każdą sekundą stawały się głośniejsze. W końcu syrena ryczała tak głośnie, że pojawiło się ryzyko obudzenia mieszkańców kilku okolicznych wsi.

Kunicki usiadł i zdjął z oczu opaskę. Niewiele to jednak dało, bo w panującej w pokoju ciemności widział dokładnie tyle samo co wcześniej. Rozejrzał się, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie zostawił telefon, który poza dźwiękiem powinien też dawać sygnały świetlne. W końcu sięgnął pod poduszkę.

– Przestań jazgotać! – syknął do urządzenia i stuknął palcem w wyświetlacz. Nastala błoga cisza, która jak balsam spłynęła na jego duszę.

Razem z balsamem spłynęło na Mikołaja uczucie senności. A może by tak jeszcze na chwilę przyłożyć głowę do poduszki? Kilka minut, kwadrans najwyżej... Już sięgnął do czoła, na którym znajdowała się czarna przepaska z jedwabiu, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł roznegliżowany Wąty.

– Szefie, obudził się szef?

– Nie, śpię na siedząco. Podobno to dobrze robi na stabilność umysłową.

– Powaga? – Wąty podrapał się po głowie, co upodobniło go do szympansa. – Będę musiał spróbować. Kawę robię, ale jest tylko rozpuszczalna. Z ilu łyżeczek?

- Jak w kubku, to z dwóch.
- W szklance, takiej z koszyczkiem.
- Też z dwóch.

Wąty ostrożnie zamknął drzwi, jakby kogokolwiek mógł obudzić, gdyby zrobił to nieostrożnie. Kunicki przeciągnął się leniwie, po czym wyskoczył z łóżka, wykonał dziesięć przysiadów, tyle samo skłonów i zapalił światło. Kartonowy żyrandol z Ikei z pojedynczą żarówką dawał ciepłe, lekko przytłumione światło. Mikołaj sięgnął do torby, z której wyjął czarne spodnie, czarny T-shirt i czarną bluzę z kapturem. Pod pachę wcisnął kosmetyczkę i wyszedł z pokoju.

Wąty w słuchawkach na uszach podrygiwał nad czajnikiem elektrycznym, Bidula nie było nigdzie widać. Kunicki wszedł do łazienki, odkręcił wodę pod prysznicem i zerknął do lustra. Pomijając prześwity w czuprynie i cienie pod oczami, wciąż mógł uchodzić za przystojnego. Nigdy też nie narzekał na brak zainteresowania kobiet, to raczej on był monogamistą i jak już się w jakiejś zakochał, to bezgranicznie. Zdarzyło mu się to raptem dwa razy w życiu, z których jeden zakończył się trwającym przez siedemnaście lat małżeństwem.

Wszedł pod prysznic, namydlił się dwukrotnie, opłukał gorącą, a na koniec zimną wodą, wytarł szorstkim ręcznikiem, który następnie owinął wokół bioder. Umył zęby, pilnując przepisowych dwóch minut, oklepał policzki i ubrał się. Młodzieżowa stylówka odjęła mu kilka lat od metryki, co stwierdził z zadowoleniem.

– Łazienka wolna – poinformował Wątego, wchodząc do prowizorycznie urządzonego saloniku.

Grubasek postawił dwie szklanki w aluminiowych koszyczkach na ławie przed sfatygowaną wersalką i zdjął słuchawki.

- Mówiłeś coś, szefie?
- Nic ważnego, idź się ogarniać. Bidul wstał?
- A gdzie tam, jego to nawet wybuch wojny by nie obudził.

Wąty zniknął w łazience, a po chwili do uszu Mikołaja doleciał dźwięk odkręconej pod prysznicem wody. Kunicki pogmerzał łyżeczką w szklance, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu mleka. Kawa rozpuszczalna nie należała do jego ulubionych napojów, dawało się ją wypić wyłącznie w wersji *au lait*. Obok czajnika dostrzegł śmietankę w jednorazowych pojemniczkach, podniósł się więc i sięgnął po okrągłe pudełeczko. Przyglądał się, jak biały płyn stopniowo zmienia barwę kawy, i tak go to pochłoneło, że na moment pozwolił myślom odpłynąć.

Przypomniało mu się, jak poznał żonę, w której zakochał się niemal natychmiast. Od pierwszej sekundy wiedział, że znalazł swoją drugą połowę, i zrobiłby wszystko, nawet zabił smoka, żeby tylko za niego wyszła. Smoka zabijać nie musiał, ale piękna studentka dziennikarstwa nie od razu zgodziła się za niego wyjść. Niczym Herakles musiał wykonać dwanaście prac, tyle że w przypadku Mikołaja Kunickiego kara nastąpiła przed winą, ale nawet to mu nie przeszkadzało. Obwiózł ją po świecie, nauczył jeździć na nartach w Aspen, nurkować na Mauritiusie, polować na safari. Pokazał jej plantacje kawy w Chile, dzielnicę gejsz w Kioto, kopalnię różowych diamentów niedaleko jeziora Argyle w Australii. Nauczył jeść pałeczkami, obsypał luksusową biżuterią, a na zakupy zabierał do Paryża i Nowego Jorku. Stać go było. Na siedemnastą rocznicę ślubu i dwudziestą związku wykosztował się solidnie, ale i okazja była wyjątkowa. Ile trudu kosztowało go zdobycie tego jaja, nikt poza nim samym i tym typem nie ma pojęcia. A teraz nie ma ani jaja, ani żony. Piękna nagroda za poświęcenia.

Zerknął na wyświetlacz telefonu i podniósł się raptownie. Za dwanaście minut mieli wyjeżdżać, a Bidul wciąż gnił w wyrze. Mikołaj podreptał do drzwi drugiej sypialni i otworzył je z takim rozmachem, że aż uderzyły o ścianę.

– Bidul, wstawaj!

– Mmmm – mruknął chłopak, przewracając się na drugi bok. – Która jest?

– Za dziesięć piąta, zbieraj dupę w troki. Zaraz odjazd!

– Szefie, zlituj się. Odjazd to ja mam po tej maryśce. Marchewa uprzedzał, że towar pierwsza klasa, ale to chyba wersja premium była i tak mnie siekło, że oczu nie otworzę.

– Jak ja ci dam wersję premium, to cię matka rodzona nie pozna, cymbale jeden!

– Zostaw go, szefie, pożytku z niego nie będzie. – Wąty stanął za plecami Kunickiego, roztaczając aromat trawy cytrynowej i bergamotki.

– A ty coś się tak wysmrodził? – syknął na niego Mikołaj. – Komary chcesz odstraszać?

– W sumie nie zaszkodzi – stwierdził prostolinijnie grubasek. – Niech się szef nie czepia, ja lubię ten zapach.

Kunicki sapnął głośno i odwrócił się gwałtownie, niemal uderzając Wątłego czołem w brodę. Chłopak zrobił krok w tył, przepuszczając wściekłego szefa. Oj, niedobrze się ten dzień zaczął, niedobrze. Oby to były złe dobrego początku.

Punktualnie o piątej zero zero wyruszyli do zamku. Ku zadowoleniu Mikołaja nieobecność Bidula nie przeszkodziła im w zlokalizowaniu miejsca, a to dzięki doskonałej orientacji Wątłego w terenie i faktowi, że już tam przecież był. Zaparkowali pół kilometra od pałacowego parku, na wszelki wypadek. Ciemność zaczynała rzednąć, musieli działać szybko. Dzięki wskazówkom Bidula bez trudu znaleźli gęsto rosnące rododendrony, za którymi przycupnęli i czekali na pojawienie się obiektu.

Na szczęście długo czekać nie musieli – po kilku minutach zza budynku wyszła postać niewątpliwie płci żeńskiej, niosąc pod pachą sporych rozmiarów rulon. Dotarłszy do miejsca, które Bidul nazywał „wyciskarnią”, postać rzuciła rulon na glebę, rozłożyła go, pomagając sobie kopytkiem, i jąła wykonywać ruchy, które od biedy można by uznać za rozgrzewkę.



Kilka skrętów, skłonów, trzy paralityczne przysiady i... zaczęło się robić naprawdę interesująco. Ukryci za rododendronami mężczyźni wstrzymali oddech, wytrzeszczyli oczy i z rozdziawionymi paszczami przyglądali się zjawisku, zupełnie zapominając o celu swej wizyty.

## Rozdział XXIII. Mężczyźni kochają jak koty

Katarzyna wstała jak zwykle kilka minut przed piątą. Od wielu dni budziła się sama, żadne budziki nie były jej potrzebne. Wczesny poranek był jedyną porą, o jakiej mogła swobodnie porozmawiać z Olegiem, nie przeszkadzając mu w jego superważnych biznesach. Między piątą trzydzieści a siódmą był tylko dla niej, gdyż dzień pracy zaczynał o dziewiątej swojego czasu.

Dokonawszy porannych ablucji, wcisnęła się w elastyczny strój do ćwiczeń, chwyciła matę pod pachę, włożyła słuchawki do uszu i świecąc sobie telefonem, poszła do ogrodu, który od kilkunastu tygodni służył jej za plenerową salę gimnastyczną. Rozgrzała się szybko i utartym zwyczajem włączyła ulubioną piosenkę Shakiry.

Początkowo leniwie, z czasem coraz szybciej kręciła biodrami, jakby ćwiczyła z hula-hoop. Jej wyjątkowo obfite kształty wykonywały ponętne ruchy przywodzące na myśl latynoskie tancerki samby. Po chwili ręce zaczęły zmysłowo głaskać biust, brzuch, ześlizgiwały się wzdłuż bioder i sunęły wewnętrzną stroną ud.

– Jezu Chryste – szepnął Kunicki, oblizując wyschnięte usta. – To ona!

– Wierzę panu na słowo i już niczemu się nie dziwię – odpowiedział szeptem Wątki. Jemu też zaschło w ustach z wrażenia.

– Te kocie ruchy poznałbym, nawet gdyby przerobiła się na faceta.

– Bierzemy? – Grubasek już podnosił się z kucek.

– Czekaj – syknął Mikołaj i przytrzymał chłopaka za bark. – Jeszcze moment. Bidul mówił, że będzie dzwonić, chcę usłyszeć jej głos.

Przedstawienie trwało dokładnie tyle, ile odtworzenie piosenki, a ruchy Katarzyny z każdą chwilą stawały się coraz bardziej lubieżne. W końcu się zatrzymała, wykonała kilka przysiadów i wybrała numer.

– Dzień dobry, kochanie – wymruczała, kiedy po drugiej stronie zgłosił się męski głos. Był to sposób mówienia, którego nauczyć można się jedynie podczas praktyk w sekstelefonie. – Myślałam o tobie całą noc. Jesteś ubrany? To może się rozbierz, twoja Katusza ma dla ciebie coś specjalnego.

Kunicki poczuł, jak wzdłuż jego kręgosłupa spływa lodowaty strumyk. Mięśnie na twarzy momentalnie mu stężały, a nogi zaczęły drżeć.

– A to bladź! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Sparalizowany szokiem przez moment nie słyszał dalszej części rozmowy, bo zalewająca go fala wściekłości wywołała dzwonienie w uszach. Kiedy się nieco otrząsnął, konwersacja toczyła się już w zupełnie innym kierunku, po raz kolejny go zaskakując.

– Tak, dobrze słyszałeś: Fabergé! – Teraz już nie mruczała, a jej głos zaczynał niebezpiecznie się podnosić. – I masz mi je przywieźć przed Wielkanocą, co daje ci całe siedem dni. Będzie ozdobą mojego wielkiego *ouvertement*, jak mawia Agata.

Zapadła cisza, co oznaczało, że do głosu doszedł jej rozmówca.

– Co ty mi będziesz o cenach mówić, Oluś?! Przecież ja doskonale się orientuję, a nawet wiem, w jakich okolicznościach te jaja powstawały! – krzyczała Katarzyna, podpierając się pod boki. – Ty wiesz, że cesarzowa Aleksandra co roku takie dostawała?! CO ROKU!

Znów przez chwilę milczała, pokręciła głową, raz nawet kiwnęła. Groźba nie działała, zmieniła więc taktykę i znów przeszła w tryb seksownego kociaka.

– Oluś, no pomyśl tylko, skarbie mój najcudniejszy. Co ze mnie za caryca, jeśli ja nawet jednego marniutkiego jaja Fabergé nie mam do pokazania w swoim pałacu? Jedno najzwyklejsze jajko, Oleńku, no co to za problem jest?

Tym razem słuchała w milczeniu nieco dłużej, widocznie Oluś też postanowił wybrać łagodniejszy sposób perswazji i odwołać się do

rozsądku swojej cesarzowej. Niestety w przypadku Katarzyny nie była to droga najwłaściwsza.

– Skoro jestem carycą, to żądam mojego cesarskiego jaja. I przestań na mnie krzyczeć, Oluś, bo się zaraz pogniewamy! – ostrzegła. – Nawet nie wiesz, jak głębokiego wglądu w moją osobę należałoby dokonać, żeby zobaczyć, gdzie ja mam sprawę tego Maksymiliana. Potrzebny mi jest teraz jak dziura w moście – dorzuciła na koniec.

Kunicki drgnął. Wąty rzucił mu pytające spojrzenie, na które Mikołaj odpowiedział poziomym ruchem dłoni na wysokości jabłka Adama. Chłopak nie zrozumiał, a raczej nie przyjął do wiadomości, i zaczął stroić miny jak małpa w cyrku. Nie bacząc na ewentualne ryzyko, Mikołaj wycofał się, wciąż kucając, a po kilku metrach marszowym krokiem ruszył w stronę samochodu. Wąty truchtał za nim zgięty wpół.

– Co jest, szefie? Przecież to ona – wydusił, kiedy wsiedli do auta.

– Zmiana planu, Wąty. Słyszałeś: ten Oluś to jej nowy fagas, a mnie towar używany nie interesuje. Skupiamy się na odzyskaniu jaja, trzeba opracować nowy plan.

– A co z...? – Wąty urwał, bo zęby Kunickiego zacisnęły się ostrzegawczo. – No dobra, powiedziała, że ma go gdzieś głęboko, a więc raczej problemu nie robi.

– Chociaż bładź, to głupia nie jest – zgodził się z konkluzją Kunicki. – O siebie zadba, a nam to na rękę.

Katarzyna Jakimiuk zupełnie nieświadoma obecności niepożądanych świadków jej kłótni z narzeczonym zakończyła rozmowę złożeniem Olusiowi obietnicy, że przekaże policji znaleziony przy denacie paragon. W zamian Wasiljew zobowiązał się stanąć na rzesach i zaklaskać uszami, jeśli tego będzie wymagało zdobycie jaja Fabergé dla ukochanej Katjuszy.

Zaczynało już widnieć, a do pałacu przybywali pierwsi robotnicy, zatem rubensowska piękność zwinęła matę i podreptała do środka, rozmyślając o planach na nadchodzące dni. Uczestnicy konkursu, a wraz z nimi ekipa

telewizyjna, powinni się zjawić nazajutrz, wobec czego na wyznania dotyczące paragonu znalezionego przy Maksymilianie pozostawało niewiele czasu. Katarzyna doszła do wniosku, że skonsultuje się z Agatą, w końcu restauratorka ma doświadczenie w sprawach kryminalnych.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się w bawełnianą sukienkę ze zbyt głębokim dekoltem, czego raczej nie należy uznać za przypadek – wszak za kilka chwil w pracy miał się zjawić nowy kelner – po czym w oparach luksusowych perfum zeszła na dół i skierowała kroki prosto do kuchni.

– A co wy tutaj?! – krzyknęła na widok dwóch kobiet ubranych w bawełniane dresy i umorusanych czekoladą.

– Pracujemy, a czego się spodziewałaś? – odparła Śródka, spoglądając na nią z wyraźnym krytycyzmem. – A ty coś się tak wystroiła, jakbyś na odpust szła?

– Kto? Ja? – krygowała się Katarzyna. – Skąd, taka tam stara szmata, pierwsza z brzegu. Co robicie?

– Budujemy model rakiety atomowej – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem Śródka. – Amerykańscy naukowcy niedawno potwierdzili, że czekolada jest najlepszym paliwem we wszechświecie ze względu na jej kaloryczność.

O kaloryczności czekolady Katarzyna Jakimiuk wiedziała całkiem sporo, zwłaszcza z autopsji. Dwadzieścia nadprogramowych kilogramów zawdzięczała uwielbianej z nadzieniem truskawkowym zakąszanej mleczną z całymi orzechami. Złośliwość Agaty puściła mimo uszu, pochłonięta rozmyślaniami nad rozwiązaniem problemu, którego nie przewidziała.

Rozmowa z Olegiem mocno nią wstrząsnęła, nie spodziewała się tak stanowczego oporu, musiała więc szybko wymyślić plan awaryjny, uparła się na to jajo i koniec! Na domiar złego Wasiljew dość jasno wyraził się na temat ukrywania informacji przed policją, a ona, w głębi duszy, właściwie się z nim zgadzała.

Pstryknęła guziki ekspresu do kawy i w ostatniej chwili przypomniała sobie o konieczności podstawienia filiżanki pod dyszę, w przeciwnym razie musiałaby chłeptać czarny nektar, podstawiając głowę po strumień. Pierwszy łyk gorącego napoju rozlał się po jej wnętrzu, pozostawiając boski posmak.

– Słuchajcie, muszę się was poradzić – odezwała się po chwili, nabrawszy odwagi. – Oluś mówi, że powinnam oddać policji ten paragon od Maksymiliana. Powinnam?

Agata i Delfina wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, bo nieco wcześniej same na ten temat rozmawiały.

– Wydaje nam się, że powinna pani – powiedziała Delfina Blanc. – Zastanawialiśmy się nad tym z Agatą i też doszliśmy do wniosku, że to może być istotny dowód w sprawie.

– Myślicie, że na podstawie listy zakupów z Ikei rozpoznają, kim jest Maksymilian?

– Nie wiemy, czy to na pewno jego paragon – odparła natychmiast Śródka. – Mógł przecież należeć do mordercy i wtedy byłby dowodem inkryminującym.

– A nie wydaje się wam, że jak teraz nagle oznajmię: „Hej, panowie policjanci, zupełnie zapomniałam, że obmaciałam trupa, a przy okazji znalazłam taki paragon”, to oni mogą nabrać podejrzeń, że ja mam z tym morderstwem coś wspólnego?

– Jeśli faktycznie zamierzasz im oznajmić coś takiego, to od razu możesz pakować mandżur do celi i nie zapomnij o kilku wagonach papierosów, bo one w więzieniu za wartościową walutę chodzą. – Śródka oderwała się na chwilę od blachy, na której rozcierała płynną czekoladę. – Ale gdybyś tak powiedziała, że ten paragon, owszem, znalazłaś przy Maksymilianie, ale do macania się nie przyznawała, to jest szansa, że ci uwierzą i nawet wybaczą mataczenie. Możesz zawsze powiedzieć, że byłaś w szoku i odruchowo zgarnęłaś śmieć, a potem z tego szoku zapomniałaś i właśnie cię olśniło.

Katarzyna wpatrywała się w Śródkę niemal z uwielbieniem. Dlaczego ona na to nie wpadła? Chyba faktycznie dostała zaćmienia umysłu, przecież to takie proste!

– Masz rację – wykrzyknęła prawie z radością. – Tak zrobię. Oluś się ucieszy i w nagrodę przywiezie mi jajko.

– Jajko? – zapytały chórkami Delfina z Agatą.

– No jajko, któreś z tych Fabergé.

– Poważnie pani mówi? – Delfina Blanc zastygła z palnikiem w dłoni. – Czy pani narzeczony zdaje sobie sprawę z ceny tych dzieł sztuki na wolnym rynku?

– Chyba sobie zdaje, bo trochę marudził. – Jakimiuk wzruszyła ramionami. – Pomarudzi, pomarudzi i przestanie.

– Czym on się właściwie zajmuje? – To pytanie chodziło Agacie po głowie, odkąd dowiedziała się, że Oleg Wasiljew kupił Katarzynie wart miliony pałac, i to zupełnie bez okazji.

– Jest właścicielem największej w Rosji firmy zajmującej się eksportem diamentów przemysłowych do Europy – odpowiedziała Katarzyna tonem, jakby oznajmiała, że zostanie żoną piekarza. Albo listonosza.

Palnik wypadł z rąk Delfiny Blanc; na szczęście był wyłączony. Śródką odłożyła szpachelkę na blat i sięgnęła po szklanę z wodą.

– Teraz to już koniecznie muszę się dowiedzieć, jak pani to zrobiła. W czym tkwi pani sekret? Jak się uwodzi miliarderów? – pytała oszołomiona matka Michela.

– Och, sama nie wiem, w czym tkwi mój sekret – zaśmiała się przyszła multimiliarderka. – Coś ich do mnie przyciąga, ale nie potrafię pani powiedzieć co. Mogę wam za to zdradzić, jak sprawić, żeby zakochali się na zabój.

– Słuchamy z największą uwagą. – W oczach Śródki pojawiło się zaniepokojenie.

– Otóż zasada jest jedna: mężczyźni kochają jak koty.

– Czyli jak? – dopytywała Delfina, która bardzo pragnęła, żeby ją kochano.

– Za żarcie! – wypaliła Katarzyna i puściła oko do Agaty, która parsknęła radośnie.

– Żarty żartami, ale coś w tym jest – stwierdziła Śródka po chwili. – Mój Robert kochał mnie namiętnie przez dwadzieścia siedem lat. I nigdy nie chodził głodny.

– Otóż to – zgodziła się Jakimiuk. – Seksapil to jedno, ale nie samym seksem chłop żyje. Musi jeszcze przeżywać orgazmy kulinarne. A jeśli zadbamy o jedne i drugie, to nieba nam przychyłą.

– Nie wiedziałam, że pani tak świetnie gotuje. – Delfina się strapiła, bo ona akurat gotować nie potrafiła wcale. Orgazmy kulinarne mogła zapewniać metodą zamawiania jedzenia z najlepszych restauracji.

– No tak, przecież ty nie wiesz! – przypomniała sobie Śródka. – Kaśka jest moją przyjaciółką ze szkolnej ławy. Przez trzy lata z rzędu zdobywała tytuł „mistrzini przystawek”.

– Ach, to były czasy – rozmarzyła się okrągłutka blondynka. – Mogłam jeść i nie tyłam, a teraz, proszę: od samego patrzenia czuję, jak mi cellulitu przybywa. Jak ty to robisz, Agato, że wciąż masz figurę dwudziestolatki?

– Każdy ma jakiś dar od losu, widocznie moim jest brak tendencji do tycia, a twoim talent do łowienia bogatych mężów – odparła cierpko kompaktowa restauratorka.

– To ilu tych mężów już pani miała? – Delfina Blanc czuła się coraz bardziej przygnębiona.

Jej jedyny mąż, utalentowany francuski artysta, nigdy nie dorobił się wielkiego majątku. A obecny amant przepadł jak kamień w wodę, w dodatku pozostawiając po sobie zbyt wiele niewiadomych.

– Pięciu. Oleg będzie szósty.

– A ci wcześniejsi to... umarli?



– Skąd! Żyją, mają się dobrze, tylko są trochę biedniejsi – wyjaśniła Katarzyna z rozbijającą szczerością. – Każdy z nich dał mi rozwód bez szemrania, tylko po to, żeby się mnie pozbyć. Za każdym razem z orzeczeniem o ich winie.

– Zdradzali panią? – domyśliła się Delfina.

Słodka, naiwna i romantyczna Delfina.

– A gdzieżby znowu?! Mówiłam pani: orgazmy w łóżku i orgazmy w kuchni. Świata poza mną nie widzieli.

Śródka, która swoją znajomość życiorysu Katarzyny zakończyła w okolicach męża numer trzy, też była ciekawa, jakie to powody wskazywała sprytna Jakimiuk, żeby pozbawić małżonków majątku.

– Zanim zmądrzałam – wyjaśniała cierpliwie właścicielka pałacu – pisałam, że stosowali wobec mnie przemoc psychiczną i zmuszali do dziwnych rzeczy w sypialni. To przeszło w dwóch przypadkach. Trzeci rozwód nastąpił dlatego, że mój ówczesny mąż odmawiał karmienia mojej kotki, a ja w tamtym czasie dużo podróżowałam. Tak się złożyło, że sędzia była wielką fanką kotów rasy maine coon i od ręki zamknęła sprawę. Wtedy właśnie zarobiłam swój pierwszy milion. – Zrobiła przerwę, jakby musiała poszperać w pamięci, i napiła się kawy. Widocznie kawa zadziałała, jak powinna, bo Katarzyna podjęła opowieść: – Czwartego pozwałam, bo nie chciał uprawiać seksu przy zapalonym świetle. Tym razem sądził mężczyzna, w dodatku ewidentnie na mnie leciał, więc dał mi rozwód, kilka milionów z konta męża numer cztery, a następnie został mężem numer pięć. Ten to był ogier, mówię wam. I światła nigdy nie gasiliśmy.

Delfina czuła, jak uginają się pod nią nogi. Słyszała już historie o kobietach, które wychodziły za mąż dla pieniędzy, najczęściej za starych dziadów, licząc na ich rychłą śmierć. Zdarzało się też odwrotnie: atrakcyjni młodzi mężczyźni uwodzili leciwe matrony. W tym wypadku jednak

najczęściej śmierć zadawali wyrachowani małżonkowie. Ale o seryjnych rozwódkach doprawdy nigdy nie słyszała.

– A z nim jak się rozwiodłaś? W końcu to sędzia, więc chyba aż tak łatwo się nie zgodził na orzeczenie o winie? – zapytała, skądinąd słusznie, Agata.

– Faktycznie, z nim było nieco więcej zachodu, ale ostatecznie zagroziłam, że powiem na rozprawie o tym, jak każe mi się przebierać za dziewczynkę, i policja może zechcieć przeszukać jego sprzęt, na wypadek gdyby nie tylko o takich dziewczynkach fantazjował.

– O matko! – Delfina zbladła z obrzydzenia. – Pedofil? – wyszeptała z niedowierzaniem.

– A gdzie tam! Po prostu lubił różne przebieranki w sypialni, ale z racji swojego stanowiska wolał nie ryzykować, że jego nieobliczalna żona rozpęta piekło na oczach palestry.

Agata Śródka kiwała głową z podziwem. Zuchwała, wyrachowana żmija. Do tego skuteczna i faktycznie nieobliczalna. Kto by się spodziewał?

– A dlaczego właściwie się pani z nimi rozwodziła?

– Tak po prostu: bo mi się nudzili.

– Biedny ten twój Oleg, wiesz? – Agata zmarszczyła nos i wygięła usta w podkówkę. – Nie znam go, ale już mi chłopca szkoda. Nie wie, na co się pisze.

– Oj, już tak go nie żałuj, przecież do rozwodu będę o niego dbać. – Katarzyna machnęła ręką i spojrzała na zegarek. – A gdzie jest nasz nowy kelner? Pierwszy dzień i już spóźniony?

Rzeczywiście, mijało w pół do siódmej, a młodzieńca ani śladu.

– Właśnie o to samo chciałem spytać! – Michel wparadował do kuchni w doskonale skrojonym grafitowym garniturze. Buty błyszcząły, a fryzura aż ociekała od brylantyny.

– A ty dokąd się wybierasz w tym surducie? – rzuciła Śródka z sarkazmem.

– Pilnuj swojego nosa – odgryzł się Blanc, choć ewidentnie uwaga Agaty go zawstydziała. – Czy ktośś z was wie, gdzie jest pan Hó... – Urwał nagle, zanim doszło do spektakularnego *faux pas*.

Agata natychmiast zrozumiała, co się święci, i postanowiła pognać nieco bufonowatego konsjerża.

– Gdzie jest kto? Pan Hu? Chodzi o jakiegoś Chińczyka?

Delfina parsknęła i schowała twarz w zgięciu łokcia. Biedny ten jej syn, oj biedny. Ale sam sobie na to zapracował.

– Pan Sylwesteh, nowy kelneh. – Michel nie dał się jednak wyprowadzić z równowagi.

– Sylwester, Sylwester... Nie kojarzę. Potrzebuję nazwiska. – Katarzyna także podjęła grę, w której Michel znajdował się na przegranej pozycji.

– Chociaż trzy litery podaj – judziła Śródka i wszystkie trzy ryknęły gromkim śmiechem.

Michel obrzucił kobiety spojrzeniem, które, gdyby potrafiło zabijać, rozbryznęłoby je po ścianach. Broda drżała mu z nerwów, jednak z godnością zacisnął zęby, podszedł do ekspresu, bez słowa przygotował sobie podwójne espresso i opuścił kuchnię, ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

Katarzyna dopiła swoją kawę, która już zdążyła wystygnać, i zerwała się z krzesła, przypomniawszy sobie, że miała wpuścić ekipę od elektryki.

– To ja lecę, wrócę do was później, jak już ogarnę ten cały cyrk! – zawołała na pożegnanie. – A gdyby zjawiała się policja w sprawie Maksymiliana, to niech Michel od razu mnie woła.

Agata z Delfiną pokiwały głowami i wróciły do swoich zajęć. Zgodnie z ustalonym wcześniej planem zamierzały wtajemniczyć w sprawę Renatę Bujko-Wawrzyniak, bo w rozsądek prowadzących śledztwo policjantów wierzyć im się nie chciało. Jednak co kobieta, to kobieta.

– Dzień dobry, Renatko – zaczęła Śródka do telefonu, który przytknęła jej do ucha Delfina. – Słuchaj no, skarbie, może zajrzałyś do

pałacu dzisiaj w porze obiadowej? Sprawę mam jedną do omówienia, a przy okazji coś dobrego sobie wreszcie podjesz.

Kiedy Renata przyjęła zaproszenie, Agata pożegnała siostrzenicę głośnymi buziaczkami, a pani Blanc wsunęła telefon z powrotem do kieszeni poplamionej czekoladą bluzy restauratorki. Następnie włożyła nowe rękawiczki i wróciła do swojego stanowiska, gdzie kontynuowała opalanie różyczek z włoskiej bezy.

## Rozdział XXIV. Od czegoś trzeba zacząć

Poczucie bezsensu i świadomość, że goni w piętę, wściekało sierżanta Żabkę do tego stopnia, że musiał z tym coś zrobić. Niechcianych uczuć najlepiej się pozbyć, o czym wiedział bardzo dobrze, bo nie raz i nie dwa, a nawet nie tysiąc musiał sobie z tym radzić.

Roboty papierkowej nie miał za dużo, bo też i niewiele na tej prowincji się działo, postanowił więc wyjść z komendy wcześniej i poszukać wiatru w polu. Albo igły w stogu siana – obie metafory pasowały do sprawy, nad którą bezskutecznie się głowił. Wsiadł do służbowej kii i krążył po mieście, walcząc z galopującymi myślami. Kiedy zorientował się, że po raz trzeci dojechał do ronda Solidarności, postanowił pojechać prosto i tym sposobem po trzydziestu minutach zaparkował pod pałacem w Roztoce, cudem znajdując miejsce pomiędzy samochodami należącymi do firm zajmujących się wykańczaniem wnętrz.

Ruszył na dziedziniec, spodziewając się zastać tam właścicielkę i dwie pozostałe kobiety, jednak stolik stał pusty i poza kręcącymi się robotnikami nie było żywego ducha. Zajrzał do ogrodu, w którym dziura po Maksymilianie wciąż otoczona była policyjną taśmą, ale i tam nie spotkał nikogo poza facetami w ogrodniczkach zajętymi montowaniem kabli, malowaniem elewacji i dźwiganiem elementów stalowych konstrukcji.

„Pełno nas, a jakoby nikogo nie było”, pomyślał Lesio, sam nie wiedząc, skąd mu się nagle wziął Kochanowski w głowie. Może ten grób tak na niego podziałał, że aż trenami zaczął myśleć? Rozejrzał się jeszcze w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby być ogrodnikiem, ale na horyzoncie nie było absolutnie nikogo. Wrócił więc na dziedziniec i wszedł do zamku. Prawe skrzydło wciąż wyglądało jak plac budowy, wszędzie wisały płachty folii malarskiej, tu i ówdzie dyndały kable, a kilkunastu mężczyzn rozstawiało drabiny. Ruszył w lewo, spodziewając się, że to tam

skoncentrowało się życie, i wcale się nie pomylił. Nie bez kozery pracował przy śledztwach – dedukcja była jego mocną stroną.

W jadalni także trwały prace wykończeniowe, a pomiędzy robotnikami kręciła się Katarzyna Jakimiuk, pokrzykując co chwila. Francuz, którego imienia nie udało się Żabce zapamiętać, odstawiony jak szczur na otwarcie kanału, stał z boku z założonymi rękami i głośno posapując, komenderował:

– To ma być hówno? Pan haczy zahtować! – Fuknął na opasłego gościa mocującego kinkiet pomiędzy oknami. – W phawo, w phawo! W to dhugie phawo, do cholehy!

– Szefowo! – krzyczał gość do Katarzyny. – Ja nie rozumiem, co ten facio do mnie mówi, równo jest czy nierówno?

– Nierówno, trochę w lewo musi pan przekręcić, panie Zdzisiu – poinstruowała właścicielka zamku. – A pan, panie Waldku, co znowu odtentegowuje?! Tam ma być lustro, a nie lampa, ile razy mam to powtarzać?! Kinkiet, lustro, kinkiet, lustro. Do dwóch liczyć to już nie łaska?!

Pan Waldek przewrócił oczami i zlazł z drabiny, z trudem zachowując równowagę. Katarzyna omiotła kontrolnym spojrzeniem pozostałe stanowiska i jej wzrok zatrzymał się na wchodzącym do jadalni Żabce.

– O, pan sierżant! Doskonale się składa, właśnie miałam wysłać Michela do hurtowni, ale ten niemota gotów się zgubić po drodze. Podjedzie pan z nim?

– A co potrzeba z tego sklepu? – zapytał Lesio, oczami wyobraźni widząc wielki wózek z Makro załadowany do pełna artykułami spożywczymi. Jeśli czegokolwiek szczerze nienawidził, to były to zakupy.

– Tak po prawdzie to tylko trzeba odebrać, wszystko jest spakowane i opłacone.

Żabka odetchnął z ulgą. Za kuriera ostatecznie mógł robić, prowadzenie samochodu go relaksowało.

– Niech pan tu poczeka, dam panu kwitek do odbioru i możecie jechać. Wolę, żeby pan dowodził tą misją, bo Michelowi nie ufam ni w ząb.

Połehtany sierżant uśmiechnął się promiennie, całkowicie ignorując jadowne spojrzenie, jakim obdarzył go Michel. Podeszedł do fotela, na którym dzień wcześniej siedziała Agata Śródka, i klapnął na niego ciężko. Zalała go fala błogości, a wraz z nią nadzieja, że może jednak ten dzień jakoś się rozkręci.

Katarzyna wróciła po kilku minutach, machając plikiem papierów.

– Tu ma pan kwity, dokumenty samochodu i kluczyki – poinformowała, jakby nie potrafił odróżnić kluczyka samochodowego od potwierdzenia zakupu. – Musicie podjechać od tyłu, tam będą stanowiska do załadunku.

Żabka zerknął na kartkę: Świebodzice, nie tak daleko, mogła go przecież wysłać do Bielan Wrocławskich, a to już by mu się nie uśmiechało. Skinął głową i ruszył na parking, nie czekając na Michela, który w tym swoim świecącym garniturze wyglądał, jakby się urwał z choinki.

Na parkingu sierżant poklikał kilka razy guzikiem w kluczyku, żeby znaleźć właściwy samochód, po czym wsiadł do nieoznakowanego mercedesa vito. Michel otworzył drzwi od strony pasażera i mrucząc coś niezrozumiałego, zajął miejsce obok kierowcy. Wyglądał przy tym, jakby wybierał się na szafot, a co najmniej na galery.

– Jedziemy? – zapytał radośnie policjant, ignorując marsową minę towarzysza. – No to w drogę. – Uruchomił silnik, wrzucił wsteczny i sprawnie wycofał vana z miejsca parkingowego.

Wyjeżdżając za bramę, minęli toyotę prowadzoną przez miedzianowłosą kobietę, jednak nie zwrócili na nią uwagi.

Jechali w milczeniu. Michel obserwował widoki za oknem, a Żabka w wyśmienitym humorze podśpiewywał przeboje grane w radiu. Mniej więcej po kwadransie Blanc nie wytrzymał:

– Mógłby pan przestać skrzeczeć jak staha hopucha?

– Kto, ja? Nie podoba się panu moje śpiewanie? – odparł wesoło Lesio, zupełnie nieurazony.

– Nie, nie podoba. Mam nadzieję, że jest pan lepszym śledczym niż wokalistą, w przeciwnym wypadku mahny los obywateli.

– Chyba nie wątpi pan w to, że rozwiążemy tę sprawę?

– Myślę, że wątpię.

– Trochę więcej wiary, panie kolego! Z każdą chwilą posuwamy śledztwo do przodu, a podkomisarz Miziacz ma stuprocentową skuteczność w wykrywaniu sprawców przestępstw – pochwalił przełożonego Lesio. Przemilczał jedynie, że dotychczas zajmowali się wyłącznie zabójstwami w afekcie i nieumyślnym spowodowaniem śmierci będącym skutkiem zbyt suto zakrapianych imprez.

– Naphawdę? – zdumiał się Blanc. Nie dość, że piękny jak z obrazka, to jeszcze inteligentny. No, no... – Czyli hozumiem, że znają już panowie pehsonalia ofiahy?

Żabka stropił się lekko, ale nie dał niczego po sobie poznać. Jeśli powie prawdę, podważy swoje własne słowa. Jeśli skłamię, wyjdzie na oszusta. Co tu robić?

– Wiemy, że miał na imię Maksymilian – wypalił w końcu, wybierając połowiczną blagę. Prawdopodobnie nigdy nie uda im się odkryć prawdziwej tożsamości denata, więc może nie dojdzie do kompromitacji.

– To haczej niewiele... – skwitował Blanc. – Ale od czegoś trzeba zacząć.

– No jasne – zgodził się sierżant z ulgą. – Przeszukujemy bazy osób zaginionych i szukamy wszystkich Maksymilianów.

– Tych zaiksowanych też?

– Przepraszam? – nie zrozumiał policjant.

– Pytam, czy szukacie tylko Maksymilianów przez „ks”, czy przez „x” też?

– Nie no, oczywiście, że przez „x” też. Chyba nie sądzi pan, że w policji same tępaki siedzą. – Z każdym wypowiedzanym słowem kłamstwo



przychodziło Lesiowi Żabce z coraz mniejszym trudem. Odnotował w pamięci, żeby faktycznie sprawdzić tych Maksymilianów, bo sam zaczął już wierzyć w swoją bujdę.

Dojechali pod budynek Dolnośląskiego Centrum Florystycznego i przez dłuższą chwilę kręcili się po parkingu, nie mogąc znaleźć miejsca odbioru zamówień. W końcu Żabka je wypatrzył, zaparkował tyłem do rampy, żeby łatwiej było załadować towar, i wysiedli z samochodu.

– Jeszcze więcej behbehysów? – Michel złapał się za głowę na widok rzędu krzewów w plastikowych doniczkach. – Tehaz to będzie się tam mogła ukhyć cała ahmia, a nie tylko jeden kelneh.

Żabka zignorował tę uwagę, bo też zupełnie nie zrozumiał jej sensu, ot marudzenie obcokrajowca. Różnice kulturowe widocznie dotyczą także gustu w kwestii roślin. Sierżantowi berberys całkiem się podobał. I dlaczego ktokolwiek miałby się za nim ukrywać?

Załadunek zajął im nieco ponad pół godziny, po czym ogród na kółkach odjechał w kierunku Roztoki.

## Rozdział XXV. Wolałabym raczej trupa

Prokurator Bujko-Wawrzyniak zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu, po czym stukając obcasami wysokich szpilek, weszła do zamku. Z zainteresowaniem zerknęła do prawego skrzydła, gdzie fachowcy różnej maści uwijali się jak w ukropie, a następnie udała się na lewo, podążając za podniesionym damskim głosem.

– No i czego znowu pan nie rozumie, panie Zdzisiu?! To nie jest fizyka kwantowa, żeby trzeba było się godzinę zastanawiać. Wieszaj pan ten żyrandol nad iksem na podłodze i jedź dalej! – Katarzyna opierała ręce na biodrach i niezadowolona spoglądała na sufit, pod którym rzeczony pan Zdzisiu usiłował unieruchomić kryształowy koszmarek.

Renata skrzywiła się na widok wątpliwej ozdoby jak z kiczowatych hoteli dla nowobogackich, po czym zgrabnym ruchem ominęła Katarzynę.

– O, pani prokurator, dzień dobry – ucieszyła się Jakimiuk. – Jeśli szuka pani Agaty, to jest w kuchni, razem z panią Blanc. Niech pani tam idzie, a ja za chwilę dołączę – zadysponowała, pokazując Renacie kierunek.

Młoda kobieta udała się wprost do drzwi opatrzonych napisem „Staff only”, odprowadzana lubieżnymi spojrzeniami panów Zdzisiów, Waldków i wszystkich innych heteroseksualnych mężczyzn obecnych w ogromnej sali.

W kuchni pachniało bulionem i grzybami, a Agata z Delfiną pochylały się nad czekoladową wersją strusiego jaja i nie zauważyły wejścia gościa.

– Puk, puk, można? – zapytała Renata.

– Ach, Renatko, witaj, skarbie! – ucieszyła się Śródka. – Klapnij sobie, dziecko drogie, a my tu skończymy i już się tobą zajmuję. A przy okazji: to pani Delfina Blanc, matka Michela.

Delfina obdarzyła przybyłą przyjaznym uśmiechem, który ta odwzajemniła.

– Co ciekawego robicie? – zagadnęła prokuratorka. – Może mogę jakoś pomóc?

– Możesz, możesz, słoneczko, za chwilę powiem ci, w jaki sposób. A robimy, wyobraź sobie, jajo Fabergé i trochę nam nie idzie.

– Jajo Fabergé? To chyba trudne?

– Łatwe nie jest, ale do łatwych rzeczy nie zatrudnia się mistrzów, *n'est-ce pas?*

– *Mais oui, bien sûr* – odparła Renata, jak na krewną Śródki przystało.

Po kilku *merde* i kilkunastu kurach przez „wu” czekoladowa skorupka jajka zaczynała przypominać pisanekę. Do arcykosztownej ozdoby droga była jeszcze daleka, ale wyglądało na to, że plan może się powieść.

– Głodna jesteś, aniołku? – zagadnęła siostrzenicę Agata. – Mam krem z borowików z groszkiem ptysiowym, ravioli z łososiem w sosie kurkowym i szparagi w sosie holenderskim.

Renata wyznała, że umiera z głodu, za co została zbesztana przez ciotkę, bo przecież jak tak można bez jedzenia!

Delfina nalała zupę do trzech miseczek i ustawiła je na stole, przy którym siedziała prokuratorka. Serce waliło jej w piersi, tak bardzo stresował ją temat, który za chwilę miał wjechać na tapetę.

– To o czym chciałaś rozmawiać, ciociu? – zapytała Renata, zlizując gęsty grzybowy krem z łyżki.

– Raczej o kim. Tylko nie bardzo wiemy, jak ci to powiedzieć. – Agata przyglądała się siostrzenicy z uwagą. Taka śliczna, a szczęścia do mężczyzn nie ma za grosz...

– Najlepiej wprost i bez owijania w bawełnę – odparła kobieta.

– Masz rację – zgodziła się Śródka. – Ty mówisz, Delfino, czy ja mam to zrobić?

Pani Blanc żołądek miała już w okolicach trzeciego migdała, co skutecznie odbierało jej zdolność jakiegokolwiek artykulacji, potrząsnęła więc głową w panice, godząc się z tym, że zaraz zostanie oceniona.

– *Très bien.* – Agata skinęła głową. – Sprawa wygląda tak: obecna tu Delfina jakiś czas temu poznała pewnego mężczyznę. Mężczyzna przedstawił jej się jako Andrzej Markowski, ale mamy uzasadnione podejrzenie, że nazywa się inaczej. – Zerknęła na białą jak kreda panią Blanc, która nieznacznie skinęła głową. – W dodatku tenże mężczyzna ma w zwyczaju przepadać jak kamień w wodę i pojawiać się nagle bez słowa wyjaśnienia. Chciałybyśmy cię prosić, a szczególnie chciałyby Delfina, o sprawdzenie, czy nasze podejrzenia są słuszne.

Renata wyprostowała się na krześle i odłożyła łyżkę. Jako istota obdarzona ogromną empatią doskonale zdawała sobie sprawę, że delikatna natura tematu może powodować dyskomfort u pani Blanc, dlatego też zwróciła się do ciotki, żeby nie stresować i tak już zdenerwowanej artystki.

– Rozumiem, że wasze podejrzenia wykraczają poza fakt, że nikt o tym nazwisku nie istnieje?

– Istnieć istnieje, niejeden zresztą. Nawet taki językoznawca jest – pochwaliła się wiedzą jej ciotka. – Sęk w tym, Renatko, że żaden z tych istniejących nie jest ani trochę podobny do przyjaciela Delfiny, nie znalazłyśmy także firmy, którą by reprezentował.

– Hmm... – zamyśliła się prokuratorka. – Czy ten człowiek może mieć jakiś związek z... no wiecie, z tym znaleziskiem? – zapytała, wskazując głową w kierunku ogrodu.

– Skąd! – krzyknęła przerażona Delfina. – Nie myśli pani chyba, że ten trup to... *Oh mon Dieu!* To może być on!

– Uspokój się, Delfino! – zganiała ją Śródka. – Renata miała raczej na myśli to, że ten trup może być dziełem twojego Andrzeja.

– O Chryste! To jeszcze gorzej... – wyszeptała pani Blanc, blednąc jeszcze bardziej, choć coś takiego wydawało się niemożliwe. – Wolałabym raczej trupa niż mordercę!

Śródka spojrzała na nową przyjaciółkę z nieukrywaną niechęcią. Wyjątkowo niefortunny dobór słów, zwłaszcza w kuchni, przy

pierwszorzędnej zupie z borowików.

– Spokojnie, drogie panie, nie szafujmy wyrokami. – W przyjemnym głosie prokuratorki dźwięczało lekkie rozbawienie. – Zrobimy tak: ja przejrzę nasze bazy i sprawdzę, czy jakiś Andrzej Markowski wpadnie mi w oko. Jeśli coś znajdę, dam wam znać.

– Jesteś aniołem – skomplementowała ją ciotka. – No i została nam jeszcze jedna, trochę bardziej przykra sprawa, ale do tego potrzebujemy Katarzyny.

– Mówiła, że do nas dołączy – powiedziała Renata. – Może ją zawołać?

– Ja pójdę. – Pani Blanc wstała z krzesła, czując, jak ciężar z serca spłynął jej do żołądka.

Kiedy Delfina zniknęła za drzwiami, Agata spojrzała siostrzenicy w oczy i wypaliła:

– Czy ja dobrze kojarzę, że ten cały Miziacz to ten gamoń, który złamał ci serce?

– Złamał, podeptał, przeżuł i wypluł – szepnęła Renata. – Ten właśnie.

– Od razu wiedziałam, że menda, z urody wnioskując – stwierdziła kwaśno Śródka. – Od takich jak on, dziecko drogie, trzeba się trzymać z daleka.

– Łatwo ci mówić, ciociu. Ty znalazłaś męża, z którym spędziłaś wiele szczęśliwych lat. Który cię kochał i szanował...

– Tylko zapomniał mi powiedzieć, że równocześnie kochał i szanował inne kobiety – przypomniała jej Agata z jadem w głosie. – Najlepiej to sobie znaleźć porządnego, skromnego, urody raczej pośledniej, żeby baby za nim nie latały. Albo przyjąć strategię Katarzyny i traktować mężczyzn jak szczeble kariery.

Renata ze smutkiem w oczach pokiwała głową. Już tak długo próbowała zapomnieć o Miziaczu, a on jak na złość co chwila pojawiał się na jej drodze. Może powinna się przenieść? Do Suwałk? Dalej chyba się nie da.

Nagle zza drzwi doleciał łoskot i rozległy się głośne wrzaski. Kobiety podniosły się od stołu i ruszyły na ratunek, choć nie miały pojęcia, kogo przyjdzie im ratować.

## Rozdział XXVI. Nie myśl tyle, bo nie za to ci płacę!

Wąty zaparkował samochód pod domem matki Bidula, ale nie śpieszyło mu się z wysiadaniem. Musiał pomyśleć, przetrwać i zrozumieć. Mikołaj przez całą drogę nie odezwał się słowem, a wszystkie próby zagajenia rozmowy podejmowane przez Wątego kwitował upartym milczeniem.

Kiedy Kunicki wysiadł, grubasek odchylił oparcie fotela i zamknął oczy. Myślał o kobiecie, która wyginała się w jakichś dziwnych pozach, a następnie bezpardonowo zażądała od kochanka dostarczenia czegoś, co należało do kogoś innego. Nie mieściło mu się w głowie, jak osoba, z którą niemal żył pod jednym dachem, mogła być tak bezduszna. I głupia – nie przyszło jej do głowy, że ktoś ją może podsłuchać albo zobaczyć? Ona też się przecież ukrywała.

Musiał na chwilę zasnąć, bo obudził go podniesiony głos Kunickiego wrzeszczącego wewnątrz domu. Wyskoczył jak oparzony z samochodu i pobiegł co sił w nogach z odsieczą.

Mikołaj stał nad łóżkiem Bidula i łajał chłopaka, nie przebierając w słowach. Aż zęby cierpły od tych wszystkich inwektyw w stylu „ptasi mózdzek”, „chędożony baran”, „skretyniały cymbał” czy „leniwy skurczysyn”.

– Masz trzy sekundy, żeby się zebrać, słyszysz mnie, Bidul?! – darł się boss. – Za chwilę widzę cię w salonie i ten pusty łeb masz mieć gotowy do myślenia! Trzeba szykować nowy plan, sytuacja się zmieniła!

Nawet jeśli do tej pory Bidul się nie obudził, po tej tyradzie jego senność minęła jak ręką odjął. Narażenie się szefowi było ciężkim grzechem, którego odpuszczenie mogło nigdy nie nastąpić. Wyskoczył z łóżka i na jednej nodze pognął do toalety. Po dziesięciu minutach wyłonił się z niej i wyglądał na całkiem przytomnego.

– A gdzie ona? – zapytał, rozglądając się dookoła. – Zostawiliście ją w samochodzie? Żywą?

– Żywa jest na pewno, ale nie tutaj – odparł Kunicki w ramach wyjaśnienia, nie wyjaśniając kompletnie niczego.

– Uciekła? – Bidul wybałuszył oczy.

– Wcale nie uciekła, zostawiliśmy ją.

– Szef ją zostawił – doprecyzował Wąty. – Ja tam chciałem ją brać.

– Nic z tego nie rozumiem – strapił się młodzieniec o urodzie anioła. – Czyli to nie ona?

– Ona! – krzyknęli równocześnie niedoszli porywacze.

– Jak matkę kocham, musicie mówić jaśniej. Skoro to ona, to dlaczego jej nie wzięliście? Ktoś wam przeszkodził! – domyślił się nagle.

– Guzik, żywej duszy tam nie było poza tą... Poza tą wywłoką.

– O-kej... – Chłopak pokiwał głową, choć nadal niewiele rozumiał. Co do wywłoki nie miał zdania. – Mówił szef, że trzeba obmyślić nowy plan.

– Tak jest! Od teraz nie interesuje nas Osoba Najlepiej Żeby W Ogóle Zniknęła Z Horyzontu Pies Ją Drapał – wyrzucił z siebie na jednym oddechu. – Naszym celem jest zdobycie jaja.

– I to ma być niby prostsze bez Osoby? – powątpiewał Bidul.

– Wąty, powiedz mu, bo ja nie mam siły.

– Bidul, bo ty nie rozumiesz – rozpoczął wyjaśnienia grubasek. – Osoba zażądała, żeby jakaś inna osoba dostarczyła jej jajo. Gdyż to jajo ma być gwiazdą jakiegoś przyjęcia, które Osoba organizuje za kilka dni w pałacu.

– No faktycznie, organizuje! – ucieszył się Bidul, bo wreszcie zaczął nadażać. – A ja mam być na tej imprezie kelnerem!

Wąty z Kunickim wymienili spojrzenia, po czym obaj wlepili wzrok w chłopaka.

– Możesz powtórzyć? – poprosił szeptem Mikołaj.

– Wczoraj dostałem robotę w pałacu, jako kelner. Zaczynam dzisiaj o szóstej rano – wyjaśnił Bidul, prężąc się z dumą.



Wąty spojrzał na zegarek i szturchnął chłopaka.

– Czyli jakieś pół godziny temu? – zapytał z powagą.

– No, myślałem, że jak pracodawczyni nie będzie, to pracy też nie będzie – mamrotał Bidul, czując nieprzyjemne mrowienie w karku.

– To nie myśl tyle, bo nie za to ci płacę! – ryknął Kunicki, aż szyby w oknach zadrżały. – Ubieraj się, bęcwale, i poginaj do zamku. Masz mieć oczy i uszy otwarte i nie odstępować Osoby na krok! Chcę wiedzieć o każdej przesyłce, która do niej trafi. Szczególnie od jakiegoś Olusia – dodał z goryczą.

Bidul bez szemrania zniknął w sypialni, skąd po kilkunastu minutach wynurzył się ubrany w elegancką czarną koszulę i spodnie zaprasowane w kant. Kunicki cmoknął z zadowoleniem i jego złość nieco osłabła.

– No, pięknie. Śmigaj, chłopcze, wymyśl sobie jakieś solidne usprawiedliwienie i proś o przywrócenie do łask. W tobie moja ostatnia nadzieja – zakończył z patosem, choć całkiem niezamierzonym.

Odrobinę pocieszony Bidul natychmiast ruszył do zamku, a w głowie wciąż brzęczały mu słowa: „Nie interesuje nas Osoba Najlepiej Żeby W Ogóle Zniknęła”.

## Rozdział XXVII. Co za burdel, Lesiu

Pod schodami, w pozie niewskazującej na jakiegokolwiek ślady żywotności, leżała Katarzyna Jakimiuk. Jej bujne blond włosy, zwykle spięte nad karkiem, rozsypały się po posadzce i przypominały promienie słońca narysowane przez przedszkolaka.

Leżała twarzą do podłogi, z rękami wyciągniętymi do przodu i szeroko rozłożonymi nogami. Bawełniana sukienka podwinęła się nieco, odsłaniając koronkę samonośnych pończoch. Obok niej kuciała Delfina Blanc, z trudem łapiąc oddech.

Dookoła nich zebrał się wianuszek mężczyzn, żaden jednak nie podjął próby sprawdzenia, czy kobieta żyje.

– Odsuńcie się, bezużyteczne samce! – ryknęła Śródka, kiedy znalazła się na miejscu zdarzenia. Podbiegła do Katarzyny i szybko sprawdziła puls na jej szyi. – Żyje! Wezwijcie karetkę!

Renata omiotła spojrzeniem zgromadzonych w sali robotników.

– Co tu się wydarzyło? – zapytała tonem profesjonalnej śledczej. – Który z panów widział wypadek?

– Zdaje się, że to nie był wypadek – odezwał się jeden z mężczyzn.

– Co ma pan na myśli?

– Ktoś tę panią zepchnął – wyjaśnił.

– Jest pan tego pewien? – W jej oczach zabłysło coś niepokojącego. – Nietrudno się potknąć i zlecieć.

– Wyraźnie widziałem ludzką sylwetkę, która zaczęła uciekać w górę, kiedy ta pani leciała w dół.

Renata błyskawicznie zrzuciła szpilki i bosy pognąła na górę. Po drodze wybrała numer do Miziacza i krzyknęła do słuchawki:

– Natychmiast przyjeżdżaj, mamy próbę morderstwa w pałacu!

Na pierwszym piętrze znajdowały się sypialnie, w tym jedna należąca do Katarzyny. Drzwi do pokoju były uchylone; Renata pchnęła je i omiotła wnętrze wzrokiem. Pusto, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Podeszła do okna, które było otwarte na oścież, i wyjrzała. Ani żywej duszy, jedynie niedokończony ogród, policyjne taśmy i ciągnący się dalej park. Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wszystkie pozostałe sypialnie na piętrze były zamknięte.

Drugie piętro nie było jeszcze wyremontowane, co oznaczało, że tonęło w kurzu. Na podłodze nie dostrzegła żadnych śladów stóp, a więc nikogo tu nie było. Zeszła na dół, zastanawiając się nad tym, czy zbieg mógł wyskoczyć przez okno, nie łamiąc sobie przy tym nóg.

Na parterze zastała już tylko Agatę strzegącą nieprzytomnej przyjaciółki jak cerber. Robotnicy wrócili do pracy i czasem tylko zerkali w stronę Katarzyny.

– Nikogo tam nie ma – wyszeptała Renata. – Nie wiecie, czy pani Jakimiuk zawsze zostawia okno otwarte?

– Pojęcia nie mam – wyznała Śródka – ale wcale bym się nie dziwiła. Ona całe życie była roztrzepana.

Prokuratorka pokiwała głową, rozglądając się w poszukiwaniu Delfiny. Kobieta siedziała w jednym z foteli, skulona i wciąż trupio blada. W każdym razie bezpiecznie daleko, a od niezbyt przyjemnego widoku odgradzało ją wysokie oparcie.

Karetką przyjechała niemal w tej samej chwili co Miziacz, a zaraz po nich zjawiał się van załadowany krzewami berberysu.

– A co tu się wyprawia? – zapytał retorycznie Żabka, szukając kawałka wolnej przestrzeni do zaparkowania.

– Może caryca w końcu wkurzyła kogoś tak bałdzo, że postanowił ją wykończyć – zażartował Michel. – Na przykład pan Zdzisiu.

– Dlaczego caryca? To jakaś arystokratka?

– Taka z niej ahystokhatka jak z koziej dupy thąba. Zwyczajne hozpuszczone i antypatyczne babsko – wyjaśnił kaśliwie Blanc. – W głowie mi się nie mieści, jak mogła mieć jednego męża, a co dopieho pięciu. I szóstego w dhodze.

Żabka co prawda nie znał Katarzyny Jakimiuk na tyle, żeby móc podzielać opinię Michela, ale z tym ostatnim zasadniczo się zgadzał. Choć – co przyznawał z zaskoczeniem – było w niej coś, co kazało oczom błądzić wokół jej osoby.

– A poza tym – podjął Michel, jakby do tej pory za mało się wyzłośliwił – ma na imię Katarzyna, a najgohsza Katarzyna, jaka przychodzi mi do głowy, to ta hosijska hahpia. Więc idealnie się złożyło, jakby los tak chciał.

Sierżant zaparkował samochód na trawniku. Pomiedzy kilkoma dostawczakami dostrzegł samochód Miziacza, a parę metrów dalej stała toyota Renaty Bujko-Wawrzyniak. Nagle ostrzegawcza lampka, która od czasu do czasu zapalała się w jego głowie, zaczęła nieregularnie mrugać. Żabka przyśpieszył kroku i wpadł do pałacu dokładnie w chwili, w której sanitariusze zapinali pasami leżącą na noszach Katarzynę Jakimiuk.

Podkomisarz Miziacz rozmawiał z lekarzem, a towarzysząca im prokuratorka przyciskała do ucha telefon komórkowy. Nieco dalej sierżant dostrzegł Agatę Śródkę kucającą obok fotela, na którym zwinięta w kłębek siedziała pani Blanc. Pan Zdzisiu i pozostali pracownicy, jak gdyby nigdy nic zawieszali lampy, montowali listwy i karnisze.

– Co tu się podziało? – zapytał, właściwie nie wiadomo kogo.

– O, jesteś, sierżancie! Gdzie cię poniosło? – Miziacz zostawił lekarza w towarzystwie Renaty i podszedł do podwładnego. Zniżył głos do szeptu: – Co za burdel, Lesiu, ktoś próbował załatwić tę Jakimiuk.

Żabka odruchowo rzucił spojrzenie w stronę Michela, który właśnie dostrzegł swoją matkę i ruszył w jej kierunku.

– Jak? – W tym pytaniu sierżant zdołał zmieścić tak wiele uczuć, że trudno byłoby wskazać to najsilniejsze.

– Zepchnął ją ze schodów, a potem zwał do góry i wyskoczył przez okno do ogrodu. Tak przynajmniej twierdzi Renata – dodał asekuracyjnie, żeby odciąć się od tego średnio wiarygodnego scenariusza.

– Widziała napastnika?

– Jeden z facetów pracujących naprzeciwko schodów twierdzi, że widział, jak ktoś uciekał do góry, kiedy ofiara zaczęła spadać. – Marcin powtórzył wersję, którą przyjęli jako jedyną unaoczną.

– I wyskoczył przez okno? Z pierwszego piętra? Które znajduje się na wysokości ośmiu–dziesięciu metrów? – Sierżant Żabka doskonale wiedział, jak zrobić użytek z analitycznego umysłu, którym obdarzyła go natura. – Idziemy! – zarządził.

Miziacz nie bardzo miał pomysł, czym mógłby się zająć, ruszył więc za Żabką, od którego biła aura determinacji. Skręcili w prawo, później znów w prawo i znaleźli się pod oknem sypialni należącej do Katarzyny Jakimiuk. Nietrudno było je zlokalizować, wszak o widoku na Maksymiliana poinformowała ich na samym początku. Żabka zadarł głowę, sprawdzając prawidłowość swojego przypuszczenia – skok z takiej wysokości powinien zostawić trwałe ślady. Zarówno na człowieku, jak i na ziemi.

– Widzisz coś? – zapytał Miziacza.

– Nie widzę.

– Ja też nie widzę, czyli niczego tu nie ma i nie było – stwierdził z granitową pewnością Lesio.

– Czyli został w środku – domyślił się podkomisarz.

– Jeśli rzeczywiście był jakiś napastnik – dodał Żabka. – Jesteś pewien, że ktoś ją zepchnął? Może ten robotnik kłamie? Albo coś mu się przywidziało?

– Wszystko jest możliwe i niczego nie możemy jeszcze wykluczyć. Ale jeśliby zastanowić się nad zbiegiem okoliczności, to raczej trudno uwierzyć w przypadek – dodał w zadumie.

– Masz rację. Dwa zamachy na ludzkie życie w tym miejscu to odrobinę za dużo, żeby wierzyć w zbieg okoliczności. Pogadajmy z tym robotnikiem, może coś jeszcze zauważył – zaproponował sierżant.

Miziacz skinął głową. Po drodze do pałacu wezwał ekipę, która miała przetrząsnąć pomieszczenia w poszukiwaniu napastnika. Z góry jednak przewidział, że to daremny trud, jeśli wziąć pod uwagę kręcących się tam kilkudziesięciu facetów w kombinezonach. Co to za problem włożyć na siebie taki, wcisnąć kask na głowę i jak gdyby nigdy nic wyjść z pałacu, że niby po sprzęt?

## Rozdział XXVIII. Problemy obecnie mam dwa

– Tu pan jest! – krzyknęła Śródka do odzianego na czarno młodzieńca. – Chyba w podstawówce za bardzo pan nie uważał, bo na zegarku się pan nie zna.

Chłopak przywołał na swą niemal dziewczęcą buzię wyraz pełen skruchy i ruszył w kierunku restauratorki, ze wszystkich sił starając się nie znaleźć na linii wzroku policjantów.

– Przepraszam najmocniej, szefowo – kajał się. – Moja mama źle się czuła i bałem się ją zostawić samą, musiałem czekać na pielęgniarkę.

Agata obrzuciła go podejrziwym spojrzeniem, jednak na widok łez w jego wielkich oczach zmiękło jej serce.

– Dobrze, już, dobrze. Następnym razem niech pan uprzedza, żebyśmy się tu bez sensu nie martwili. Michelu – zwróciła się do konsjerża, który głąaskał matkę po dłoni. – Zaprowadź pana do kuchni, trzeba będzie przygotować stoły, niech sobie chłopaki podjedzą. A ty, Delfino, chodź ze mną, przydałoby się śniadanie.

– Ja chyba niczego nie przełknę – wyszeptała pobielałymi ustami matka Michela.

– Pięćdziesiątka czystej by ci nie zaszkodziła – stwierdziła Śródka z powagą. – Błada jesteś jak śmierć na chorągwi.

– Dobry pomysł – poparł ją Michel. – Panie Sylwestrze, phoszę przodem.

Kiedy anioł w czerni i pół-Francuz z graficie zniknęli za drzwiami kuchni, Agata kucnęła obok Delfiny i ściszyła głos do szeptu:

– *Alors, mon cherie*, musimy powiedzieć Renacie o tym paragonie.

– Myślisz, że ten wypadek może mieć coś wspólnego z...?

– Ja nie myślę, ja to wiem. – W głosie Śródki słychać było niezachwianą pewnością.

– I myślisz, że ten, kto zostawił paragon, przyszedł teraz wykończyć Katarzynę? – Delfina była równocześnie przerażona i zafascynowana.

– Na osiemdziesiąt procent. Dwadzieścia zostawiam na okoliczność, że się potknęła.

Drzwi kuchni ponownie się otworzyły, wypuszczając Sylwestra Rójka z tacą, na której stały dwa kieliszki z przezroczystym płynem. Kelner zatrzymał się przed fotelem, po czym z wielką gracją ustawił kieliszki na stoliku.

– Na zdrowie! – powiedział i wrócił, skąd przyszedł.

Agata chwyciła kieliszek, przechyliła głowę i wlała całą zawartość prosto do gardła.

– No, twoja kolej – zaordynowała. – Do dna, od razu poczujesz się lepiej.

Delfina wprawę musiała mieć mniejszą, bo ledwo zamoczyła usta w płynie, skrzywiła się i otrząsnęła.

– *Dégoûtant!* – stwierdziła z obrzydzeniem.

– A niby jaka ma być? Toż to siwucha, a nie pięćdziesięcioletnia whisky. Lej do gardła, szybko przeleci, nawet nie poczujesz. No! *Allez!*

Za trzecim podejściem pięćdziesiąt mililitrów wody ognistej zniknęło w przełyku pani Blanc, a na jej twarzy znów pojawiły się kolory. Śródka cmoknęła z zadowoleniem.

– No i widzisz? Nie było tak źle. Teraz musimy pogadać z Renatą.

– To może jeszcze jedną kolejkę? – zaproponowała pani Blanc. – Dla odwagi?

Na Agacie alkohol w żadnej ilości nie robił wrażenia, co kilka razy kiepsko się skończyło dla ludzi, którzy koniecznie chcieli ją upić. Taki defekt. Podobno jej organizm metabolizował etanol z prędkością światła, wobec czego jedynym skutkiem ubocznym zakrapianych imprez były częste wizyty w toalecie.

Śródka rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby skoczyć do kuchni, ale jak na złość nikogo nie było, a proszenie o coś takiego sierzanta



Żabkę to już mogła być przesada. Westchnęła ciężko, chwyciła puste kieliszki i pomaszerowała przy akompaniamencie głośnego stukania swoich dwunastocentymetrowych obcasów. W dresie czy nie w dresie, damę poznaje się po butach.

Dwóch zatrudnionych przez Katarzynę kucharzy uwijało się wokół parujących garów, a Michel instruował kelnera, jak ma rozkładać sztuce na stołach.

– I niech cię hęka boska bhoni, żeby do spaghetti nie podać łyżki! – kładł mu do głowy, machając pęczkiem szczypiorku.

Zdezorientowany Rójek spoglądał to na szczypiorek, to na srebrne sztuce, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego we Francji makaron je się łyżką.

– Skąd wzięliście wódkę? – zapytała Agata niezainteresowana edukacją personelu niższego szczebla.

– Z Polmosu – zazartował jeden z kucharzy, a drugi zaczął chichotać.

– Niech pan się lepiej zajmie rosołem, bo po zapachu poznaję, że jest za słony – odgryzła się Agata.

Chichoczący kucharz zanurzył łyżkę w tłustym wywarze, spróbował i pokiwał głową do żartownisia.

– W lodówce stoi – odpowiedział jej Rójek i natychmiast dostał w głowę szczypiorkiem.

– Nie hożphaszać się, panie Hó... Sylwestrze! Słyszał pan, że Agata sól wyczuwa węchem, więc i wódkę znajdzie.

Trzy górne półki ogromnej przemysłowej chłodziarki zajmowały przygotowane wcześniej połówki czekoladowych jaj. Śródka skontrolowała, czy nikt przypadkiem ich nie zniszczył, wyjęła stojącą na drzwiach otwartą butelkę wódki i po chwili namysłu postanowiła zabrać całą do jadalni. Może się przecież okazać, że potrzebna będzie trzecia kolejka, więc lepiej być przygotowaną. Przed wyjściem z kuchni zatrzymała się na chwilę i rzuciła przez ramię w kierunku kucharzy:

– Niech pan doda trochę cynamonu do tego pstrąga, nie będzie taki mdły.

– Ona tak zawsze? – zapytał Michela ten z poczuciem humoru, kiedy drzwi się zamknęły.

– Nie. Zazwyczaj jest gorzej. Dziś była wyjątkowo łaskawa – odparł konsjerż ku przerażeniu trzech pozostałych mężczyzn. – W nohmalnych wahunkach wyrzuciłaby pana z hoboty za użycie khojonych pomidohów.

Sylwester Rójek przełknął ślinę, a na jego twarzy pojawił się dziwny grymas. Był przekonany, że to Osoba jest strasznym babonem, ale przy tej paniusi w szpilkach wyglądała jak wcielenie łagodności.

– No, panie Sylwestrze, whacamy do szkolenia. To jest widelec do ślimaków. Niech się pan tak nie krzywi, ślimaki to phawdziwy hahtas.

W poplamionym czekoladą dresie, w czerwonych szpilkach, z butelką wódki pod pachą Agata Śródka wzbudziła powszechne zainteresowanie. Pan Zdzisiu z wrażenia przerwał wieszanie kolejnego żyrandola, pan Waldek zastygł z kinkietem w dłoniach, a Renata Bujko-Wawrzyniak osłupiała i przez moment stała z otwartymi ustami. Podkomisarz Miziacz także się zdziwił, ale nie objawił tego uczucia, podczas gdy sierżant Żabka okazywał zdumienie każdą komórką swojego ciała, na przemian mrugając i wytrzeszczając oczy.

Nawykła do budzenia zainteresowania mediów i ludzi w ogóle restauratorka dotarła do celu, postawiła flachę na stoliku, z kieszeni bluzy wyjęła dwa kieliszki, rozlała do nich akwawitę i bez najmniejszego skrepowania wypila jednym haustem drugą kolejkę.

Oszołomiona widownia przyglądała się temu spektaklowi w milczeniu, podobnie zresztą jak Delfina Blanc, która następnie poszła w ślady Śródki i tym razem jej także udało się opróżnić kieliszek do dna.

– Co wy wyprawiacie?! – syknęła prokuratorka, kiedy już odzyskała zdolność mówienia. – Ciociu, nie wstyd ci? Tak w środku dnia, wódkę?

– A co to za różnica, o jakiej porze? – zdziwiła się Agata. – Morderca zaatakował w środku dnia, a więc my musimy się pokrzepić w środku dnia.

Słuchający tego dialogu mężczyźni pokiwali głowami – no przecież, to logiczne.

– To alkoholizm! – labidziła Renata. – Ja nie miałam pojęcia, że ty masz taki problem.

– Przestań bredzić, Renatko! – fuknęła restauratorka. – Problemy obecnie mam dwa i żadnym z nich nie jest uzależnienie od alkoholu. Przecież wiesz, że ja się nigdy nie upijam.

Prokuratorka rzeczywiście wiedziała, ponieważ „defekt” Agaty był znany całej rodzinie i od lat nikt nigdy nie odważył się stanąć z nią w szranki w trakcie rodzinnych uroczystości.

– No dobra, to co to za problemy? Pani Katarzynie nic już nie zagraża, a w szpitalu zajmą się nią jak prawdziwą carycą; przyjaciela pani Delfiny mamy omówionego...

– Ale Maksymiliana nie mamy. – Agata zniżyła głos do szeptu.

– Kogo? Jakiego znowu...? – nie zrozumiała Renata, w końcu jednak sobie przypomniała: – Aaaa, tego Maksymiliana. Ale to nie jest wasz problem, tylko Miziacza. Nie zamierzasz chyba się mieszać do śledztwa? – zapytała tonem ostrzeżenia.

– *Tout à fait*<sup>6</sup> – zapewniła ją ciotka. – Mam dla ciebie istotne informacje, ale wolałabym, żeby ten goguś nas nie podsłuchiwał. Działa mi na nerwy swoją pewnością siebie i butą.

Goguś, czyli podkomisarz Marcin Miziacz, wychodził z siebie, żeby usłyszeć, o czym rozprawiają prokuratorka i jej ciotka. Miał nieodparte wrażenie, że mówią o nim, i to niekoniecznie dobrze. A przecież poparł różowe szkaradztwo Śródki, więc mogłaby okazać jakąś wdzięczność i wstawić się za nim u Renaty. Może kobieta przestałaby go nienawidzić, przynajmniej odrobinę.

– Przejdźmy się po ogrodzie – zasugerowała Śródka, chwytając siostrzenicę pod rękę. – Tam będziemy mogły wszystko ci wyjaśnić.

Renata zerknęła w stronę Miziacza i zgodziła się wyjść z ciotką z pałacu. Delfina także podniosła się z fotela. Wyglądała już znacznie zdrowiej, a na jej posągowo pięknej twarzy zagościł nawet figlarny uśmiech.

## Rozdział XXIX. Spodziewała się pani, że morderca podpisał się imieniem i nazwiskiem?

Niepocieszony obrotem spraw Miziacz odprowadził kobiety pełnym podejrzliwości wzrokiem. Mógłby spróbować je zatrzymać, ale w zasadzie nie znajdował żadnego dającego się sensownie uzasadnić powodu. Skręcające się z ciekawości bebechy raczej nie znalazłyby zrozumienia u Renaty.

Kiedy pogotowie odjechało, przystąpił wraz z Żabką do przesłuchania wszystkich pracujących na parterze osób, nie zapominając o kucharach, ale z nich pożytku nie było żadnego. Młodziutki i wyjątkowo wystraszony kelner też niczego nie widział, bo zjawił się później niż policjanci. Jedyne świadek zaś uparcie twierdził, że widział ludzką sylwetkę pomykającą schodami w górę i da sobie rękę uciąć, że sylwetka należała do mężczyzny, w dodatku bardzo sprawnego fizycznie.

Po blisko półtorej godzinie zadawania w kółko tych samych pytań i uzyskiwania identycznych odpowiedzi Miziacz poczuł, że boli go głowa. Zostawił Żabkę na placu boju i ruszył w kierunku foteli. Przy okazji spojrział przez okno do ogrodu, gdzie trzy kobiety spacerowały pochłonięte rozmową.

Zapadł się w miękkim fotelu i poczuł błogość. Może uda mu się zdrzemnąć choć na chwilę, na kilka sekund. Głowa jednak ćmiła go coraz bardziej, co skutecznie uniemożliwiało wyciszenie. Nagle jego wzrok padł na stolik, na którym stała oszroniona butelka z alkoholem. A może by tak...? Zamiast łykać prochy?

Wychylił się, omiół spojrzeniem przestrzeń dookoła, po czym szybkim ruchem odkręcił butelkę, nalał wódki do kieliszka, wychylił do dna, a następnie, jak gdyby nigdy nic, wrócił do pozycji pólężącej. Poczuł, że ciepło spływa mu wzdłuż kręgosłupa, a potem wraca aż do czubka głowy,

przynosząc upragnioną ulgę. Zamknął oczy i delektował się chwilą. Nagle znów znalazł się na balu wśród ludzi w pudrowanych perukach, a Renata płąsała na parkiecie z wystrojonym sierżantem Żabką. Tym razem jednak miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę. Nagle ze ściany wyszła jej ciotka na tych swoich upiornie wysokich obcasach i ryknęła mu prosto do ucha:

– No pięknie! Jeśli stróż prawa tak stróżuje, to nic dziwnego, że tu ludzie giną hurtem!

Miziacz podskoczył w fotelu. Stała nad nim Agata Śródka, a za nią Renata przyglądająca mu się z kpiącym uśmiechem.

– Dlaczego pani tak krzyczy? – Usiłował pokryć zmieszanie oburzeniem, ale wyszło mu słabo.

– Inaczej nie umiem, więc mogę tylko tak – odparła celebrytka z ironią.

– Czyżby wierzył pan w metody głoszone przez Arthura Conan Doyle’a i oddawał się iluminującej medytacji pod wpływem używek? – Węch był tym zmysłem, który nigdy jej nie oszukał.

– No co też pani?! – Miziacz oblał się pąsem i miał ochotę wcisnąć się w fotel. Albo wejść do ściany tak jak Śródka w jego śnie, tylko odwrotnie. Zaraz... Jakim cudem ona wyszła z tej ściany? Nagle jego umysł ruszył z właściwym sobie rozpędem i zaczął produkować logiczne wnioski.

– Żabka! Chodź no tu natychmiast! – rozdarł się, jakby go ze skóry obdzierali.

Sierżant przybiegł, spodziewając się, że jego szef dostał zawału albo co najmniej ataku kolki, olśnienia zaś nie spodziewał się na pewno.

– Potrzebujemy planów pałacu! Tu muszą być jakieś tajne przejścia dla służby! – krzyczał jak w amoku Miziacz. – Jeśli napastnik nie wyskoczył przez okno, to musiał skorzystać z tajnego przejścia. A to oznacza...

– ...że dobrze zna pałac – dokończył Żabka.

Agata wymieniła spojrzenia z siostrzenicą. Wydarzenia zdawały się nabierać tempa, a akcja nieco zagęszczać. W trakcie przechadzki kobiety

uzgodniły, że o znalezisku w grobie Maksymiliana bezwzględnie należy powiedzieć Miziaczowi, ale żeby nie narażać Katarzyny na nieprzyjemności – choć przez jakiś czas będzie jej wszystko jedno, bo i tak ze szpitala za szybko nie wyjdzie – należało wdrożyć jakiś chytry plan. Jego chytrość zaś miała polegać w głównej mierze na tym, że to Miziacz odkryje ów paragon i odtrąbi pierwszy sukces w sprawie Maksymiliana.

– To może ja pójde poszukać planów w sypialni Katarzyny – zaproponowała Śródka głosem niewiniątka. – Jeśli gdziekolwiek je trzyma, to właśnie tam.

– Słusznie – pochwalił podkomisarz. – Żabka, idź z panią.

Agata jęknęła w duchu. Jasna cholera, na grzyba jej ten Żabka, będzie jej pewnie na ręce patrzył... Nie bez powodu jednak osiągnęła niebywały sukces w świecie zdominowanym przez mężczyzn, zatem szybko wymyśliła plan awaryjny. Wciąż miała przewagę nad policjantem – wiedziała, czego i gdzie powinna szukać, on natomiast nie.

Weszli do przestronnego pokoju i Śródka od razu zasugerowała sierżantowi, żeby przeszukał szuflady ogromnego biurka. Ona tymczasem skorzystała z toalety – co poradzić, siła wyższa. Na drzwiach łazienki wisiał wełniany kardigan, ten sam, w którego kieszeni poprzedniego dnia Katarzyna trzymała inkryminujący dowód. Przy dobrych wiatrach paragon wciąż powinien tam być.

– Bingo! – szepnęła z zadowoleniem Agata, wyciągając papierek z kieszeni. Pamiętała, że nie wolno jej zostawić na nim odcisków palców, skorzystała więc z lateksowej rękawiczki, którą przytomnie włożyła wcześniej do kieszeni bluzy. – No dobra, ale co teraz? – szeptała dalej. – Jak im to podrzucić?

Usiadła na brzegu wanny i zatopiła się w myślach.

– Żyje pani?! – doleciał ją zmartwiony głos sierżanta.

– Żyję, żyję, zaraz wyjdę! A co, pan też musi?

– Przydałoby się! – odkrzyknął policjant.

Nie mogło być lepiej! Schowała paragon razem z rękawiczką do kieszeni, spuściła wodę, umyła ręce i wyszła z łazienki. Kiedy Żabka zamknął drzwi od środka, rzuciła się na biurko i w pierwszej szufladzie znalazła czyste koperty. Włożyła paragon do jednej z nich, a następnie w miejscu na adresata drukowanymi literami napisała:

DLA POLICJI

W SPRAWIE MAXYMILIANA

Tym razem o odciski palców się nie obawiała, ponieważ zamierzała dokonać odkrycia koperty na oczach sierżanta i macać ją, ile wlezie, żeby wszędzie zostawić ślady swoich paluchów. Wsunęła kopertę pomiędzy leżące na biurku listy i luźne kartki, a następnie rozpoczęła ostentacyjne trzaskanie szufladami.

– I co, jakiś sukces? – zapytał Żabka po wyjściu z łazienki.

– Niestety nie, ale ja też nie bardzo wiem, czego szukać – skłamała gładko. – Może przejrzę tę stertę tutaj... – Z zapalem rzuciła się na artystyczny nieład na biurku i zaczęła wyciągać kartki, spomiędzy których na podłogę wypadła koperta. Chwyciła ją w obie dłonie i zaczęła oglądać, obracając we wszystkie strony. – Panie sierżancie, to chyba do pana?

– Niech jej pani tak nie miętosi! – wrzasnął Żabka z paniką. – No i teraz musimy zdjąć pani odciski palców.

– Najmocniej pana przepraszam, to odruchowo, chciałam zobaczyć, czy jest nadawca...

– A co, spodziewała się pani, że to morderca zostawił dla nas list, a w dodatku podpisał się imieniem i nazwiskiem? – syknął wściekły Lesio.

– To byłoby wielce pomocne, nie sądzi pan?

Sierżant spojrział na nią wzrokiem wyrażającym wiele uczuć, z pewnością jednak nie było tam sympatii. Celebrytka czy nie, odpowiedzialność obywatelska obowiązuje wszystkich. Chwycił kopertę dwoma palcami, uprzednio włożywszy rękawiczkę, po czym umieścił



znalezisko w foliowej torebce, którą wyjął nie wiadomo skąd. Na pytające spojrzenie Agaty odpowiedział cicho:

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

Śródka całkowicie podzielała to przekonanie, w duchu zaś dziękowała sobie za przezorne włożenie dresu, który był jedyną częścią jej czarnej garderoby posiadającą kieszenie.

– Najwyraźniej nie ma tutaj tych planów – stwierdziła w końcu. – Trzeba będzie jechać do katastru.

Żabka niechętnie się z nią zgodził, choć wizyty w urzędach nie należały do jego ulubionych obowiązków. Nawet legitymacja funkcjonariusza policji nie sprawiała, że pracownicy tych instytucji, bądź co bądź państwowych, traktowali go bardziej po ludzku. Ewidentnie etos pracy urzędnika wymagał umiejętności pomiatania petentami. Koperta w foliowej torebce była jednak jakimś pocieszeniem.

Zeszli na dół, rozglądając się bacznie za miejscami, gdzie mógłby się znajdować tajemniczy tunel, niczego jednak nie znaleźli. W jadalni zastali pustkę oznaczającą, że ekipa remontowa udała się na zewnątrz, gdzie przygotowano dla niej stoły, podkomisarz zaś w towarzystwie dwóch kobiet siedział dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawili.

– Macie? – zawołał pełnym nadziei głosem Miziacz, wychylając się z fotela.

– Mamy, tyle że nie to, po co poszliśmy – zameldował Żabka.

Renata wymieniła z ciotką spojrzenia, a przez jej twarz przemknął ledwo widoczny wyraz ulgi. Mogła odetchnąć i przystąpić do wykonywania służbowych obowiązków bez wiązania Agaty z niewątpliwie podejrzanym zachowaniem właścicielki pałacu. Jej wyczulona intuicja mimo wszystko odnotowała, żeby przy okazji poszukiwania tajemniczego Andrzeja Markowskiego prześwietlić dokładnie panią Jakimiuk i jej mężów. Byłych i przyszłych, tak na wszelki wypadek. Co prawda Śródka zapewniała, że ręczy głową za praworządność swojej wieloletniej przyjaciółki, jednak czy

na pewno możemy ufać komukolwiek bez zastrzeżeń? Mieć absolutną pewność co do jego szczerości?

– Może pan jaśniej, sierzancie? – zwróciła się do Żabki suchym, służbowym tonem.

– Na biurku znaleźliśmy kopertę zaadresowaną do nas – odparł Lesio pośpiesznie i wyciągnął rękę, z dumą prezentując zdobycz.

– I niby w jaki sposób koperta ma nam zastąpić plany pałacu? – powątpiewał Miziacz. – Kto jest nadawcą?

– Domniemywam, że pani Jakimiuk, bo nikt się nie podpisał.

Podkomisarz chwycił dyndającą w dłoni Żabki torebkę i obejrzał kopertę z obu stron. Zatrzymał na chwilę wzrok na zapisanej stronie.

– Dlaczego Maksymilian jest napisany przez „x”? – zapytał Żabkę, jakby ten był autorem owej językowej impertynencji.

Renata spojrzała na ciotkę z paniką w oczach, napotkała jednak minę zupełnie niewzruszoną, co dodało jej nieco otuchy.

– A bo ja wiem? – Sierżant wzruszył ramionami. – Może tak właśnie pani Jakimiuk go nazwała, przecież to ona wymyśliła kryptonim dla denata. Kto bogatemu zabroni?

Miziacz, chcąc nie chcąc, musiał mu przyznać rację. Bogaci ludzie żyją w innym stanie świadomości i przychodzą im do głowy przeróżne dziwactwa. Z dwojga złego lepszy Maxymilian niż Brajan. Albo Dżesika. Otrząsnął się na wspomnienie swojej małej bratanicy, którą rodzice skrzywdzili zestawieniem imienia Dżesika z nazwiskiem Miziacz. Sadyści.

– Co jest w środku? – Proste pytanie Renaty przywróciło wszystkim kontakt z rzeczywistością.

– Nie zaglądałem, wolałem nie dotykać, bo już i tak pani Śródka zostawiła ze trzy warstwy swojego naskórka na kopercie – powiedział Żabka z naganą, jednak Agata zajęta była właśnie liczeniem kinkietów na przeciwległej ścianie.

– Jedzie pani z nami – zarządził Miziacz.

– *Pardon?* – Oburzenie na twarzy Agaty mieszało się z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Musimy zebrać od pani odciski linii papilarnych, skoro zanieczyściła pani materiał dowodowy – odparł podkomisarz, podnosząc się z fotela.

Agata rzuciła pełne strachu spojrzenie w kierunku prokuratorki, której także zrobiło się odrobinę gorąco. Zgodnie z planem Śródka miała pozostać daleko od śledztwa. Paluchy paluchami, ale nie daj Bóg coś jeszcze wyjdzie, a wtedy klops.

– Ależ to zupełnie niemożliwe! – zakrzyknęła nagle Renata, olśniona niemal do nieprzytomności. Jednak to prawda, że geniusze najlepiej pracują pod presją. – Ciocia Agata musi zastąpić panią Jakimiuk, przecież jutro zjawi się tu telewizja i uczestnicy programu.

– Racja, racja! – poparła ją Agata z taką żarliwością, że przekonałaby samego diabła do zakupu zapalek.

– No to jak mamy wykluczyć jej odciski? – warknął Miziacz, choć wiedział, że tę walkę już przegrał.

– Normalnie, wezmę coś szklanego, wypaciam tak jak kopertę i gotowe!  
– Śródka rozejrzała się w poszukiwaniu ewentualnego obiektu do paciania, a Miziaczowi na chwilę stanęło serce.

Jedyne szklane przedmioty w zasięgu wzroku stanowiły kieliszki i butelka wódki. Jeśli kobieta sięgnie po kieliszek, którego wcześniej dotykał on, to po zawodach. Nigdy się z tego nie wytłumaczy.

Ku jego wielkiej uldze Agata zauważyła stojący pod ścianą karton, podeszła do niego nad wyraz zwawym krokiem, wyjęła ze środka niewielkie pudełeczko, a z niego z kolei podłużną energooszczędną żarówkę, po czym zaczęła ją obmacywać wszystkimi dziesięcioma palcami.

– O, widzi pan? Na pańskich oczach dokonuję zostawienia odcisków, pan to sobie tym proszkiem posypie, przeniesie do komputera skanerem i wszystko będzie widać jak na dłoni. Nomen omen zresztą.

Oślupiały Miziacz patrzył na wyciągniętą rękę restauratorki i zastanawiał się, naprawdę poważnie zastanawiał, kto tu jest wariatem. Sądząc po minach świadków tej sceny, uznał, że chyba jednak on, nie pozostawało mu więc nic innego, jak tylko zaakceptować zasady tej gry. Żarówka oblepiona odciskami linii papilarnych Agaty Śródki wylądowała w foliowej torebce wyjętej uprzednio z kieszeni spodni sierżanta Żabki i wyglądało na to, że w tym momencie praca śledczych w pałacu się kończy.

Renata także opuściła pałac, miała bowiem kilka rzeczy do sprawdzenia i wolała nie przeciągać struny, która już i tak wydawała się mocno napięta. Zdecydowanie będzie lepiej dla wszystkich, a z całą pewnością dla śledztwa, jeśli ciotka Agata i jej przyjaciółki przestaną się w nie mieszać. Choć trzeba im przyznać, że dostarczają wyjątkowo dużo rozrywki.

## Rozdział XXX. Potrzeba ludzi z zapałem i sercem do pracy

W czasie, w którym Agata Śródka dokonywała odkrycia inkryminującego dowodu i dekorowała go własnymi palcami, Sylwester Rójek pogrążył się w narastającej frustracji. Po kilkunastu minutach ułała mu się konkretnie, przekreślając bezpowrotnie szansę na błyskotliwą karierę w roli kelnera.

– Nie wiem, do czego jest ten nóż! – krzyczał zrozpaczony. – Co to jest w ogóle za różnica, jakim nożem będę kroił kiełbasę, a jakim nakładał kawior na bagietkę?!

– A jaka jest hóżnica, czy pan włoży czyste czy bhudne gacie na tyłek?! – nie wytrzymał Michel. – Czy to też jest panu tak obojętne? Panie... panie Hójek?!

Kucharzowi, który właśnie nalewał zupę do wazy, chochla wypadła z rąk i wyrznęła z hukiem o posadzkę. Drugi niechcący podpalił ścierkę, machając nią nad otwartym palnikiem. Na szczęście pożar nie wybuchł, bo obok kuchenki stała miska z wodą po ziemniakach i udało się w niej ugasić ścierkę. Sylwestra Rójka natomiast dosłownie замуrowało, całkowicie odbierając mu zdolność logicznego myślenia.

Jego łagodne dotychczas spojrzenie nabrało zaskakującej ostrości, a dziewczęce rysy stwardniały. Zaciśnięte zęby wyeksponowały szeroką zuchwę, a nozdrza zaczęły się poruszać jak chrapy konia. Być może na kimś innym zrobiłoby to wrażenie, jednak Michel Blanc miał doświadczenie w pracy w najlepszych polskich hotelach i restauracjach, wystraszenie go wymagało więc o wiele więcej zachodu. Jakież to niebezpieczeństwo prezentował sobą dwudziestodwupółletni chłopiec o anielskiej twarzy w porównaniu na przykład z fanatycznymi kibicami Legii? No litości...

– Pan mnie przeprosi – wycedził Rójek, spoglądając w czarne oczy Michela spod blond grzywy.

- Nie mogę przephaszać za pańskie nazwisko, to haczej wina pana ojca.
- Natychmiast przeproś! – warknął młodzieniec.
- Pan śni na jawie – odparł niewzruszony Blanc.
- Przeproś, żabojadzie, albo gorzko tego pożałujesz!

To był właśnie ten moment, kiedy Michel Blanc, zdeklarowany gej, mizogin, snob i diwa, sięgnął do swoich zapasów testosteronu i pokazał, dlaczego Agata Śródką powierzyła mu odpowiedzialne zadanie zarządzania jej najważniejszym biznesem. Sylwester Rójek dopiero miał się o tym przekonać.

Konsjerż ruszył krokiem niemal defiladowym do drzwi, otworzył je na całą szerokość i tonem tak lodowatym, że aż włosy na karku stawały dęba, rzekł:

- Haczy pan łaskawie do mnie podejść.

Rójek nawet nie próbował stawiać oporu. Wciąż rzucając Michelowi wyzwanie wzrokiem, zbliżył się do niego na odległość kilkunastu centymetrów.

– Bahdzo phoszę przesunąć lewą nogę do przodu, a zahaz za nią phawą tak, żeby znalazły się po dhugiej sthonie tego phogu – polecił Blanc.

Chłopak potrzebował chwili, żeby dotarł do niego sens owego polecenia, okropnie dużo tam było „h” i trochę zajęła mu sama translacja. Kiedy już pojął treść, wykonał rozkaz bez szemrania, rozumiejąc, że stawanie okoniem niewiele mu da. Znalazłszy się po drugiej stronie progu, odwrócił się jednak i wyszeptał do Michela:

- Będiesz tego bardzo żałował.

Michel zmierzył chłopaka pozbawionym emocji spojrzeniem, po czym puścił drzwi, a te zamknęły się z głośnym hukiem. Siedząca w fotelu, tym samym, który do niedawna zajmował Miziacz, Agata wzdrygnęła się mocno. Delfina się nie wzdrygnęła, bo trzecia już kolejka wypita na nerwy przyniosła zamierzony skutek.

– Nadepnął pan na odcisk naszemu *maître d'hôtel*? – domyśliła się Śródka.

– Tak jakby – burknął chłopak, mijając kobiety. – Myślałem, że mam obsługiwać gości, a nie studiować historię sztuki kulinarnej.

– Panie Sylwestrze, niech pan na chwilę usiądzie, opowiem coś panu – poprosiła Agata, wskazując głową na pusty fotel naprzeciwko siebie.

Rójek skinął głową i przycupnął na brzegu mebla. Nie miał ochoty słuchać opowieści, ale przecież nie śpieszyło mu się z powrotem do Kunickiego, który z pewnością nie nagrodzi go za spalenie kolejnego planu.

– Wie pan, co to jest Cordon Bleu? – zapytała ciepło restauratorka.

Nie wiedział. Kojarzyło mu się z jakimś daniem, którego kosztował w Warszawie, ale nigdy nie miał pamięci ani do języków obcych, ani do fikuśnych nazw. Pokręcił głową w milczeniu.

– No tak, młody pan jest, wychowany na McDonalddie i KFC – westchnęła ze smutkiem Agata. – Cordon Bleu albo kotlet szwajcarski to nazwa sznycla cielecego: takiej panierowanej roladki z szynką i serem w środku, smażonej na maśle. Ale to także nazwa najbardziej renomowanej akademii kulinarnej na świecie. Słyszał pan kiedyś o Julii Child?

Tym razem skojarzeń nie miał żadnych, w życiu o takiej nie słyszał. Czyli nie jest sławną instagramerką. Ani nikiem sławnym.

Śródka westchnęła jeszcze głośniejsze i przewróciła zielonymi oczami. Świat chylił się ku nieuchronnemu upadkowi, a kolejne pokolenia są coraz głupsze...

– Julia Child była żoną amerykańskiego dyplomaty. W trakcie kilkuletniego pobytu we Francji ukończyła kurs w paryskiej Cordon Bleu, a następnie została pierwszą amerykańską kucharką celebrytką. Jej program kulinarny był nadawany w ogólnopństwowej telewizji i cieszył się ogromną popularnością.

– Coś jak Makłowicz? – ucieszył się Sylwester, bo wreszcie mógł się popisać wiedzą.

– Można tak powiedzieć – przytaknęła Agata. – Tylko o wiele większego kalibru. Stała się ikoną i do dziś uznawana jest za matkę sztuki kulinarnej w Stanach Zjednoczonych. Przede wszystkim to ona przywiozła do Ameryki klasyczną francuską kuchnię.

Chłopak kiwnął głową i postanowił sprawdzić tę Julię Child, jak tylko wróci do domu. W zasadzie lubił się uczyć i zwykle przychodziło mu to bez większego trudu, niestety śmierć ojca zmusiła go do zakończenia edukacji po technikum informatycznym. Chciał zostać programistą, pracować przy grach komputerowych, marzył mu się CD Projekt, albo nawet i Ubisoft. U Kunickiego nie zarabiał źle, prawdopodobnie o wiele lepiej niż większość programistów, ale na rozwój osobisty raczej nie miał co liczyć.

Widząc w oczach chłopaka rosnące zainteresowanie, Śródka kontynuowała opowieść, co bez wątpienia sprawiało jej przyjemność.

– Mówię panu o tym, ponieważ ja także ukończyłam paryską Le Cordon Bleu i proszę mi wierzyć: sztuka kulinarna to nie tylko znajomość gatunków mięs, umiejętność krojenia warzyw i przyrządzania sosów. Tak jak malarz musi znać historię sztuki, tak szef kuchni musi rozumieć etykietę, asocjacje i mieć umysł otwarty na zmiany. A żeby być otwartym na zmiany – wyjaśniała restauratorka – trzeba wiedzieć, jakim zmianom nasza dziedzina podlegała na przestrzeni dziejów.

– A szkoły dla kelnerów też są? – zapytał nagle chłopak.

– *Mais oui!* Każdy zawód ma swój etos, który należy wchłonąć. Powiem panu to, co moja wspomniana już wcześniej idolka mówiła na temat kelnerów w najlepszych paryskich restauracjach. *Bon sang!* Jak to szło? – Agata zamyśliła się głęboko, o czym świadczył uroczo zmarszczony nos. – Dobra, mam! Nie będzie to cytat, ale mniej więcej było tak: kelnerzy poruszali się między gośćmi z dyskretną radością, tak jakby ich jedyną misją życiową było sprawić, aby klienci czuli się swobodnie i pod dobrą opieką.



Rójek spuścił głowę ze smutkiem. Nagle zrobiło mu się przykro, że nie będzie miał okazji poruszać się wśród gości z dyskretną radością.

– No widzi pani, widocznie ja się nie nadaję – podzielił się swoją bolączką.

– Bzdura! – krzyknęła nagle Delfina, wynurzając się z fotela. – Niech pan się nie poddaje! Mój syn się poboczy i do jutra mu przejdzie, a nam potrzeba ludzi z zapałem i sercem do pracy. Prawda, Agato?

– Najprawdziwsza – zgodziła się Śródka. – Zwłaszcza teraz, kiedy musimy same opanować cały ten cyrk. Wciąż brakuje nam rąk do obsłużenia gości. Może ma pan jakichś kolegów, którzy zechcieliby zarobić parę groszy i pomóc nam przetrwać to przyjęcie?

– Mogę popytać – odparł bez przekonania. – A pani Caryca nie wróci do tego czasu ze szpitala?

– Tego niestety nie sposób przewidzieć – odpowiedziała zgodnie z prawdą Agata. – No dobrze, niech pan już idzie, żeby Michel pana nie zobaczył, a jutro proszę się stawić punktualnie, bez żadnych spóźnień. I tych kolegów niech pan pyta, niewiele czasu nam zostało.

Rójek podziękował za uratowanie mu skóry, ukłonił się grzecznie obu damom i ruszył do wyjścia z pałacu. Robotnicy powoli wracali z przerwy obiadowej, zaraz znów miało się zrobić głośno. W ostatniej chwili obrócił się, żeby o coś jeszcze spytać, ale Agata już wstała z fotela i dzierżąc w jednej dłoni butelkę z wódką, drugą pomagała wstać Delfinie.

– Dalej, *mon chérie*, wstawaj. Jutro jajo będzie gotowe, musimy urządzić ekspozycję – przypomniała swej nowej przyjaciółce.

Sylwester Rójek poczuł, jak serce zaczęło walić mu w piersi. Przyśpieszył kroku, a na dziedzińcu puścił się pędem. Tak bardzo chciał donieść szefowi, że plan uda się zrealizować w stu procentach!

## Rozdział XXXI. A czego ty się spodziewałeś, Miziacz?

W drodze do komendy podkomisarz Miziacz bezskutecznie walczył z myślami, które nieustannie krążyły wokół wydarzeń w pałacu. Jeden trup mógłby znaleźć się tam przypadkiem, ale drugi, nawet niedoszły, stanowczo budził podejrzenia. Do tego koperta zaadresowana ręką Katarzyny do policjantów mogła świadczyć o tym, że kobieta dowiedziała się czegoś, co przypieczętowało jej los. Na szczęście – o ile w tym nieszczęściu można tak się wyrazić – tusza uratowała pani Jakimiuk życie. Tak przynajmniej twierdził lekarz. Gdyby nie spora ochronna warstwa tłuszczu, z pewnością trupy byłyby dwa. A tak tylko jeden, w dodatku bezimienny, za to martwy na amen. I jedna nieprzytomna przyszła panna młoda.

Miziacz włączył kierunkowskaz i zatrzymał samochód na parkingu przeznaczonym dla pojazdów służbowych; tuż obok niego stanął Żabka, a po chwili dojechała również prokurator Bujko-Wawrzyniak.

– Diabli nadali jeszcze ją – sapnął niepocieszony Marcin, wyjmując kluczyk ze stacyjki. – I ta cioteczka z piekła rodem, celebrytka. Cholery z nimi idzie dostać.

Wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiami odrobinę za mocno, po czym i tak musiał je otworzyć, bo w środku została żarówka udekorowana liniami papilarnymi Agaty Śródki. Koperta jechała z Żabką w ramach hołdowania zasadom równości i współpracy.

Nie czekając na sierżanta ani tym bardziej na rudowłosą prokuratorkę, Miziacz pomknął jak strzała do komendy i zniknął w swojej pieczarze. Leszek Żabka nie tylko poczekał na Renatę, ale otworzył drzwi jej samochodu, pomógł wysiąść, przepuścił przodem w drzwiach komendy i zaproponował herbatę, za którą ona grzecznie podziękowała.

– Takich mężczyzn jak pan to dziś ze świecą się nie znajdzie, sierżancie – skomplementowała go RBW, a Lesio natychmiast oblał się pąsem. – A już na pewno nie na tym piętrze – dodała kąśliwie, mijając otwarte drzwi do gabinetu Miziacza.

– Może zaczeka pani tutaj – zaproponował Żabka – a ja skoczę zanieść dowód do laboratorium.

– Czeka, czeka! – krzyknął Miziacz. – Dawaj no tu tę kopertę, trzeba zobaczyć, co jest w środku, i dopiero oddać technikom.

Renata skinęła głową. Mimo że doskonale wiedziała, co zawiera koperta, chciała na własne oczy zobaczyć ten tajemniczy paragon. Znalezienie danych osoby, do której należał, nie powinno nastęrczyć większych problemów. Bogu dzięki za rozwój technologii i kasy fiskalne.

Lesio Żabka wpuścił prokuratorkę do gabinetu szefa i wskazał jej krzesło obok biurka Miziacza, sam zaś zajął miejsce stojące po drugiej stronie pokoju.

Podkomisarz włożył lateksowe rękawiczki, rozwinął na biurku papierowy ręcznik i ostrożnie wyjął kopertę z torebki na dowody. Kiedy dwoma palcami wyciągał nieduży papierek z jej wnętrza, czuł się niemal jak położnik pomagający przyjść na świat członkowi rodziny królewskiej. Z trudem panował nad drżeniem rąk, a na jego wysokim czole pojawiły się kropelki potu.

– Tylko tyle? – zapytał Żabka, nie kryjąc zawodu. – Nic więcej tam nie ma?

Miziacz zajął do koperty i pokręcił głową. On też nie ukrywał rozczarowania.

– No to dupa zbita – zawyrokował. – Nie ma wielkiego przełomu, a seryjna rozwodniczka nieźle sobie z nas zakpiła.

– A czego ty się spodziewałeś, Miziacz? – Renata postanowiła się wtrącić. Była porażona indolencją i ignorancją doświadczonego policjanta. Chyba powinien wziąć dłuższy urlop, żeby jego szare komórki wróciły do

formy. – Myślałeś, że znajdziesz tam list z przyznaniem się do winy? Albo może opis i personalia denata? A jeszcze lepiej denata i jego zabójcy? Stuknij się w głowę i zacznij myśleć. Sierżancie – zwróciła się do Żabki. – Niech pan przyniesie tę herbatę, a ja w tym czasie wyjaśnię podkomisarzowi, w jaki sposób powinien zająć się prawdopodobnym i jak na razie jedynym dowodem w sprawie o zabójstwo.

Lesio polecenie prokuratorce wykonał z dziką radością, ponieważ atmosfera w niedużym gabinecie mocno się zagęściła. On także wiedział, jak należało się zająć paragonem, choć liczył na jakieś bardziej spektakularne odkrycie. Na przykład fragment skóry z tatuażem, po którym można by rozpoznać jej właściciela. Albo obrączkę z wygrawerowaną datą, ewentualnie wyniki jakichś badań z PESEL-em. Z braku laku dobry i paragon; może uda się coś z niego wyczytać.

Westchnął cicho, włączył czajnik, wyjął z kieszeni komórkę i zaczął przeglądać wiadomości w internecie, czekając, aż woda się zagotuje. Powodowany zwykłą ciekawością, wpisał w oknie wyszukiwarki hasło „Maxymilian”. Po chwili pojawiła się lista stron: większość odsyłała do noclegów w kołobrzeskiego hotelu, kilka dotyczyło lekarzy, polityków i osób, o których sierżant Żabka nigdy nie słyszał. Przy jednym nazwisku zaśmiał się gromko, bo któż o zdrowych zmysłach daje dziecku na imię Maxymilian, kiedy już zostało pokrzywdzone nazwiskiem Gruschka?

Czajnik pstryknął, Lesio odczekał krótką chwilę, po czym zalał torebkę herbaty, którą umieścił w najelegantszym kubku, jaki znalazł w kuchni. Ucho było co prawda lekko wyszczerbione, ale i tak wyglądał nieźle.

– Słodzi pani? – zapytał, wróciwszy z parującym kubkiem do gabinetu Miziacza.

– Nie, nie, dziękuję. – Renata uśmiechnęła się ciepło, przyjmując gorący napój od mało urodziwego, ale budzącego ogromną sympatię sierżanta. – Niech pan siada, panie Leszku, podkomisarz właśnie robi zdjęcia naszemu dowodowi, to może chwilę potrwać...

Miziacz rzeczywiście wyginał się w dziwnych pozach, przekręcając telefon komórkowy w niezrozumiały dla nikogo sposób. Żabka przyglądał się tej gimnastyce z wyraźnym niesmakiem na swoim rybim obliczu.

– A tak nie byłoby łatwiej? – zapytał w końcu, po czym pęsetą chwycił paragon i podniósł na wysokość wzroku, umożliwiając Miziaczowi zrobienie zdjęcia w pionie, po ludzku.

– Twoja paszcza włązi mi w kadr – burknął urażony podkomisarz.

– Istnieją programy do usuwania tła – odparł beznamietnie sierżant. – Rób to zdjęcie, bo chcę oddać dowody do laboratorium.

Adonis wykonał kilka ujęć paragonu na tle paszczy sierżanta Żabki, po czym zajął się zrzucaniem zdjęć na dysk komputera, a Lesio pognął do techników z materiałami do badań.

Renata w milczeniu popijała gorącą i niezbyt smaczną herbatę, cały czas zastanawiając się, co też ona w tym pięknym jełopie widziała. Uroda to jedno, ale przecież to powszechnie znana prawda, że najseksowniejszym organem mężczyzny jest jego mózg. Gdzie ona miała oczy?! Jak mogła zakochać się w tym dzbanie? Zakochać jak zakochać, ale cierpieć przez niego? To z kolei nieszczególnie dobrze świadczyło o jej inteligencji.

Miziacz także dokonywał rachunku sumienia. Po raz kolejny pytał sam siebie, jak to się stało, że uciekł od tej kobiety? Piękna, inteligentna, z poczuciem humoru, z klasą. I te nogi... Ale ona chciała związku, a na ten krok on nie był gotowy – usprawiedliwiał się w myślach. Możliwe, że nigdy nie będzie, do niczego nie jest mu to potrzebne. Życie w pojedynkę było wygodne i dawało poczucie wolności. Poza tym miał pracę, którą uwielbiał i której oddawał się w stu procentach. Tu nawet dla psa nie było miejsca, a co dopiero dla kobiety z jej wymaganiami, potrzebami, kaprysami i charakterem.

– Wyniki powinniśmy dostać jeszcze dzisiaj, załatwiłem z Elżunią tryb cito – zameldował Żabka, zamykając za sobą drzwi do gabinetu.

– Jak ci się to udało? – W głosie podkomisarza brzmiał podziw pomieszany z zazdrością. – Moje wyniki zawsze są na szarym końcu, zupełnie jakby robiła to złośliwie.

– Obiecałem jej bombonierkę i jakąś dobrą kawę – odpowiedział Żabka.

– Przecież ja też proponowałam, że pójdziemy na kawę – stwierdził kwaśno Miziacz.

Renata parsknęła, opluwając monitor komputera.

– Ciesz się, że w ogóle dostajesz od niej cokolwiek po takiej zachęce – skwitowała ze śmiechem. – Lepiej wzięłbyś przykład z sierżanta i nauczył się obchodzić z kobietami.

– Wcale nie narzekam na brak zainteresowania ze strony kobiet. – Nonszalancja w tonie podkomisarza miała ukryć urazę, jaką spowodował afront prokuratorki.

– Jest różnica między kobietami a puszczałskimi pannami, które są twoimi żeńskimi odpowiednikami – wycedziła Renata. – Elżunia należy do tej pierwszej grupy i jest nieczuła na twoje pozbawione smaku gierki.

– A ty do której grupy należysz? – zapytał nagle Miziacz, podnosząc na kobietę błękitne oczy.

Renata zdębiała. Poczowała, jak oblewa ją fala gorąca, a serce nienaturalnie przyśpiesza. Miała ochotę wydłubać mu te niebieskie gały albo wcisnąć do czaszki, w której z całą pewnością panowała idealna pustka. Wiatr tam musiał hulać, nie pozwalając ewentualnym szarym komórkom zakorzenić się w miejscu, w którym powinny się odbywać procesy myślowe.

Sierżant Żabka czuł ogromne zażenowanie. Wlepił wzrok w swoje niekoniecznie czyste buty i zaczął w myślach nucić melodię usłyszaną w radiu reklamy z gatunku tych, które irytują, a jednocześnie nie chcą wyjść z głowy.

Za to Miziacz wyglądał, jakby jego całkowicie niestosowne pytanie było czymś równie neutralnym jak zapytanie o godzinę. Siedziałyby tak pewnie jeszcze długo, świdrując wzrokiem rudowłosą kobietę, która właśnie

życzyła mu bolesnej śmierci wskutek jakiejś potwornie nieprzyjemnej choroby w rodzaju gorączki krwotocznej albo pęknięcia jelita grubego, gdyby nie jej wrodzona klasa i nabyta dyplomacja.

– Niech pan zerknie, sierżancie, na zdjęcia zrobione przez podkomisarza – poleciła obojętnie, starając się, by jej głos brzmiał wyłącznie profesjonalnie. – Tło usuniemy później, skupmy się teraz na tym, co możemy wyczytać z tego paragonu.

Żabka natychmiast podniósł się z krzesła i podszedł do Miziacza, który nie rozumiał, dlaczego jego pytanie nie doczekało się odpowiedzi. Lesio wyrwał szefowi mysz z ręki i powiększył obraz.

– Ikea na Bielanach Wrocławskich – odczytał na głos – bla, bla, bla, szesnasty listopada, godzina czternasta zero siedem, kasa numer osiem, bla, bla, bla, o! – Ucieszył się nagle. – Zapłacono kartą!

– Bingo! – wykrzyknęła Renata. – Dopiję herbatę i jedziemy.

– Ja pojedę sam z Żabką – zaproponował Miziacz.

– Mowy nie ma! Jadę z wami.

Protesty nie miały sensu, prokuratorka ani myślała puścić Miziacza do miejsca, w którym delikatność i umiejętność dyplomatycznego prowadzenia rozmowy mogły bardzo pomóc.

– Musimy podjechać do mojego biura, sierżancie, wystawię nakaz. Chcę mieć tę sprawę rozwiązaną przed otwarciem pałacu – rzuciła, podnosząc się z krzesła.

Choć zwróciła się do Żabki, patrzyła prosto w oczy Miziacza, a w jej wzroku nie było nawet śladu sympatii.

## Rozdział XXXIII. Niegłupi ten plan i może się powieść

– Opowiadaj, Bidul, wszystko jak na spowiedzi! – Mikołaj Kunicki wyglądał na podekscytowanego, co można było przypisać tak radości z powrotu podwładnego, jak zbyt dużej dawce kofeiny.

– Zaraz, szefie, muszę oddech złapać. Biegłem całą drogę, w dodatku trochę dookoła – sapał chłopak o anielskiej twarzy, obecnie mieniący się wszystkimi odcieniami czerwieni.

– Napij się wody, żebyś nie zemdłał. – Wąty postawił na ławie wysoką szklankę. – A może wódki byś wolał? Na pokrzepienie?

– Nie, żadnej wódki, źle mi się kojarzy. – Bidul skrzywił się nieznacznie. – Poza tym nic nie jadłem, więc zaraz bym rzygał.

Wąty pokiwał głową ze zrozumieniem i nagle zorientował się, że i on niczego jeszcze tego dnia nie jadł. Już otworzył usta, żeby zapytać szefa o preferencje kulinarne, kiedy ten obcesowo go uciszył:

– Zawrzyj pysk, Wąty, potem będziesz gadać! Teraz chcę usłyszeć raport. Nie poznała cię? – zwrócił się do Bidula.

– No, poznała... – odparł z wyraźnym zaskoczeniem chłopak. – Przecież widziała mnie wczoraj, chyba nie zdążyłem się zmienić przez jeden dzień.

– Ale przez pół roku się zmieniłeś, idioto, więc pytam, czy cię nie rozpoznała!

– A, Caryca?! – Bidul wyszczerzył się jak głupi. – Nie, gdzie tam! Wyautowana na amen. Nikogo już nie rozpozna.

Kunicki zmrużył oczy, jakby niezupełnie zrozumiał znaczenie tych słów. Bidul wziął spory łyk wody, przełknął go nader głośno, po czym poinformował:

– Caryca zaliczyła dooma: spadła ze schodów i jak się zjawiłem, to leżała już paszczą do ziemi, bez ruchu. Pogotowie ją zabrało i cześć pieśni.

– I jak to niby ma mi pomóc w odzyskaniu jaja? – warknął Kunicki.



– Normalnie, szefie, nic nie rozumiesz... – Bidul pokręcił głową z politowaniem. – Jajo już jest, wystarczy poczekać, aż zostanie wystawione, i je gwizdnąć. W tłumie ludzi nikt na nas uwagi nie zwróci.

Brwi Mikołaja podjechały niemal na wysokość *sutura coronalis*, nadając jego pięćdziesięcioletniej twarzy wyraz kojarzący się z maską pośmiertną kogoś, kto umarł ze zdumienia. Kunicki mrugał do tego z taką intensywnością, jakby chciał sprawdzić, czy można od tego stracić wzrok.

– Bidul – odezwał się Wątyły, zerkając z obawą na szefa – weź no może nakreśl jakieś okoliczności, bo nie do końca da się je wywnioskować z tego, co mówisz.

Młodzieniec o anielskim obliczu odzyskał już zarówno oddech, jak i naturalne kolory, opróżnił szklanę do końca, wytarł usta rękawem czarnej koszuli i przystąpił do nakreślania okoliczności, zaczynając od momentu, w którym zjawił się w pałacu. Po łebkach omówił szkolenie z Michele, skupiając się mocno na podkreśleniu, jakim bufonem i snobem ów cymbał się okazał, traktując jego, biednego chłopaka z nizin, jak człowieka gorszej kategorii, w dodatku wyzywając najbrzydszym z możliwych słów. Słowo oczywiście zacytował przez „ch”.

– Dalej nie rozumiem, jak chciałbyś zrealizować plan gwizdnięcia jaja. Bo chyba masz jakiś plan, tak czy nie? – indagował Kunicki.

– Za dwa dni w pałacu odbywa się finał jakiegoś kulinarnego konkursu – wyjaśniał Bidul cierpliwie. – Ma być telewizja, nadziani goście, zamieszanie gwarantowane. Ca... – Urwał, zorientowawszy się, że w oczach Mikołaja zabłysła chęć dokonania mordu. – Osoba wymyśliła sobie, że jajo zostanie wystawione na widok publiczny w szklanej gablocie, żeby je lud oglądał. A my je z tej gabloty wyciągniemy. – Chłopak wypiął pierś z dumą, spodziewając się co najmniej pomruku uznania.

Mikołaj milczał. Jego twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji, co mogło oznaczać tylko jedno: myślał. Głęboko analizował informacje, rozważając słabe i mocne strony planu. Gdy trwał w tym stanie, nie wolno

mu było przeszkadzać. Wiedział o tym Bidul, wiedział o tym Wąty, więc obaj zachowali idealne milczenie.

– Po pierwsze – odezwał się w końcu Kunicki – skoro nie ma Osoby, to jaką mamy pewność, że impreza się odbędzie i jajo zostanie wystawione dla ludu? Po drugie: w jaki sposób miałyby nam się udać uciec z pałacu z wartym miliony dziełem sztuki bez zwracania na siebie uwagi? Po trzecie: staniesz się natychmiast osobą najbardziej podejrzaną.

Sylwester Rójek od małości posiadał dość nietypową cechę, którą uważał za swoją tajną broń. Była nią niezwykle rzadka umiejętność logicznego myślenia wyłącznie w warunkach ekstremalnego wysiłku. Na przykład w trakcie morderczego biegu. Pokonując drogę między pałacem i domem, zdołał obmyślić cały plan w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z trzema wyjściami awaryjnymi. Spodziewał się takiej reakcji Mikołaja, uśmiechnął się zatem szeroko, założył nogę na nogę i odparł z niezachwianą pewnością:

– Po pierwsze: impreza odbędzie się na pewno, bo funkcję Osoby przejęła jej przyjaciółeczka, jakaś kucharka, i na własne uszy słyszałem, jak mówiła, że jajo ma być gotowe do ekspozycji. Po drugie: zapomina szef, że znam pałac jak własną kieszeń, wliczając w to tajne przejścia i skrytki, o których nikt inny nie ma pojęcia. I po trzecie – dodał z niekłamaną satysfakcją – wszyscy trzej będziemy podejrzani, ale nikt nie będzie miał pojęcia, kim jesteśmy.

Odpowiedzi numer jeden i dwa wydawały się satysfakcjonować Mikołaja, z trzecią natomiast miał niejaki problem.

– Przecież ciebie znają – zauważył. – Z imienia i nazwiska, wiedzą, że jesteś miejscowy. I jak to: wszyscy trzej?

– U mnie mogą szukać do uśmiechniętej śmierci, niczego nie znajdą i tyle po ich wiedzy. Trzech nas jest przecież: ja, Wąty i szef. Potrzeba osób do obsługi przyjęcia, więc pomyślałem, że pójdziecie ze mną i zrobimy dywersję.

– Bidul, ty chyba zapominasz, że ja się ukrywam. – Kunicki postukał się w czoło. – A tam telewizja ma być.

– Niech się szef nie martwi, wystąpicie incognito. – Nawet to chłopak zdążył przemyśleć, biegnąc. – Peruka, doklejane wąsy, okulary... nikt z nikim was nie skojarzy.

Plan Bidula nie był głupi i mógł się powieść.

– Niegłupi ten plan i może się powieść, co szefie? – zagaił Wąty, czując, że za chwilę zemdleje z głodu. Oczywiście było to tak samo prawdopodobne jak prawdziwość teorii płaskoziemców, niemniej chłopak czuł narastającą w nim rozpacz. – Możemy zamówić pizzę? – jęknął w końcu.

Kunicki kiwnął głową, zupełnie nie zwracając uwagi, na co się zgadza, pochłaniały go bowiem myśli związane z realizacją planu Bidula. To mogło się udać. Nikt ich nie znał, twarze mają takie, że trudno zapamiętać, a przebranie dodatkowo ich zanonimizuje. Gwizdną jajo, znikną w tajnej skrytce, odczekają, ile trzeba, a potem wrócą do swojej tymczasowej kwatery, gdzie jak gdyby nigdy nic będą czekać na zakończenie procesu. Bidul wszystkiego się wyprze, posiedzi tydzień, dwa w domu z matką, a potem wróci do roboty. W tym czasie przyschnie sprawa tego typu, policja nie znajdzie sprawców, umorzy i po zawodach.

Zadowolony z tych wniosków Mikołaj uśmiechnął się pod nosem. Obserwujący go spod blond grzywy Bidul poczuł przypływ samozadowolenia, a przy okazji i głodu.

– Wąty, dla mnie bez pieczarek i z podwójnym serem! – krzyknął do grubaska, który wyszedł na zewnątrz, żeby zamówić pizzę przez telefon.

– I bez ostrej papryki! – dodał Mikołaj, zdradzając wyśmienity humor. – Hemoroidy mam!

## Rozdział XXXIV. Pijana, a wciąż genialna!

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła Agata Śródka po wyjściu młodego kelnera, była – a jakże! – konfrontacja z irytującym *maitre d’hotel*.

Stukając obcasami, z Delfiną uczeploną jej ramienia, wparowała z rosnącą wściekłością do kuchni, niemal wyrywając drzwi z zawiasów.

– Czyś ty na głowę upadł?! – wydarła się od progu. – Obrażać chłopaka, który jest naszą jedyną nadzieją na jaką taką obsługę?!

– Jeśli tak ma wyglądać obsługa, to lepiej zhóbmymy kuchnię polową i dajmy ludziom grochówkę w plastikowych miskach – odparł zupełnie nieprzejęty Blanc.

– I niby kto tę grochówkę będzie z gara rozlewał, ty czy może pan Zdzisiu?!

Agata z natury głos miała silny i donośny. Wzmocniony jej nadzwyczajnym wzburzeniem oraz wspaniałą akustyką wysokiej kuchni pałacowej, dotarł nie tylko do uszu biednego pana Zdzisia, któremu zrobiło się odrobinę przykro, ale też do wszystkich domostw sąsiadujących z pałacem.

– A co, zamierzasz przyjmować niepełnosprawnych gości? Bez hę? – Michelowi też niczego nie brakowało w kwestii wokalu. – Sami sobie będą nalewać, taki suhwiwal.

Śródka przełknęła ripostę, która cisnęła jej się na usta. Dalsza wymiana ognia z Michelelem mogła się skończyć katastrofą, a tych w ostatnim czasie było już za dużo. Sapnęła głośno, omiotła spojrzeniem kuchnię, obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do centrum dowodzenia, którym w sposób naturalny zostały cztery stojące pośrodku jadalni fotele.

– Idziesz, Delfino? – zapytała, zatrzymując się w połowie drogi. – Mamy jeszcze sporo wódki.

Podchmielona pani Blanc zareagowała zgodnie z przewidywaniami Agaty i zupełnie odwrotnie do przewidywań Michela. Ruszyła dziarskim galopkiem za restauratorką, uśmiechając się zalotnie do zdumionych robotników. Michel przyglądał się temu pokazowi skrajnej nieodpowiedzialności i upadku, jak zwykł potem o tym mówić przez wiele tygodni, z zawstydzieniem mieszającym się z niesmakiem.

– To źmija jest – syknął pod nosem, choć na tyle głośno, że obaj kucharze wyraźnie słyszeli każde słowo. – Khew wyssie i jad wpuści.

Zamknął drzwi z głośnym trzaśnięciem i wrócił do przerwanej impertynenckim wtargnięciem Śródki lektury *Le Comte de Monte-Cristo*.

Agata jednak nie miała w planie zostawać na oczach, a w szczególności uszach, pracujących dookoła mężczyzn. Chwyciła butelkę i kieliszki ze stolika, złapała Delfinę pod ramię, po czym dumnym krokiem wymaszerowała na dziedziniec. Tak jak się spodziewała, Jewgienij krzątał się wokół pałacu z ogromnym sekatorem i wyrównywał żywopłot z berbersysu.

– Pssst, panie Jewgieniju – syknęła Agata i na wszelki wypadek machnęła ręką, w której trzymała butelkę z gorzałką. – Niech pan tu podejdzie na chwilę.

Osilek rzucił sekator na trawnik i z zaskakującą gracją przybieżał do stolika.

– Wszystko u pana w porządku? – zagadnęła go słodkim głosem podstępna restauratorka.

– Tak.

– Napije się pan z nami?

– Tak.

– A nie przeszkadza panu, że będzie pić z używanego kieliszka? Nie chce mi się do kuchni wracać po świeży.

– Nie.

– No i pewnie, wódka wszystko odkazi. Mądry z pana chłopak – pochwaliła go żmija.

Wprawnym ruchem odkręciła nakrętkę, nalała płynu do dwóch kieliszków, jeden podała Jewgienijowi, drugi chwyciła w dwa palce.

– Na zdrowie! – zawołała.

– *Budźmo!* – ryknął Ukrainiec i wlał zawartość kieliszka wprost do gardła.

– Delfino, nalać ci? – zapytała Śródka, ale jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Matka Michela chwyciła butelkę i łyknęła prosto z gwinta. – No dobra, nie było pytania. Panie Jewgieniju, pijemy?

Mężczyzna wyciągnął rękę z pustym kieliszkiem, co oczywiście starczyło za odpowiedź. Agata wyjęła butelkę z dłoni Delfiny, nalała wódki do kieliszka Jewgienija, następnie do swojego i powtórzyli wcześniejszy rytuał. Delfina nie miała pojęcia, jaki niecny plan uknuła Śródka, ale bardzo jej się podobała ta spontaniczna impreza we troje.

– Niech pan siada, panie Jewgieniju, pogadamy sobie od serca – zachęcała wielkiego jak tur chłopka kompaktowa Agata.

Chłop z radością przyjął zaproszenie, bo trochę mu zbrzydło upiększanie żywopłotu z berberysów, zwłaszcza że cholerstwo dotkliwie kłuło.

– Wie pan, tak sobie tutaj z panią Delfiną siedzimy, kontemplujemy przyrodę, moczymy dzióbki w kieliszkach i przyszło nam do głowy takie pytanie: zauważył pan może, żeby pani Katarzyna miała jakiegoś wroga? – Agata oparła łokieć na stole, podparła głowę dłonią, założyła nogę na nogę i filuternie machała czerwonym bucikiem.

Mężczyzna zmarszczył brwi, nie rozumiejąc pytania.

– No, wie pan: może ktoś jej nie lubi? Albo była dla kogoś szczególnie niemiła? – wyjaśniła, naprowadzając go na swój tok rozumowania.

– Panią Katjuszę dużo ludzi nie lubi – odparł z dźwięcznym zaśpiewem.

– Kucharze jej nie lubi i pan Michel jej nie lubi.

– Michel się nie liczy, on nie lubi nikogo – ucięła Śródka. – A kucharze dlaczego jej nie lubią?

– A bo ona niemila jest, pani Katjusza. Rządzi się i krzyczy.

– A pan ją lubi?

– Ljubi, ljubi! – zapewniał szczerze osiłek. – Dla mnie miła i nie krzyczy.

I placi, i jeść daje.

– Ktoś jeszcze jej nie lubi? Na przykład sąsiad jakiś?

– A to chyba tylko pan Edmund.

– Ogrodnik? – zdziwiła się Śródka. – Tak właściwie to gdzie on jest?

– *Wczora* miał wolne, *siohodni* miał być.

– Ale go nie ma – stwierdziła Agata. – Może chory?

– *Ja ne znaju*. – Jewgienij rozłożył ręce i wydał usta.

– Trzeba się będzie dowiedzieć – zdecydowała restauratorka. – Ale zanim to zrobimy, to może jeszcze jedna kolejeczka. Co pan na to? Delfino, ciebie nie pytam, chlapniesz sobie z flachy.

Jewgienija zasadniczo pytać też nie było trzeba, a po rozlaniu trzeciej kolejeczki w butelce zostało napitku zaledwie na jedno chlapnięcie Delfiny. Śródka z troską pomyślała, że poranek będzie dla pani Blanc bardzo ciężki.

Z niejakim smutkiem ukraiński strongman wrócił do swojej pracy, za którą płaciła mu Katarzyna, a pozostawione same sobie Agata i ululana na wesoło Delfina oddały się luźnej rozmowie, która z uwagi na stan pani Blanc była raczej monologiem Śródki przeplatany chichotem matki Michela.

– Coraz bardziej podejrzany ten pan Edmund mi się wydaje, wiesz, Delfino? Ledwo tego sztywnego Maksymiliana znalazł i już go nie ma. Dzisiaj miał się zjawić, nie przyszedł, a ktoś tę Katarzynę ze schodów zepchnął. Co tam mówisz?

Delfina nic nie mówiła, bo dopadła ją pijacka czkawka, a to z kolei niezwykle ją bawiło. Czkała więc i chichotała na zmianę.

– *Mon Dieu*, aleś się sponiewierała... – Agata położyła nogi na stojącym naprzeciwko krześle. – Przygotuję ci od razu aspirynę na rano. Może by pojechać do tego Edmunda, sprawdzić, czy przypadkiem nie umarł. Jak myślisz?

– Hik, hihhi, hik.

– Tak mi się właśnie wydawało, że się ze mną zgodzisz. Zadzwoń do Renatki i zapytam, czy to dobry pomysł. Szkoda tylko, że nazwiska nie znamy, chociaż ilu może być Edmundów w okolicy? Pewnie tylu samo co Delfin.

– Hik, hihhi, hik.

– Raczej ze mną nie pojedziesz, pijaczynko? To nic, wezmę Michela. Cholera jasna! – Agata klepnęła się w czoło. – Przecież ja tego Edmunda na oczy nie widziałam, to jak go poznam?

– Hik, Jewgienij, hik, hihhi.

– No jasne! Popatrz, pijana, a wciąż genialna! Oczywiście, że wyślę pana Jewgienija z Michele. Widzisz, Delfinko, jakie my mądre jesteśmy? Co dwie głowy, to nie jedna.

Posiedziały jeszcze przez chwilę, Agata w milczeniu, Delfina radośnie czkając, po czym ta pierwsza zaordynowała powrót do obowiązków. W przypadku tej drugiej bezwzględny spoczynek.



## Rozdział XXXV. Od pierwszego kopa wyglądają na zakapiorów

W biurze Renaty panował idealny porządek, co właściwie sierżanta Żabki nie zaskoczyło. Poza porządkiem panował tam także przyjemny zapach, a to już w znacznym stopniu zaskoczyło tak Lesia, jak jego przełożonego.

– Normalnie jakbym do Douglasa wszedł – zarechotał Miziacz, który wciąż nie pojął skali popełnionego wcześniej nietaktu, a nawet w ogóle nie zauważył, że go popełnił.

– Zawsze jak wchodzisz do Douglasa, to rzysz, jakbyś rozum stracił? – zgasiła go Renata. – Sierżancie, może mi pan podać czerwony segregator z najwyższej półki?

Żabka jednym susem znalazł się przy regale, z niewielkim trudem zdjął czerwoną opasłą teczkę i położył na biurku. Prokuratorka szybko odszukała potrzebny jej dokument, następnie wstukała coś na klawiaturze laptopa, a po chwili uruchomiła się drukarka, wypluwając dwie kartki, które Renata podpisała, opieczętowała i włożyła do foliowej koszulki. Koszulkę wsunęła do eleganckiej skórzanej aktówki w kolorze kawy z mlekiem, zamknęła laptopa i oznajmiła:

– Gotowe. Pojedziemy jednym samochodem, chyba że któryś z panów ma coś przeciwko.

Nawet gdyby któryś miał, to z pewnością nie odważyłby się do tego przyznać. Pokręcili tylko głowami i opuścili pachnący wiosennymi kwiatami gabinet. Żabka postanowił przy okazji nabyć odświeżacz do pomieszczeń i zainstalować w swojej służbowej klitce. I koniecznie częściej wietrzyć.

Tym razem Renata nie pozwoliła, by otworzył jej drzwi; zrobiła to sama i ulokowała się z tyłu za pasażerem. Prowadził Miziacz, co miało tę zaletę, że teoretycznie mógł się nie odzywać, koncentrując na obserwowaniu drogi. W dodatku przytyk na temat „rzenia” ubódł go do żywego, bo

przecież jego intencją było skomplementowanie wyszukanego aromatu we wnętrzu gabinetu prokuratorki. W ramach demonstrowania urazy podkomisarz Miziacz, w niektórych kręgach znany jako „Miziu żadnejnigdy nieprzepuści”, postanowił unieść się honorem i nie zaszczyścić pyskatej prokuratorki ani jednym słowem wypowiedzianym jego ustami w odcieniu dojrzałej maliny.

Nieświadoma odbywania ciężkiej kary Renata zapatrzyła się w szybę. Pochłonięta własnymi myślami zupełnie nie zwracała uwagi na zmieniający się wzdłuż drogi krajobraz. Coraz bardziej ciekawiła ją postać Katarzyny Jakimiuk, która ewidentnie musiała mieć coś za uszami, bo przecież zwykłych i zupełnie niewinnych ludzi nie spycha się ze schodów. Komuś musiała się narazić. Albo – myśl ta uderzyła ją zupełnie nagle – komuś przeszkadzać. A co, jeśli ten paragon ma większe znaczenie, niż początkowo przypuszczała? Nie da się przecież wykluczyć, że morderca Maksymiliana zorientował się, iż Katarzyna weszła w posiadanie dowodu, który może go kosztować dwadzieścia pięć lat wolności. Znała przypadki zabójstw z dużo bliższego powodu. A jeśli Miziacz nie połączy tych dwóch elementów, ona będzie miała tę kobietę na sumieniu. Matko jedyna, ale bajzel! Poczowała, jak puls jej przyśpieszył, a dłonie zaczęły się pocić ze stresu.

– Myślicie, że ten paragon ma jakiś związek z Maksymilianem? – zagadnął nagle sierżant Żabka, któremu krępujące milczenie zaczęło mocno doskwierać.

– Zastanawiałam się nad tym właśnie – odparła Renata, doskonale tuszując ulgę. – Bo jaki mógłby być inny powód zostawienia nam tej koperty przez Jakimiuk?

– No właśnie! – ucieszył się sierżant i wychylił w fotelu w stronę prokuratorki. – Ja też tak sądzę. Gorzej będzie, jeśli okaże się, że to jej paragon.

– Nie martwmy się na zapas, mam dobre przecucie – stwierdziła z przekonaniem.

Miziacz widocznie nie miał żadnych przecuć albo nie zamierzał się nimi dzielić, milczał bowiem jak zakłęty. Renata dwukrotnie uchwyciła jego spojrzenie w lusterku wstecznym, ale niewiele potrafiła z niego wywnioskować. Zresztą wcale jej nie obchodziło, co sobie podkomisarz Jestem Bogiem myśli, chciała tylko rozwiązać sprawę. I to jak najszybciej.

W jej torebce rozdzwonił się telefon. Na wyświetlaczu widniał lokalny numer ze Świdnicy, odebrała więc tonem oficjalnym.

– Renata Bujko-Wawrzyniak.

Męski głos przedstawił się, po czym zaczął składać relację. Kobieta zamknęła oczy i słuchała w skupieniu.

– Dziękuję, doktorze, proszę mnie informować o każdej zmianie – zakończyła, po czym odezwała się do współpasażerów: – To ze szpitala, Jakimiuk wciąż jest nieprzytomna, ale jej stan jest stabilny. Ma pęknięte żebra, wstrząśnienie mózgu i jest mocno poturbowana.

– Może powinniśmy tam kogoś wysłać? – zaproponował nieśmiało Żabka.

– Dobry pomysł, sierżancie – pochwaliła chłopaka prokuratorka. – Dopóki jest na OIOM-ie, nic jej nie grozi, ale jutro powinna trafić na oddział, więc nie zaszkodzi, jak ktoś jej popilnuje.

Lesio skwapliwie pokiwał głową, nic już jednak nie powiedział, bo dojechali na miejsce. Miziacz zaparkował samochód tuż przy wejściu do Ikei, na szczęście zbyt długo nie musiał krążyć. Przeszli w milczeniu niewielki dystans i natychmiast ruszyli na poszukiwanie kogoś z kierownictwa. Po dziesięciu minutach oczekiwania młoda dziewczyna zaprowadziła ich do niedostępnej dla klientów części biurowej, gdzie asystentka menedżera regionalnego, jak głosił napis na tabliczce obok drzwi, w czarnej garsonce i śnieżnobiałej koszuli, posadziła ich na kanapie,

zapropowała kawę, którą wszyscy troje ochoczo przyjęli, i zostawiła ich samych, bo telefon na jej biurku ani na moment nie przestawał dzwonić.

– Państwo do mnie? – Po wyjątkowo długich trzech minutach z głębi korytarza wyłonił się elegancki mężczyzna. – Dominik Popielski – przedstawił się, spoglądając na przybyszów z ciekawością.

Miziacz stęknął w duchu, liczył bowiem na jakąś seksowną panią menedżer, którą owinąłby sobie wokół palca, a może i zaprosił na kolację. Faceta zapraszać nie będzie, choćby nie wiadomo jak był przystojny.

Renata zareagowała zgoła odmiennie. Podeszła do mężczyzny z ujmującym uśmiechem, uściśniła mu dłoń, przedstawiła siebie, a następnie swoich kolegów i przeszła do sedna.

– Chcielibyśmy prosić pana o kilka informacji związanych z prowadzoną przez nas sprawą. Nie zajmiemy panu wiele czasu.

Mężczyzna zerknął na asystentkę pochłoniętą rozmową w języku angielskim i skinął głową.

– Zapraszam państwa – powiedział miękko i ręką wskazał uchylone drzwi w głębi korytarza.

Renata ruszyła pierwsza, za nią zniechęcony Miziacz, orszak zaś zamykał Żabka, który nagle poczuł silną potrzebę odwiedzenia toalety, rozglądał się więc w poszukiwaniu stosownego oznaczenia na drzwiach. Dostrzegłszy je, przeprosił eleganckiego gospodarza i puścił się pędem, w obawie, że ktoś zajmie mu miejsce.

Popielski wskazał gościom krzesła wokół szklanego stołu, sam zaś usiadł za biurkiem.

– W czym mogę państwu pomóc? – odezwał się, splatając dłonie na blacie.

– Chcielibyśmy pana prosić o udostępnienie nam danych osoby, która dokonała transakcji w państwa sklepie – wyjaśniła Renata, modulując głos tak, żeby brzmiał jak najbardziej profesjonalnie.

– Rozumiem, że mają państwo stosowne dokumenty pozwalające na ujawnienie tych informacji?

– O masz, liczyliśmy, że złapie się pan na ładne nogi pani prokurator – rzucił Miziacz, z wyjątkową uwagą oglądając swe zadbane paznokcie.

Renata zagryzła wargę i poczuła, że zalewa ją druga fala morderczych fantazji. Żeby tylko fala, tsunami co najmniej.

Obdarzony nienagannymi manierami Dominik Popielski mimowolnie zerknął na nogi pani prokurator i chcąc nie chcąc, musiał uznać, że faktycznie są ładne.

– Proszę wybaczyć panu podkomisarzowi – westchnęła kobieta z uśmiechem – znany jest ze specyficznego poczucia humoru. Oczywiście, że mamy dokumenty. – Sięgnęła do aktówki, z której wyjęła koszulkę z nakazem.

– Nie, nie, nie trzeba – zapewnił mężczyzna. – Proszę powiedzieć, co mamy sprawdzić, i zaraz się tym zajmiemy.

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich głowa Żabki. Sierżant omiół rybim spojrzeniem gabinet, zatrzymał je ciut dłużej na niewyraźnej niczego twarzy Miziacza i wszedł, niemal się kłaniając.

– Sierżancie, proszę pokazać panu Popielskiemu zdjęcie paragonu – poleciła prokuratorka.

Dominik Popielski podniósł się z krzesła i podszedł do stołu. Żabka pogmerał w telefonie komórkowym, po czym położył go na blacie. Na wyświetlaczu na tle rybiej twarzy sierżanta widać było paragon. Popielski dwoma palcami powiększył obraz i przyjrzał się informacjom zapisanym na rachunku.

– Zgadza się, to transakcja dokonana w naszym sklepie. Jakich informacji konkretnie państwo potrzebują?

– Chcemy się dowiedzieć, kto jest właścicielem karty, którą zapłacono – wyjaśniła Renata.

– I gdyby się dało, chcielibyśmy obejrzeć nagranie z kamer. – Żabka doskonale pamiętał, że system monitoringu nieustannie patrzył na ręce tak klientom, jak i pracownikom sklepu.

– Oczywiście, zaraz poproszę kierownika odpowiadającego za bezpieczeństwo o odszukanie zapisu wideo.

Miziacz po swoim niefortunnym żarcie postanowił nie odzywać się niepytany, a tak się składało, że nikt o nic go nie pytał. „No i dobrze – myślał podkomisarz. – I tak nie mam nic do powiedzenia”.

Popielski, zapisawszy sobie na kartce potrzebne informacje, wrócił do biurka i wykonał dwa telefony. W czasie gdy instruował kierownika do spraw bezpieczeństwa, drzwi gabinetu uchyliły się i weszła asystentka z tacą, na której stały trzy filiżanki z kawą, cukierniczka i mlecznik. Postawiła tacę na stole, po czym wyszła, zamykając drzwi bez najmniejszego nawet dźwięku.

– Wszystko załatwione – poinformował śledczych gospodarz. – W ciągu kilkunastu minut będę miał dla państwa informacje.

Popielski zajął się odpowiadaniem na maile, a troje przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości w ciszy popijało mocną kawę. Po kilku minutach milczenie im się znudziło, gabinet obejrzeli już całkiem szczegółowo, wyjęli więc telefony i jęli przeglądać media społecznościowe, portale informacyjne i serwisy randkowe – to ostatnie oczywiście tyczyło się Marcina Miziacza.

Mniej więcej dziesięć minut później komputer Popielskiego wydał dźwięk świadczący o nadejściu maila, co ożywiło całe towarzystwo.

– Mam dla państwa dane dotyczące karty, którą dokonano płatności – oświadczył z nieukrywaną radością mężczyzna.

– Wspaniale – ucieszyła się Renata. – Bardzo proszę je wydrukować. A co z tym nagraniem?

– Jeśli wypili państwo kawę, to przejdziemy do biura monitoringu i będą mogli państwo obejrzeć zapis.

Prokuratorka skinęła głową i wypijała ostatni łyk kawy. Miziacz odstawił na stół opróżnioną do połowy filiżankę, a Żabka wciąż dmuchał na zawartość swojej, choć wcale nie było takiej konieczności. Widocznie nauczka odebrana w pałacu była bardzo dotkliwa.

Popielski podał Renacie kartkę zdjętą z drukarki, a następnie otworzył drzwi i śledczy wyszli w milczeniu. Nikomu nie przychodziło do głowy nic mądrego, woleli więc się nie odzywać.

Przeszli długim korytarzem do windy i zjechali na parter, gdzie mieściło się biuro ochrony. Popielski odblokował drzwi sześciocyfrowym kodem i weszli do ogromnego pomieszczenia zastawionego monitorami od podłogi do sufitu.

– O w mordę! – Miziacz zachłysnął się z wrażenia. – Wygląda jak na mostku Enterprise.

– Rzeczywiście można tak pomyśleć. – Uśmiechnięty pięćdziesięciolatek ubrany w sportową marynarkę, flanelową koszulę i sprane dżinsy zmierzał w ich kierunku.

– Mateusz Iwanów – przedstawił się, ściskając ręce przybyłych we właściwej kolejności, czym zaskoczył Miziacza, który o zasadach etykiety raczej nigdy nie pamiętał.

– Masz to nagranie? – zapytał Dominik.

– Jasne – odparł wesoło Iwanów. – Zapraszam państwa do siebie. – Wskazał ręką ogromne biurko, na którym stały trzy monitory, każdy wielkości średniego telewizora.

Śledczy ruszyli we wskazanym kierunku, a Popielski wymówił się jakąś sprawą i wyszedł z pokoju. Iwanów ustawił przed biurkiem trzy dodatkowe krzesła i odwrócił jeden z monitorów w stronę gości.

– Puszczam państwu nagranie, proszę mówić, jeśli trzeba będzie zatrzymać albo powiększyć obraz.

Renata, Miziacz i Żabka wlepili wzrok w monitor, starając się zorientować w oglądanej sytuacji. Niestety nie było dźwięku, więc

przyzwyczajenie się zajęło im kilka sekund.

Przy kasie stało dwóch mężczyzn – jeden wysoki i raczej gruby, drugi szczupły i nieco niższy. Na taśmie znajdowały się dwie poduszki, koc, karton z kubkami, dozownik do mydła i silikonowe przybory kuchenne, na wózku zaś leżały kartony z elementami mebli. Na nagraniu nie dało się dostrzec, co znajduje się w pudłach, ale zgodnie z paragonem były to szafka na buty, regał i komoda. Grubszy mężczyzna zapłacił kartą, wpisał PIN, odebrał paragon i odszedł od kasy, pchając niewątpliwie ciężki wózek. Drugi podążał za nim, włożywszy ręce do kieszeni spodni dresowych. Obaj mieli na sobie dresy, przez co wyglądali, jakby właśnie zeszli z boiska piłkarskiego.

– Może nam pan to nagrać na jakiś nośnik? – poprosiła Renata, kiedy obserwowani mężczyźni zniknęli z kadru.

Iwanów skinął głową.

– Rozpoznali ich państwo? – zapytał, wkładając płytę do kieszeni w komputerze.

– Nigdy w życiu ich nie widziałam – odparła z ledwie wyczuwalnym wahaniem.

– Ani ja – dodał Żabka.

– To nikt z lokalsów – mruknął Miziacz. – Taki duet na pewno bym zapamiętał, od pierwszego kopa wyglądają na zakapiorów.

– Znalazł się Cesare Lombroso – szepnęła prokuratorka i przewróciła oczami.

Żabka zachichotał cicho, a podkomisarz skrzywił się lekko, bo nie miał pewności, czy został obrażony i czy powinien wiedzieć, kim jest ów Lombroso. Świtało mu, że chyba powinien.

Zapadła cisza zakłócana szumem wentylatorów, klikaniem w klawisze i dźwiękiem wydawanym przez obracającą się z dużą prędkością płytę CD. Po zapisaniu kilkunastu minut nagrania Iwanów włożył kompakt do pudełka i podał je Renacie.



– Gdyby mieli państwo jeszcze jakieś pytania albo potrzebowali przejrzeć nagrania z innych kamer, proszę dzwonić. – Podał kobiecie wizytówkę.

– Dziękuję, będziemy o tym pamiętać. – Uśmiechnęła się promiennie. – Miejmy nadzieję, że dane karty płatniczej wystarczą do ustalenia tożsamości tych panów.

Śledczy pożegnali się i opuścili pieczarę ochrony, w której panował męczący mikroklimat charakterystyczny dla pomieszczeń wypełnionych sprzętem komputerowym. Ruszyli na parking – Miziacz na czele, za nim Żabka, a Renata podążała na końcu, rozglądając się w poszukiwaniu kamer.

– Pojedziemy do banku, ale najpierw do komendy – zaordynowała Renata. – Damy tę płytę technikom, żeby spróbowali powiększyć i wyostrzyć obraz, może uda nam się znaleźć portrety biometryczne tych facetów.

Miziacz skinął głową, bo dokładnie o tym samym myślał. W dobie wszechobecności Wielkiego Brata zachowanie anonimowości graniczyło z cudem, z czego większość ludzi nie zdawała sobie sprawy.

W drodze do Świdnicy prokuratorka przyglądała się wydrukowi zawierającemu dane karty płatniczej i rozmyślała nad tym, czy ów trop jest na pewno właściwy. Intuicja podpowiadała jej, że znaleziony przez Katarzynę paragon stanowi kluczowy element, który popchnie wreszcie śledztwo we właściwym kierunku. Jeśli okaże się ślepym zaułkiem, znów zostaną z niczym. A raczej z Maksymilianem, który może już nigdy nie odzyskać tożsamości.

– Czy któryś z tych facetów to mógł być Maksymilian? – zapytała nagle.

– Żaden nie wyglądał – odparł sierżant, którego myśli podążały podobnym torem.

– Ten gruby był za gruby, a ten chudy za niski – stwierdził Miziacz.

– Nagranie jest sprzed niemal pięciu miesięcy, gruby mógł schudnąć od tego czasu... – zastanawiała się głośno Renata.

– Poza tym trudno ustalić wzrost chudego – poparł ją Żabka – jeśli nie mamy punktu odniesienia. Ile wzrostu miał Maksymilian?

– Metr osiemdziesiąt – odpowiedzieli równocześnie podkomisarz i pani prokurator.

Miziacz uchwycił w lusterku wzrok Renaty, w którym pojawiło się rozbawienie.

– No to gdyby chudy miał metr osiemdziesiąt, to gruby musiałby mieć dwa metry. Za to gdyby gruby miał być upasionym Maksymilianem, to chudy byłby wzrostu tej karłowatej restauratorki – dywagował sierżant, po czym nagle zorientował się, że palnął gafę. – O, przepraszam najmocniej, nie chciałem urazić pani ciotki.

– Nic nie szkodzi, ciocia Agata, odkąd ją znam, kompensuje sobie brak hojności natury wyjątkowo wysokimi szpilkami, więc w sumie wychodzi na standardowy wzrost kobiety – uspokoiła go kobieta. – No dobra, miejmy nadzieję, że karta okaże się przełomem, w przeciwnym wypadku... – Urwała, bo w jej torebce odezwał się telefon. Dzwoniła Agata Śródka, więc Renata odrzuciła połączenie.

Dalsza podróż upłynęła im w milczeniu. W tle plumkało radio, co rusz gubiące zasięg. Miziacz zatrzymał samochód na parkingu pod komendą, po czym Żabka wystrzelił jak z procy, ściskając pudełko z płytą w dłoni. Po dwóch minutach wrócił zziębnięty, jakby uciekał przed krwiożerczym mordercą, i z impetem wskoczył do środka.

– Gazu! – wydyszał. – Stary mnie przydybał i zaczął wypytywać o sprawę, musimy szybko zniknąć z jego światopoglądu.

– I co, tak po prostu dałeś drapakę? – zdziwił się podkomisarz, uruchamiając silnik.

– A co miałem zrobić? Rzuciłem mu jakąś wymówkę i w nogi.

Samochód płynnie włączył się do ruchu, a sierżant Żabka usilnie pracował nad uspokojeniem oddechu. Cieszył się przy okazji, że nie musiał zacytować swojej wymówki, bo głupio by mu było przy damie mówić, że go biegunka pognała do toalety...

## Rozdział XXXVI. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest spokój

Agata najbardziej lubiła pracować w pojedynkę. Kiedy nikt nie kręcił się po kuchni, nie gadał bez ustanku, nie syczał, nie przeklinał i nie zawracał jej głowy. Lubiała słyszeć swoje myśli przy akompaniamencie dyskretnych dźwięków wydawanych przez gotujące się potrawy.

Dwaj kucharze skończyli już pracę i zniknęli, Michel pałętał się wśród robotników, a ci nie zaglądali do kuchni. Ogarnął ją błogi spokój, który zwiastował pojawienie się tak pożądanego przez artystów efektu *flow*.

Na dwumetrowym kuchennym blacie wykonanym z granitu nie było ani centymetra wolnego miejsca – całą powierzchnię zajmowały pojemniczki z barwnikami, pastami, farbkami, pisakami, rolkami jadalnego złota i srebra. Stało tam również kilkadziesiąt słoików z cukrem barwionym, liofilizowanymi owocami, posypką w kształcie pereł, wielki słoik cukrowych konwalii, trzy puszki kleju jadalnego, lakiery i nabłyszczacze. Na sąsiednim blacie Śródka rozłożyła narzędzia – dłutka, pędzle, szydełka, pipetki, szablony, a nawet aerograf z kompresorem. Powiększone do rozmiaru plakatu zdjęcie jajka z konwaliami wisiało przyczepione do ściany na wysokości wzroku Agaty.

Jak każda artystka, Śródka przestrzegała rytuałów, które traktowała niemal z nabożnym szacunkiem – niemożność ich wdrożenia stanowiłaby zły omen, tak samo jak przejście pod rozstawioną drabiną czy stłuczenie lustra. Rytuał zaś zawsze zaczynał się tak samo.

– Kawa, czarna, mocna. Gotowe – powiedziała na głos, wyciągając filiżankę spod dyszy ekspresu. – Sok ze świeżo wyciśniętego grejpfruta. Robi się.

Wcisnęła guzik sokowirówki i z rozkoszą zasłuchała się w dźwięk, który normalnym ludziom kojarzy się w najlepszym razie z wiertarką udarową.

Trzecim elementem obrzędu było zazwyczaj ostrzenie noży, tym razem jednak nóż nie był potrzebny. Śródka wyjęła ze sterylnej opakowania skalpel i położyła go na blasze obok dwóch poówek wielkiego jaja z czekolady.

– *Bon* – stwierdziła z zadowoleniem. – Jesteś gotowa, Agato, możemy zaczynać czary.

Przyszło jej jeszcze do głowy, żeby zadzwonić do Renaty i zapytać o stan Katarzyny. Wybrała numer, jednak siostrzenica odrzuciła połączenie, więc Agata dała sobie spokój i przystąpiła do pracy.

Benedyktyńska robota, którą było odwzorowanie arcydzieła sztuki jubilerskiej, pochłoneła ją na wiele godzin. Pochylona nad blatem kobieta skrupulatnie nakładała kolejne warstwy zdobień, a jej skupienie przywodziło na myśl sztukę zegarmistrzowską. Nie zauważyła nawet, kiedy za oknem zapadł zmrok, a w pałacu nastąpiła całkowita cisza. Robotnicy pracujący w drugim skrzydle skończyli instalować oświetlenie, dzięki czemu parter spowijała ciepła pomarańczowa poświata.

Nieprzytomna ze zmęczenia, ledwo widząc na oczy czerwone od wyteżenia wzroku, schowała do lodówki jajo sklezione w zapierającą dech w piersiach całość i poczłapała do sypialni. Nie miała siły nawet się umyć. Padła jak długa na łóżko i natychmiast zasnęła.

Śniło jej się, że znów umiera ze stresu przed egzaminem końcowym w Le Cordon Bleu. Bała się tak bardzo, że uciekła przed komisją. Biegła co sił w nogach, aż dotarła do bezpiecznego miejsca, którym okazał się roztoczański zamek. Dla uspokojenia emocji spacerowała po ogrodzie i nagle jej wzrok padł na ogromny dół wykopany tuż pod oknami. Zbliżyła się do niego ostrożnie, zajrzała... W dole leżała Katarzyna ubrana w czarną bawelnianą sukienkę, z rękami bezładnie rozrzuconymi na boki, i otwartymi oczami wpatrywała się w Agatę. Na jej piersiach leżało różowe jajo ozdobione konwaliami.

Obudziła się nagle. Serce dudniło jej w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać. Pot spływał po brzuchu, a bawełniana koszulka przykleiła się do pleców. Za oknem było już jasno, ale słońce dopiero wschodziło. Zerknęła na wyświetlacz telefonu – osiem po szóstej.

Zwlekła się z łóżka, czując każdy mięsień, jakby się przetrenowała, i weszła do łazienki. Liczyła, że gorący prysznic zmyje ciężar ostatnich dni z jej wątlých barków. Kojące strugi wody były w jej skórę, uwalniając Agatę od strzępków koszmarnego snu. Dziesięć minut później Śródka nie pamiętała już ani o ucieczce z egzaminu, ani o Katarzynie patrzącej na nią martwym wzrokiem z głębi prowizorycznego grobu.

Włożyła elegancką czarną sukienkę, na nogi wsunęła szpilki w kolorze limonki i udała się prosto do pokoju zajmowanego przez Delfinę, spodziewając się zastać przyjaciółkę w słabej formie. Nie pomyliła się w zasadzie, najwyżej nie doszacowała skali zniszczeń.

– *Merde!* – krzyknęła od progu. – Wyglądasz jak trup!

– A czuję się jeszcze gorzej – wychrypiała pani Blanc, która faktycznie wyglądała, jakby życia w niej było tyle co kot napłakał.

– Biedna moja Delfinko! Zostań w łóżku, tu masz aspirynę. – Śródka wrzuciła musującą tabletkę do szklanki i zalała ją wodą mineralną. – Wypij duszkiem i z powrotem do łóżka, później przyniosę ci rosół.

– Tylko nie rosół! – zaproponowała Delfina z wyjątkową stanowczością. – Od rosółu tylko mnie zemdli.

– No to co ci pomoże?

– *Tripes de boeuf?* – zaproponowała nieśmiało skacowana kobieta. – Takie ostre, żeby mi wnętrzności wypaliło.

– Mogą być flaczki – zgodziła się Agata. – Nawet lepiej, chłopaki też zjedzą. No to ty sobie śpij, a ja idę sprawdzić, jak się sprawy mają, niedługo zjawi się telewizja. Lepiej, żeby cię w tym stanie nie widzieli – dodała na koniec. – Więcej sensacji dla brukowców nie potrzebujemy.

Zamknęła bezgłośnie drzwi i zeszła na dół, przyglądając się po drodze lampom, których nie zauważyła w nocy. Z uznaniem skonstatowała, że wewnątrz pałacu zaczęło nabierać jako takiego wyglądu. Na parterze zniknęły już folie, wszystkie kable zostały zakryte gustownymi listwami, a kinkiety przypominające świeczniki nadawały przestronnej sali przyjemny *entourage*.

– *Magnific!* – skomplementowała Agata pracę uwijających się jak w ukropie mężczyzn w białych ogrodniczkach. – Pięknie to panom idzie, jeszcze tylko kilka drobiazgów i możemy przyjmować gości.

– Dzięki, szefowo. – Mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna ukłonił się nisko.

W ręce trzymał zwinięty arkusz papieru, na którego widok w Agacie coś drgnęło.

– Co pan tam ma? – zapytała, patrząc zachłannie na niezbyt czysty rulon.

– To? Plany pałacu, żebyśmy wiedzieli, gdzie nie można wiercić.

Chociaż dusza od początku jej to podpowiadała, Agata poczuła, że robi jej się zimno. Jakie to szczęście, że wczoraj na tego faceta nie wpadła, a policjanci byli na tyle głupi, że nie przyszło im do głowy przepytac elektryków!

– Katarzyna to panu dała? – domyśliła się Śródka.

– No jasne! – zapewnił pośpiesznie majster. – Pani Caryca przekazała mi je na samym początku, inaczej moglibyśmy się pogubić w tych wszystkich schowkach i przejściach dla służby.

Agata zgrzytnęła zębami, słysząc przydomek, jakim jej przyjaciółkę obdarował złośliwy Michel, nic jednak nie powiedziała. Już i tak poszło w świat, więc nie ma sensu protestować i walczyć z wiatrakami. W końcu od biedy można uznać, że to nobilitacja – od kucharki do monarchini. Mogło być gorzej.

– Mogę rzucić okiem na te plany? – zapytała, ukrywając zżerającą ją ciekawość.

– Jasna sprawa, szefowo, pięciu minut potrzebuję. Kajtek skończy zawieszać żyrandol i przyniosę. Może tak być?

Oczywiście tak być mogło, Agata skinęła głową i poprosiła majstra, żeby szukał jej w kuchni. Stukając obcasami, przeszła przez jadalnię i otworzyła drzwi z tabliczką „Staff only”.

– Dobrze, że panów widzę. – Wyszczrzyła się na widok dwóch kucharzy, których miny wskazywały, że nie dzielą jej radości. – Niech panowie skoczą do sklepu i kupią flaki wołowe, obgotowane, bo czasu nie mamy.

– Rosół miał być – stęknął ten z poczuciem humoru.

– Ale nie będzie, flaki może pan przesolić według uznania, pieprzu też radzę nie żałować – odparła Śródka ze spokojem. Rozejrzała się po kuchni w obawie, że zostawiła po sobie straszny bałagan, jednak wszystko lśniło, jakby nikt tu nigdy nie wykonywał żadnej pracy artystycznej. – Kelner już jest?

– Jest, z panem Michelelem w ogrodzie – odpowiedział drugi kucharz, zdejmując fartuch.

– W ogrodzie to chyba powinien być ogrodnik. Ktoś go w ogóle widział? Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

– Utrapienie z tymi pracownikami – westchnęła Agata i wcisnęła guzik na ekspresie do kawy. – Panowie nie wiedzą, jak tego Edmunda odszukać? On chyba lokalny?

– Lokalny, a jakże – potwierdził amator rosołu. – Ale my nie wiemy, gdzie mieszka.

Agata przewróciła oczami, czując, że donikąd jej ta rozmowa nie prowadzi. Cieszyła się w duchu, że za kilka godzin na miejscu zjawi się jej ekipa i w końcu kuchnia zacznie przypominać kuchnię. Ci dwaj nadawaliby się w najlepszym razie do kuchni polowej.



Kiedy kucharze zniknęli na zapleczu, z którego było wyjście bezpośrednio na ogród, Agata przysiadła na wysokim stołku i sączyła aromatyczną kawę. Grube ściany doskonale izolowały dźwięki towarzyszące pracom remontowym, mogła więc jeszcze przez chwilę rozkoszować się ciszą, zanim w pałacu zjawi się telewizja, a wraz z nią uczestnicy konkursu i kucharze z poznańskiej restauracji należącej do Śródki. Spoglądała przez okno, podziwiając soczystą zieleń drzew, kiedy tuż przed jej oczami pojawiła się para męskich nóg – resztę zasłaniała rzymska roleta rozwinięta na uchylonym oknie – a po chwili nogi zyskały właściciela, którym mogła być tylko jedna osoba.

– Niech się pan husza, panie Sylwestrze, phaca sama się nie zhobi!

Agata westchnęła głośno i upiła kolejny łyk kawy. Skaranie boskie z tymi ludźmi. Po chwili drzwi od zaplecza uchyliły się i do kuchni wparował wściekły jak osa Michel Blanc, a za nim z miną niewiniątka wszedł śliczny jak z obrazka Sylwester Rójek.

– Dzień dobry, Michelu – zaszczebiotała Śródka, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wsadza kij w mrowisko. – A cóż to, znów nie w sosie?

– Chyba muchy w nosie – zakpił Rójek. – Pan Michel na wszystko narzeka i nic mu się nie podoba, uwierzy pani?

– Nie tylko uwierzę, ale nawet potwierdzę – zaśmiała się Agata. – Radziłabym się przyzwyczaić, a najlepiej ignorować.

– Wspaniała hada! – syknął Blanc. – Niczego lepszego się po tobie nie spodziewam, Agato! Następnym razem sama będziesz sprzątać po swoich nocnych imphezach, zobaczymy, czy wtedy też będziesz taka hahda!

– No już dobrze, Michelku, dobrze. Dziękuję, że posprzątałeś, rzeczywiście skończyłam późno w nocy i nie miałam siły ręką ruszyć.

Odrobinę udobruchany Michel łypnął na nią wzrokiem nieco mniej pogardliwym niż wcześniej, jednak wciąż się boczył.

– Powiedz, mój skarbenku, co się stało. Ciocia Agata postara się załagodzić problem.

Rójek usiadł na krześle i z uśmiechem przyglądał się tej ożywionej dyskusji. Najbardziej cieszyło go, że tym razem złość Blanca skupiła się na kimś innym.

– Co się stało? Co się stało?! Katastrofa się stała! – Nerwy puściły Michelowi całkowicie. – Jewgienij posadził behbehysy, ale nie tam, gdzie powinien, i znowu trzeba będzie je przesadzać! Cholehny oghodnik się nie zjawił, moja matka leży w łóżku z kacem, a jedyny kelner jest imbecylem! – Zadyszał się okrutnie od tego wrzasku i sapał jak lokomotywa parowa. Nie był to jednak koniec wypowiedzi. – W dodatku po pałacu ghasuje mohdehca, a ja mam dosyć thupów na całe życie! I nie rozumie, jak ty możesz ze spokojem pić kawę w tych okolicznościach – rzucił, taksując Agatę spojrzeniem pełnym wzgardy.

Śródka przyglądała mu się w milczeniu, mrużąc zielone oczy. W zasadzie sama się dziwiła swojemu spokojowi, choć zbyt wiele starała się o tym nie myśleć. Być może właśnie na tym polegał jej sekret – zastosowała klasyczny mechanizm wyparcia, który już raz okazał się skuteczny.

– Masz rację, Michelu – odezwała się po chwili. – Sytuacja jest niestandardowa i daleka od komfortowej. Nie oznacza to jednak, że powinniśmy wpadać w panikę. Na niektóre rzeczy nie mamy wpływu, więc należy je zaakceptować. Na przykład pan Rójek nie przestanie być imbecylem tylko dlatego, że ty się złościś. Twoja mama nie przestanie mieć kaca, choćbyś stanął tu na rżęsach. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest spokój.

Rójek albo nie dosłyszał, albo zupełnie się nie zorientował, że jest obrażany, bowiem z tym samym co wcześniej uśmiechem zadowolenia gryzł jabłko, majtając nogami. Myślni był już zupełnie gdzie indziej, a raczej nieco później, kiedy po zrealizowaniu planu będzie mógł się pławić w pochwałach szefa.

Michel tępo wpatrywał się w ścianę, trawiąc słowa restauratorki. W odróżnieniu od Rójka on nie był imbecylem i w głębi duszy zgadzał się

z tym, co powiedziała Agata, jednak narastające poczucie bezsilności mocno dawało mu się we znaki.

– *Je vous en prie*<sup>7</sup> – odpowiedział tylko, co niewątpliwie miało się odnosić do podziękowania za posprzątanie kuchni, po czym opuścił ją drzwiami prowadzącymi do jadalni.

Agata uśmiechnęła się pod nosem, dopiła kawę i zajęła się rozpisywaniem menu, które obmyśliła na przyjęcie. Musiała jeszcze wysłać kogoś na zakupy, a na razie jedynym kandydatem był Michel, ale w obecnym stanie prędzej gotów był ją zakopać w ogrodzie.

– Przejdzie mu za chwilę – powiedziała ni to do siebie, ni do Rójka. – To dobry chłopak, tylko trochę nerwowy. A pan co mu zrobił?

– Nic mu nie zrobiłem, jak bum-cyk-cyk – zapewnił kelner. – Jak tylko się zjawiłem, to już był naburmuszony, straszny syf musiała pani w tej kuchni zostawić.

Agata nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi się otwały i wszedł majster z planami w ręce.

– Proszę, szefowo, nam już nie będą potrzebne, przynajmniej do czasu roboty na drugim piętrze – oznajmił z uśmiechem.

– Świetnie, wielkie dzięki. Jak panowie skończą, to proszę zanieść wasze sprzęty na górę, żeby telewizja mogła się tu rozstawić – poinstruowała Śródka.

Majster skinął głową i wyszedł z kuchni, a zaciekawiony Rójek zapytał:

– Co tam pani ma?

– Plany pałacu.

– Mogę zobaczyć? – W głosie chłopaka zabrzmiała jakaś dziwna nuta, która sprawiła, że Agata poczuła się nieswojo.

– Może później, panie Sylwestrze, teraz chcę, żeby zajął się pan rozstawianiem stołów w jadalni, trzeba krzesła odświeżyć i przygotować salę na przyjęcie gości. Proszę też znaleźć dobre miejsce do wyeksponowania gabloty z naszym *spécialité de la maison*.

Rójek zaklął w duchu, bo pojawienie się planów pałacu mogło nieco skomplikować działania, które obmyślił, jednakże nie mógł się sprzeciwić poleceniu pracodawczyni. Przy okazji dostał wolną rękę w sprawie ekspozycji, co mogło się okazać wyjątkowo pomocne. Wyrzucił ogryzek, wytarł ręce w spodnie i ruszył do jadalni.

Dokładnie w chwili, w której drzwi za chłopakiem się zamknęły, pod oknem pałacu zaparkował wóz należący do ekipy telewizyjnej.

– Przedstawienie czas zacząć – mruknęła Agata, po czym duszkiem wypila resztkę kawy, poprawiła grzywkę, która odrobinę jej się rozczochrała, i wyszła przywitać gości.

## Rozdział XXXVII. Nie znamy się, nigdy się nie widzieliśmy i w ogóle to kto pan jesteś?

Skoro świt, a nawet nieco wcześniej, Mikołaj Kunicki zwołał obrady Prostokątnej Ławy, w której skład weszły trzy osoby płci męskiej, jedna ława kształtu prostokątnego, jedna wersalka i jeden mocno sfatygowany fotel.

Tym razem Bidul wstał przed szefem, głównie z powodu podniesionego poziomu adrenaliny, ale też trochę ze strachu, żeby Kunicki znów nie dostał ataku wściekłości. Już raz musiał się przed schorowaną matką wytłumaczyć z zachowania gościa, kolejnego wołał uniknąć. Ubrał się w trymiga, wstawił wodę, zaparzył kawę w dzbanku, przezornie nabywszy ją poprzedniego dnia w drodze powrotnej z zamku, i czekał, aż pozostali dwaj łaskawie wstaną.

Wąty łaskawie wstał kwadrans później, Kunicki potrzebował jeszcze dziesięciu minut. Żaden z nich nie był rannym ptaszkiem, toteż humory mieli nieszczególne. Gdyby nie przezorność Bidula, z pewnością dzień zaczęłyby się od awantury, jednak zapach kawy wyraźnie złagodził nastrój Mikołaja.

– A cóż to za święto lasu, Bidul? – zapytał trochę zaczepnie, ale bardziej z zadowoleniem.

– Pomyślałem, że szefowi przyjemnie będzie napić się dobrej kawy o poranku. – Anielsko urodziwy młodzieniec wyszczerzył się szeroko, ukazując niezwykle zadbane uzębienie.

– No proszę, proszę, jaki troskliwy! Widzisz, Wąty, tak się dba o szefa!

– Mówi szef tak, jakbym nigdy o niego nie dbał – zachnął się Wąty i naprawdę zrobiło mu się przykro.

– Oj, nie dąsaj się już, chłopaku, taki żarcik – droczył się Kunicki.

– Wcale nie śmieszny... – marudził grubasek. – Ja bym dla szefa wszystko, nawet życie bym oddał, a szef takie rzeczy...

– A ja to niby nie? – zjeżył się Bidul, który koniecznie chciał tego dnia zasłużyć na tytuł ulubieńca bossa.

– Ty jesteś wazelina i już się lepiej nie odzywaj – warknął Wąty, czym zaskoczył obu mężczyzn.

Daniel Liszka z natury był bowiem niespotykanie spokojny i rzadko podnosił głos. Działalność przestępcza nie sprawiała mu przyjemności, nie był sadystą, zwyczajnie taką profesję wybrał – w końcu żadna praca nie hańbi.

– Ekhm... – Kunicki odchrząknął, bo nie bardzo wiedział, jak inaczej mógłby zareagować. Żarliwe wyznanie Wątego wzruszyło go trochę, ale za nic w świecie nie mógł się do tego przyznać. – Dobra, panowie, napijmy się kawy i ustalmy plan. Bidul zaraz musi zjawić się w robocie, tak czy nie?

Chłopak o buzi cherubina pokiwał głową, wołał się jednak nie odzywać zgodnie z rozkazem Wątego. Napił się kawy, której właściwie nie lubił, ale czekał go długi i intensywny dzień, a na innego rodzaju używki Kunicki nie pozwalał. Skrzywił się lekko, po czym wsypał do kubka jeszcze jedną łyżeczkę cukru. Jeśli dobrze policzył – piątą. Zamieszał energicznie, dzwoniąc łyżeczką o ścianki naczynia, za co spotkało go piorunujące spojrzenie szefa, który tego dźwięku nie znosił. Wąty doskonale o tym wiedział, posłał więc Bidulowi złośliwy uśmiech.

– Bidul zaczyna pracę zgodnie z planem – zaczął referować ustalenia Mikołaj. – My przyjeżdżamy później i pytamy o pracę. Co znowu?! – warknął na widok unoszącej się w górę ręki młodzieńca.

– Pomyślałem sobie, szefie, że może lepiej będzie, jeśli nie przyjdziecie razem – wyjaśnił chłopak tonem odrobinę niepewnym.

– Rozwiń – polecił Mikołaj, zmarszczywszy brwi. Lwia zmarszczka zaczynała być mocno widoczna.

– No bo niech szef pomyśli: jeśli przyjdziecie razem, a potem dmuchniemy jajo, to będą was ze sobą łączyć.

– Coś w tym jest, szefie – stwierdził Wąty w zamyśleniu. – Nikt nas nie zna, więc skąd mogą wiedzieć, że my się znamy? Poza tym, jeśli będzie trzech podejrzanych, których nikt ze sobą nie powiąże, to o wiele łatwiej wywiedziemy policję w pole.

– Racja, dobry pomysł, Bidul – pochwalił rozpromienionego chłopaka Mikołaj. – Czyli żaden z nas nie przyznaje się do znajomości z żadnym, pierwszy raz się na oczy widzimy?

– Tak jest – potwierdził aniołek. – I najlepiej będzie, jak każdy wymyśli sobie legendę.

– Wstawaj, Wąty! – Kunicki klasnął w dłonie i stanął na baczność. – Jedziemy do sklepu, musimy kupić farbę do włosów i jakieś szmaty.

Grubasek uniósł brwi w wyrazie uprzejmego zdumienia. Jego łysa głowa stanowczo nie wymagała użycia farby, a szmaty miał przecież całkiem przyzwoite, co Mikołaj zweryfikował organoleptycznie przed wyjazdem.

– No co się gapisz jak sroka w gnat? – parskał były mafioso. – Ja już legendę mam, fryzurę zmienię, włos przyczernię i będzie postać jak ta lala. Ty na tę swoją łysą głacę nic nie poradzisz, ale ubrać się musisz jakoś bardziej odpowiednio.

Chcąc nie chcąc, Wąty musiał wykonać polecenie, choć robił to z wielkim oporem. Miał tylko nadzieję, że Kunicki nie kaze mu nosić peruki, bo tego z pewnością by nie zdzierzył. Wyłysiał bardzo wcześnie i w zasadzie był z tego dumny, a przy okazji całkiem sporo oszczędzał na fryzjerze. No i ogolona na zero głowa dodawała mu co najmniej sto punktów do imidżu, który mozolnie budował od dekady. Co prawda nawrócenie Mikołaja pokrzyżowało mu szyki, ale tak czy owak ludzie czuli przed nim respekt i żaden kiepściak nigdy go nie zaczepiał. Spodnie w kant jakoś przełknie, ale o peruce mowy nie ma! Za Chiny Ludowe!

Zbliżało się wpół do szóstej. Bidul włożył świeżą koszulę i z zadowoleniem obejrzał się w lustrze.

– Pamiętajcie: ani mru-mru. Nie znamy się, nigdy się nie widzieliśmy i w ogóle to kto pan jesteście? – rzucił na odchodne.

Zrezygnowany Wątki pokiwał głową, a Kunicki oczami wyobraźni widział już swoją nową rolę, więc kontakt z nim był utrudniony.

Trzy kwadransy później rozanielony Mikołaj i stanowczo mniej zadowolony Wątki wyruszyli na zakupy. Gdyby Wątki był na miejscu Bidula i musiał znosić humory Michela Blanca, z pewnością inaczej spojrzaliby na swoją sytuację. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.



## Rozdział XXXVIII. To już człowiek nie może się nazywać Maxymilian Gruschka?

Menedżer placówki bankowej przeczytał z uwagą treść nakazu prokuratorskiego i widać było, że aż go skręca, żeby wypytać śledczych o szczegóły sprawy. Numerki paragrafów i artykułów wskazane w piśmie mówiły mu tyle co przeciętnemu zjadaczowi chleba, a sprawdzić ich obecnie nie miał jak. Dyskutować na wszelki wypadek też nie zamierzał, bo legitymacje trojga funkcjonariuszy wyglądały autentycznie, dokładnie tak samo jak w jego ulubionych serialach.

– Niech państwo usiądą, to może chwilę zająć – poprosił, wskazując gościom trzy krzesła stojące wokół okrągłego stolika.

Miziacz i Żabka przyjęli zaproszenie z zapałem, Renata wolała postać. Mogła przy okazji obserwować widok za oknem, co działało na nią kojąco.

Mężczyzna wstukał ciąg cyfr do komputera i uśmiechnął się do prokuratorce przymilnie. Nie odwzajemniła uśmiechu, czuła się już zmęczona i chciała jak najszybciej wrócić do swojego biura, bo sprawa Maksymiliana coraz bardziej ją niepokoiła. Tym bardziej że zamach na Katarzynę Jakimiuk nie wydawał jej się dziełem przypadku. W przypadki w sprawach karnych przestała wierzyć już dawno.

– Tak, wszystko się zgadza – odezwał się głosem pełnym entuzjazmu pracownik banku. – Kartę wydano w pierwszym oddziale naszego banku, we Wrocławiu. Za moment wydrukuję państwu dane właściciela.

Renata poczuła przyływ adrenaliny. Nareszcie! Nareszcie coś się ruszy.

Drukarka wielkości szafy pancерnej wypluła kartkę, którą pracownik banku chwycił dwoma palcami i wręczył Renacie.

– Coś nie tak? – zapytał na widok miny prokuratorce, która zbladła nagle i wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Pani prokurator, co się stało? – zmartwił się Żabka. – Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

– Bo trochę tak jest... – Kobieta podała kartkę Miziaczowi i wlepiała w niego wzrok.

– Ale jaja! – parsknął podkomisarz, po czym ryknął gromkim śmiechem.

– Co za jaja, poka... – Żabka wytrzeszczył oczy. – O w mordę!

Menedżer placówki bankowej wpatrywał się w troje przybyszów z mieszaniną zdumienia i podejrzliwości. Może to jednak jacyś kuglarze, przecież policjanci, a już na pewno prokurator, nie powinni zastygać na widok imienia i nazwiska człowieka. No i co tak bawi tego opalonego gogusia? Rzy jak kobyła na wiosennej łące.

– Dziękujemy panu za pomoc – powiedziała Renata, kiedy pierwszy szok minął. – Zbierajcie się, panowie, musimy jechać do komendy.

Wciąż rechoczący Miziacz oraz Żabka z wytrzeszczem ruszyli przodem, Renata wyszła na końcu odprowadzana spojrzeniem pracownika banku.

– Co ich tak rozbawiło? – zapytał sam siebie na głos. Wrócił za biurko i ponownie spojrzął na ekran monitora. – To już człowiek nie może się nazywać Maxymilian Gruschka?

## Rozdział XXXIX. Twoja przyjaciółka zadaje się z mafią

Ekipa telewizyjna od razu poczuła się jak u siebie i natychmiast przystąpiła do rozkładania sprzętu. W miejscu wyniesionych drabin stały więc lampy, stelaże i ogromna tekturowa makieta, a sterta przeróżnych materiałów promocyjnych rosła pod jedyną ścianą bez okna. Specjaliści od dźwięku zachwycali się idealną akustyką wysokiego wnętrza, a szefowa planu fotografowała każdy milimetr odnowionego pomieszczenia.

– Fiu, fiu! Ale nam się trafiła gratka, co, chłopaki? – szczebiotała, błyskając lampą w telefonie.

– Zupełnie nie ma za co. – Przy akompaniamencie regularnego stukania obcasów zbliżała się do nich Agata Śródka.

– Ach, pani Agato, dzień dobry! – ucieszyła się szefowa planu. – Sylwia Kubacka, ogromnie miło mi poznać panią osobiście.

– Doskonale, doskonale – odparła restauratorka znudzonym tonem. W całym tym celebryckim światku najbardziej nie lubiła wazeliniarstwa i obłudy, a tę czuć było w promieniu kilometra od pałacu. – Niech państwo zostawią sprzęty, tu nic nie ginie. Zapraszam panią na kawę. Mamy kilka spraw do omówienia, a czasu niewiele.

– A co to za taśmy policyjne? – zapytał młody chłopak w czapce bejsbolowej.

– Nic takiego – odrzekła Agata. – Dziś na pewno znikną, proszę się tym nie przejmować.

Ruszyła w kierunku jadalni, ale na widok Rójka rozstawiającego krzesła zrezygnowała z posadzenia dziennikarki na fotelu i zaprosiła ją do kuchni.

– Niech pani siada, pani Sylwio, jaką kawę pani pije?

– Trzy czwarte mleka i reszta kawy – uśmiechnęła się przymilnie kobieta.

„Zgroza – pomyślała Agata. – Udawana kawa, udawana życzliwość, już jej nie lubię”.

– Przejdźmy od razu do rzeczy – zdecydowała, kiedy do wypełnionego mlekiem kubka sączyła się kawa z ekspresu. – Pani Jakimiuk nie będzie mogła jurorować w konkursie, ponieważ jest niedysponowana, a tak się składa, że jest z nami specjalistka od sztuki użytkowej, która w dodatku doskonale zna się na wyrobach Fabergé. Proszę więc włączyć do jury panią Delfinę Blanc.

Dziennikarka skinęła głową i zapisała coś na swoim wielkim iPadzie.

– Rozumiem, że trzeciego jurora państwo zorganizowali? – chciała wiedzieć Agata.

– Tak, tak, proszę się o to nie martwić. Niedługo powinien się zjawić – zapewniła Sylwia Kubacka z tym samym nieszczerym uśmiechem.

– A mogę zapytać, kto jest owym trzecim jurorem? – Agata zmrużyła oczy, bo mina dziennikarki bardzo jej się nie podobała.

– Oczywiście, że pani może. – Kubacka zaśmiała się głośno, a w tym śmiechu słychać było nutę złośliwości. – Pan Alan Szpila zgodził się wystąpić w roli głównego jurora.

Agata Śródka poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Chwyciła się blatu i tylko to uchroniło ją przed upadkiem. Alan Szpila, złośliwa, narcystyczna, przekonana o swojej nieomyślności mendowata karykatura krytyka kulinarnego. W życiu żadnej potrawy nie przygotował, ale na wszystkich znał się najlepiej na świecie. Jedyna osoba, która miała czelność zarzucić Agacie Śródce brak talentu. Brak talentu! Trzy gwiazdki Michelina, a ta poczwara, ta pseudogwiazda blogosfery śmie wytykać jej błędy. I to publicznie!

– Wszystko w porządku? – Szefowa planu udała zmartwioną. – Zbladła pani...

– Nie, nie, w porządku, zmęczona nieco jestem. – Agata za żadne skarby nie mogła pokazać kobiecie, jak mocno ubodła ją ta informacja. Przełknęła

żółć, która szukała ujścia wszystkimi otworami w ciele kompaktowej restauratorki, po czym z godnością dodała: – *Pardon*, pani Sylwio, najwyraźniej coś źle zrozumiałam, wydawało mi się, że powiedziała pani, że pan Szpila ma być głównym jurorem?

– Zgadza się, dobrze pani rozumiała. Od początku chcieliśmy, żeby przewodniczącym jury była gwiazda.

Tym razem szpila – *nomen omen* – została wbita celowo i żadna siła nie mogła temu zaprzeczyć. Agata Śródka żyła na tym świecie wystarczająco długo, żeby rozpoznać nieczyste gierki. Przede wszystkim jednak ona także potrafiła grać nieczysto, zwłaszcza gdy wymagały tego okoliczności.

„Chcecie wojny, będziecie mieli wojnę”, pomyślała. Na głos zaś powiedziała, sięgając po najśłodszy ze słodkich tonów:

– Ależ oczywiście, to rozumiałe, w końcu nie ma nic ważniejszego niż zasięgi. Pan Alan to doskonały wybór! Pani mleko z kawą, *bon appétit*.

– Cieszę się, że pani to rozumie i nie chowa urazy – szczebiotła dziennikarka, zanurzając kłamliwy dzióbek w piance z mleka.

„A udław się swoimi urazami, mam nadzieję, że dostaniesz sraczki i utkniesz w toi toiu”.

– No skądże! – zapewniła Agata przez zaciśnięte zęby.

Wyglądała, jakby dostała szczękoscisku dokładnie w chwili, w której postanowiła szeroko się uśmiechnąć.

Ku uldze obu kobiet konwersację przerwało przybycie kolejnego samochodu – tym razem w pałacu zjawili się uczestnicy konkursu. Sylwia Kubacka wypła mleko z kawą jednym haustem i pobiegła ich przywitać.

Wściekłość buzowała w żyłach Agaty. Gdyby restauratorka była gejzerem, to chlupałaby aż miło. Gdyby zaś była wulkanem, to pałac w Roztoce podzieliłby losy Pompejów. Zajęła myśli fantazjowaniem na temat bolesnych rodzajów śmierci, jakie chciałyby sprowadzić na tego podleca Szpile, a zaraz potem na tego wrednego dziennikarskiego babona,

kiedy z uroczych wizji wyrwał ją dźwięk telefonu. Odebrała i włączyła tryb głośnomówiący.

– Renatka? A co ty tak skoro świt?

– Ciociu, jak dobrze, że już nie śpisz. – Prokuratorka niemal krzyczała. – Nie pałętaj się teraz nigdzie, najlepiej zamknij się w kuchni, nikogo nie wpuszczaj, a ja podjadę od zaplecza i zapukam trzy razy, żebyś wiedziała, że to ja.

– Ale co się stało?

– Wszystko ci opowiem, jak przyjadę. Pamiętaj, nikogo nie wpuszczaj, a szczególnie policji!

Połączenie zostało zakończone i Agata patrzyła na telefon z rozdziawioną paszczą. Dlaczego nikogo ma nie wpuszczać? A szczególnie policji? Czyżby urodziwy łamacz niewieścich serc zaszedł Renacie za skórę o jeden raz za dużo? Zaraz, zaraz... Skoro ma nie wpuszczać, to znaczy, że oni mogą tu przyjechać.

– O jasna Anielka! – wykrzyknęła i grzmotnęła pięścią w blat. – Tylko tego mi teraz brakuje, żeby przebrzydła gwiazda blogosfery wyniuchała aferę kryminalną. Dopiero będzie miał używanie, skunks jeden sytuacyjny!

Rozsierdzona do granic możliwości postanowiła wykonać polecenie siostrzenicy, ruszyła więc do drzwi, żeby je zamknąć. I dokładnie w tej chwili ktoś szarpnął za klamkę z drugiej strony.

– Czego?! – warknęła. Nawet gdyby za drzwiami stał następca brytyjskiego tronu, i tak by go nie wpuściła.

– Pani szefowo, jakiś człowiek tu na panią czeka. – Głos Rójka ledwo przebijał się przez grube drzwi.

– Bardzo dobrze, niech czeka – odkrzyknęła Śródka zupełnie niezainteresowana człowiekiem.

– Ale on mówi, że to ważne – stękał kelner.

– Jakby to było ważne, to chybabym coś o tym wiedziała. – Agata uznała temat za zakończony i przekręciła klucz w zamku.

Rójek nic więcej już nie mówił, czyli musiał się poddać, co jednoznacznie świadczyło o tym, że interes człowieka nie mógł być aż tak ważny. W razie czego zawsze jest Michel, więc świat się nie zawali.

Przysunęła sobie stołek do blatu, z którego w tajemniczych okolicznościach między środkiem nocy a świtem zniknęły cukiernicze ponderabilia, podstawiła kubek pod dyszę ekspresu i wsłuchiwała się w dźwięk młynka mielącego ziarna kawy. Odgłosy te relaksowały ją i napełniały pozytywną energią. Z radością pomyślała, że do przyjazdu hałaśliwych kucharzy pozostawało jeszcze kilka godzin. Kilka godzin błęgiego spokoju i niezmaconej niczym...

– Chodź szybko, tu jest drugie wejście! – rozległ się męski głos za oknem, a po chwili dwie pary męskich nóg przemaszerowały w kierunku tylnego wejścia.

– O, nie ze mną te numery, cwaniaki! – Śródka zerwała się ze stołka i pognąła na zaplecze, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Na szczęście były.

Ktoś szarpnął za klamkę i zaklął soczyście. Dwaj osobnicy rozmawiali przez chwilę, ale słów nie dało się rozróżnić. Zadowolona z siebie Śródka wróciła na stołek i w spokoju sączyła mocną kawę, oczywiście bez mleka.

Trzykrotne pukanie wytrąciło ją z rozmyślań, gdy dryfowała gdzieś między Paryżem a Prowansją, pochrupując świeże *baguettes* z masłem czosnkowym w otoczeniu pól lawendy. Otrząsnęła się, poprawiła grzywkę i podeszła do tylnego wejścia.

– *Qui est là?* – zapytała drzwi.

– *C'est moi, ma tante* – odpowiedziały jej drzwi głosem Renaty.

– Chwała Bogu, już myślałam, że znowu będą mi się tu pchali! – Agata otworzyła drzwi i wpuściła siostrzenicę.

– Kto się pchał?

– Ludzie!

- Zwierząt się nie spodziewam – stwierdziła całkiem przytomnie Renata.
- Jacy ludzie? I co to za wozy stoją na parkingu?
  - Telewizja przyjechała, rozstawiają plan w zachodnim skrzydle. – Agata machnęła głową w kierunku drzwi prowadzących do jadalni.
  - Pani Delfiny nie ma? – Prokuratorka rozejrzała się po przestronnej kuchni, jakby matka Michela miała umiejętność stapania się z tłem.
  - Nie ma, chora – zbyła ją ciotka. – Napijesz się kawy?
  - Poproszę! Potrójnej albo i poczwórnej, całą noc nie spałam i ledwo się trzymam w pionie.
  - O masz, jak to nie spałaś? Tylko mi nie mów, że przez tego gamonia z klata jak gladiator!
  - Nie, no coś ty! – Renata oblała się pąsem. – Ślęczałam nad tymi waszymi zaginionymi, a przy okazji sprawdziłam wszystkich zamieszanych w tę sprawę po kolei.
  - Jak to: wszystkich? – zdziwiła się Agata. – To ilu ich jest?
  - Wygląda na to, że co najmniej jedenaścioro: Maxymilian, ten cały Markowski, Jakimiuk, jej byli mężowie, Wasiljew i jeszcze dwie osoby, których tożsamości nie udało nam się ustalić.
- Agata wcisnęła guzik ekspresu i przy dźwięku młynka trawiła usłyszane słowa.
  - Czyli z Maksymilianem trzy? – zapytała, mając na myśli osoby bez tożsamości, kiedy ekspres przestał wydawać infradźwięki.
  - Nie, dwie.
  - Czyli jedna i Maksymilian?
  - Nie, dwie osoby niebędące Maksymilianem.
  - A Maksymilian kim jest? – zirytowała się Śródka, bo już jej się zaczęły osoby mieszać.
  - Maksymilian jest Maxymilianem, którym był od samego początku.
  - Czyli nie ma tożsamości, czyli osób jest trzy?



– Nie, ciociu, Maxymilian ma tożsamość, a dwie osoby jej wciąż nie mają.

– Nie wiem, Renatko, która z nas bredzi, ale któraś na pewno. Napij się porządnej kawy i może zaczniesz gadać z większym sensem.

Renata była zbyt zmęczona, żeby wchodzić z ciotką w słowne utarczki, a kawy potrzebowała bardziej niż ryba wody. Z rozkoszą poczuła, jak aromatyczny płyn drażni kubki smakowe, a z każdym łykiem budzi się w niej energia.

Agata oparła łokcie na blacie, ujęła brodę w dłonie i przyglądała się swojej pięknej siostrzenicy. Nieistotne, że ciotecznej – krew to krew, a w życiu nic nie jest ważniejsze niż rodzina. Chyba że ma się okropną rodzinę, to wtedy można się wyprzeć, ale akurat ona rodzinę ma, że mucha nie siada.

– Lepiej ci, dziecinko? – zapytała z iście matczyną czułością, odnotowując w pamięci, żeby koniecznie zadzwonić do swoich dzieci.

– Zdecydowanie lepiej – westchnęła z ulgą Renata. – Tego mi właśnie było trzeba.

– *Excellement!* – Śródka wyjęła z dłoni siostrzenicy kubek i odstawiła go na bok. – To teraz mów, byle z sensem, o co chodzi w tym burdelu, bo ja już nie wiem, kto jest kim.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię, ale najpierw muszę zadać ci pytanie.

– Wal, dziecko, jak z armaty i jedziemy dalej po trupach. *Pardon*, niefortunnie wyszło...

– Wiedziałaś, że twoja przyjaciółka zadaje się z mafią?

Wielu rzeczy Agata się spodziewała, kilka z pewnością mogło ją zaskoczyć, natomiast na to przygotowana nie była zupełnie. O tym, że została trafiona prosto w splot słoneczny, świadczyły nienaturalna częstotliwość mrugania i otwarte usta restauratorki.

Słów, które wypowiedziała po ustąpieniu szoku, przytaczać nie ma sensu, nie mieszczą się one bowiem w słownikach ludzi kulturalnych.

## Rozdział XL. Jeszcze więcej chaosu

Pierwszy w pałacu zjawił się Wąty. Przez całą drogę obmyślał legendę i pod koniec marszu gotów był uwierzyć w istnienie osoby, za którą zamierzał się podawać.

– Dzień dobry! – ryknął gromko na środku hallu, żeby przypadkiem nikt nie przegapił jego przybycia. – Słyszałem, że szukacie kelnerów!

Pracujący nad przygotowaniem planu pracownicy telewizji spojrzeli z zaciekawieniem na rosnącego grubasa od stóp do głów ubranego na czarno, przez co kojarzył się z pracownikiem zakładu pogrzebowego. Wydatny brzuch i kilkudziesięciokilogramowa nadwaga sprawiały, że łatwiej było go sobie wyobrazić w roli kucharza niż eleganckiego kelnera, którego głównym zadaniem było bycie niewidocznym.

– Dzień dobry. – Sylwester Rójek przyjął na siebie obowiązek powitania przybysza. – Pan jest z kimś umówiony?

– Nie jestem, kolega tylko mówił, że właściciele szukają kelnerów, a ja aktualnie jestem bezrobotny, to się zgłaszam – ryczał Wąty.

– Pójdzie pan za mną do szefowej. – Rójek wykonał zapraszający gest i ruszył przodem.

Odziany w czerń mężczyzna poszedł za nim, a po drodze rozglądał się z ciekawością. Nie mógł uwierzyć, że znajduje się w tym samym miejscu, w którym kilka miesięcy temu mieszkały wyłącznie szczury, ptaki i pająki.

– Ładnie tu – stwierdził z podziwem. – Pałac jak się patrzy.

– Mhm – mruknął Rójek, po czym dodał głośniejszym głosem: – Niech pan tu zaczeka, zapowiem pana u szefowej.

Okazało się jednak, że zapowiedź nie wyszła, bo szefowa zaryglowała się od środka i nie chciała otworzyć drzwi. Skonsternowany Rójek nie poddał się jednak i polecił przybyłemu zachować milczenie.

– Idziemy! – szepnął rozkazującym tonem, po czym ruszył do drzwi frontowych. Po wyjściu na zewnątrz zatrzymał się i poinformował zdumionego grubaska: – Za mną, tylko cicho!

Skreślili w prawo i podążali bezgłośnie, ostrożnie lawirując między gęsto posadzonymi krzakami berberysu.

– Chodź szybko, tu jest drugie wejście! – ponaglał sapiącego mężczyznę Rójek. Mijali właśnie zasłonięte okno kuchni.

Niestety tu także spotkało ich rozczarowanie, gdyż drzwi okazały się zamknięte. Nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, Rójek zarządził powrót do pałacu. Zrobił to w doskonałym momencie, ponieważ Michel Blanc właśnie wyłonił się zza żywopłotu.

– A ten to kto? – zapytał bez zbędnych ceregieli na widok grubego i mało urodziwego mężczyzny.

– Dzień dobry, Daniel Wąty – przedstawił się przybyły, mocno potrząsając wypielegnowaną dłonią Blanca.

– A to ci dopiero ihonia losu – odpowiedział pół-Francuz, otaksowawszy mężczyznę krytycznym spojrzeniem.

Rójek parsknął cicho na widok zdumionej miny Wątego, który zupełnie nie zrozumiał przytyku.

– A pan z czego hehocze jak hopucha w sadzawce? – fuknął Michel. – Skończył pan hozstawiać krzesła?

– Nie skończyłem, bo zjawił się ten pan i chciałem go zaprezentować szefowej.

– A co tu phezentować? Żaden z tego pana model. W jakiej pan sphawie?

– Do pracy – wydukał Wąty z urażoną miną, bo tym razem zrozumiał doskonale.

– W chahakterze?

– Kelnera – wyszeptał całkiem już złamany chłopak.

Jego wizja przedstawienia światu Daniela Wątego nagle zaczęła się rozpadać.

– Mahne szanse – stwierdził Michel. Ruszył do środka, ale po chwili zatrzymał się i spojrzał na zdumione twarze Rójka i Wątlęgo. – Pana to bym phędzej widział gdzieś w kotłowni, ale na bezhybiu i hak hyba, więc niech się pan zabieha do hoboty.

Bezbrzeźnie uszczęśliwiony Wątlęgi niemal podskoczył, a jego nalana twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Rójek szturchnął kumpla lekko, przywołując go do pionu.

– Niech się pan tak durnowato nie szczyrzy, robota czeka – pouczył grubaska.

– Ty, a może my się już zakolegujemy, żebyś nie musiał do mnie na „pan” mówić? – szepnął Wątlęgi, gdy Michel zniknął w pałacu.

– A ty nie mogłeś sobie nazwiska bardziej pospolitego wymyślić? Kto normalny się nazywa Wątlęgi?!

– Odwał się, Bidul – zachnął się Daniel Liszka. – Bo Rójek to niby jest drugi Nowak?

– Debil z ciebie, Wątlęgi. Ja tak się naprawdę nazywam, nie widzisz różnicy?

Wątlęgi różnicę, owszem, widział, ale przez lata zdążył już głęboko zżyć się ze swoją ksywą i zdarzało mu się zapominać, że nazywa się inaczej. Wzruszył ramionami, kopnął sporych rozmiarów kamień, który znalazł się na jego drodze, i ze spuszczoną głową ruszył za Bidulem.

Tymczasem w pałacu rejwach panował iście pandemoniczny. Ekipa telewizyjna hałasowała bardziej niż wycieczka przedszkolaków, co zasadniczo jest trudne do wyobrażenia. Sylwia Kubacka biegała jak kot z pęcherzem, usiłując równocześnie rozmawiać przez telefon, instruować techników, rozstawiać dekoracje i ogarniać oszołomionych uczestników show. Z minuty na minutę natężenie dźwięków wydawanych przez maszyny oraz ludzi stawało się coraz uciążliwsze, a widmo chaosu lewitowało już pod sklepieniem. A jako że nieszczęścia lubią chadzać

w parach, a jeszcze chętniej wybierają większe stada, kolejni przybysze wnieśli dodatkowe ożywienie do dalekiej od sielskości atmosfery.

– Dzień dobry, policja, gdzie znajdziemy panią Agatę Śródkę?

Sylwia Kubacka o mało nie padła na zawał, i to dwukrotnie: najpierw z wrażenia, że kroi się jej sensacja na miarę głównego wydania serwisu informacyjnego, a ponownie z wrażenia, jakie wywarł na niej grecki bóg o najbardziej niebieskim spojrzeniu w uniwersum.

– Dzień dobry! – zaszczębiotała, przywołując na oblicze najpiękniejszy z pięknych uśmiechów. – Pani Śródka od rana pracuje w kuchni, a coś się stało?

– Niestety nie mogę z panią na ten temat rozmawiać, dochodzenie w sprawie o morderstwo wciąż jest w toku – odparł Miziacz, zupełnie ignorując przepisy.

– O morderstwo! – Kubacka złapała się za pierś, uprzednio odpowiednio obciążając obcisłą bluzkę w celu uwydatnienia swych kobiecych atrybutów. – Mam nadzieję, że nie zamierzają panowie aresztować pani Agaty!

– Jeszcze nie – brnął podkomisarz – ale nie wykluczamy.

Sierżant Żabka słuchał tej rozmowy z przerażeniem. Jego stosunek do przełożonego, do niedawna bliski zachwytowi, zaczął ulegać przyśpieszonej dekonstrukcji. Im dłużej słuchał bezsensownej paplaniny Miziacza, tym bardziej był skłonny podzielać opinię, jaką na jego temat miała Renata Bujko-Wawrzyniak. Ze zgrozą złapał się także na stawianiu brzydkich epitetów przed nazwiskiem podkomisarza.

– Któhy to bęcwał zapahkował na habatce?! – wrzasnął Michel, wpadając na policjantów.

– No... to chyba... ja – wydukał Miziacz, przerażony niespodziewanym atakiem pół-Francuza.

– Pan? – zapytał łagodnie Blanc. – To może pan zechce przestawić samochód, obok pani phokuhatoh jest miejsce.

– Renata już tu jest? – W oczach podkomisarza błysnęła panika. – Cholera jasna, spóźniliśmy się, Żabka. Wszystko nam popsuje!

Na słowo „prokurator” Sylwia Kubacka zareagowała wyraźnym ożywieniem. Rzuciła się w kierunku ekipy z kamerami i jęła im coś tłumaczyć, jednak hałas nie pozwalał policjantom rozróżnić słów.

Żabka z informacji o przybyciu prokuratorki szczerze się ucieszył, coraz bardziej bowiem imponowały mu jej inteligencja i kompetencje. Doskonale też wychodziło jej punktowanie Miziacza, a przy okazji robiła to z wielką klasą. Idiota z tego podkomisarza, jak można odrzucić taką kobietę? Ale może to i dobrze, szkoda jej dla takiego cymbała.

– Przyjechała chwilę przed panami – poinformował policjantów Blanc. – Zamknęły się tehas w kuchni i pewnie coś knują, jak to baby.

– Wszystkie trzy? – upewnił się Miziacz.

– Trzy? A! Ma pan na myśli moją *maman*. Nie, pani Blanc jest niedysponowana i nie była jeszcze łaskawa opuścić swojej komnaty.

Michel odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku Rójka, który musztrował Wątłego. Cherubin z jakąś zawziętą stanowczością wyzywał się na Bogu ducha winnym grubasku, który o rodzajach widelców wiedział mniej niż syrenka Ariel, bo przecież włosów nie miał wcale. Ewidentnie Sylwester Rójek pławił się we władzy wynikającej z dłuższego o jeden dzień stażu pracy.

– W tym tempie to do ushanej śmiehci się nie wyhobicie – mruknął Michel, przyglądając się niezgrabnym ruchom Wątłego z marsową miną.

– Pocałuj mnie w nos, żabojadzie – mruknął pod nosem Rójek.

– Przephaszam, co pan tam bełkocze? Phoszę głośniej, bo sthasznie hałasują.

– Mówiłem, że marny nasz los w tym układzie – odkrzyknął Rójek, a Wątły zarechotał.

Michel pokiwał głową, równocześnie piorunując wzrokiem rechoczącego Wątłego. Gdyby nie fakt, że musiał pilnie pomóc Jewgienijowi,

z pewnością zajęłby się nauczaniem tego prostaka manier. Odwrócił się bez słowa i pomaszerował do czekającego na zewnątrz Ukraińca.

– Ty weź się tak nie śmieję, bo cię stąd wyrzucą na zbity pysk – szepnął Bidul do Wątłego.

– A ty się przestań rządzić jak jakiś kogut w kurniku – zachnął się Wątły.  
– Znalazł się arystokrata z Koziej Wólki.

– Zamknij się, warszawski burżuju! – Rójek niebezpiecznie podniósł głos. Liszka uderzył w czułą strunę i awantura wisiała na włosku.

Na szczęście pracująca w drugim skrzydle ekipa telewizyjna robiła hałas, który zagłuszał wszelkie inne dźwięki. W miarę upływu czasu chaos zdawał się narastać, co niewątpliwie nie było zamierzone.

Pozostawieni sami sobie policjanci stali na środku hallu w charakterze zagubionych duszyczek, jednak szybko im się to znudziło. Miziacz postanowił przeparkować auto, a Żabka, żeby nie sterczeć na środku, zawędrował na z góry upatrzoną pozycję, udając, że podziwia sufit. Opadł miękko na fotel, po czym ogarnęła go błogość. Siedział tak sobie, rozkoszując się chwilą słodkiego lenistwa, splótł dłonie na brzuchu i kręcił młynka kciukami. Wzrok mimowolnie utkwiał w dwóch ubranych na czarno mężczyznach, z których jeden był wysoki i gruby, drugi szczupły i sporo niższy. Kręcił i kręcił, coraz szybciej, aż w końcu zdał sobie sprawę, że wpatruje się w tych kelnerów z wyjątkową intensywnością, która wynika z niesprecyzowanego uczucia tłącego się w okolicy jego lewej skroni. Coś, choć nie miał pojęcia co, nie pozwalało mu oderwać od nich wzroku. Gdzieś... kiedyś... Cholera jasna, czy on ich już przypadkiem nie widział?

Nie zdołał jednak dotrzeć do jądra tej myśli, bo w hallu pojawił się kolejny gość i natychmiast skupił na sobie uwagę kobiet pracujących przy planie zdjęciowym, które na jego widok zaczęły piszczeć i mdleć.

– Alan Szpila, *enchanté*. – Mężczyzna, którego urodę Michel z całą pewnością określiłby mianem nienachalnej, pochylił się nad dłonią zarumienionej po czubek głowy młodej uczestniczki konkursu.

Żabka wychylił się przez oparcie fotela i będąc niewidoczny dla przybysza, uważnie go obserwował. Nie spodobał mu się ten facet, od którego biła łuna samozachwyty i próżności. Gdyby nosił na czole napis „kocham tylko siebie”, nie byłoby to bardziej widoczne. W jego mimice i ruchach był fałsz, na który sierżant miał szczególną alergię. „Trzeba będzie na niego uważać”, pomyślał Lesio, po czym w podręcznym notesie zapisał: „Alan Szpila = szemrany typ”.

Podobne zdanie na temat nieznanego mężczyzny od razu wyrobił sobie Marcin Miziacz, który właśnie w tej chwili wszedł z powrotem do hallu. I choć kierowały nim inne niż Żabką powody, on również odnotował w pamięci, żeby przyjrzeć się Alanowi Szpili bliżej. Zwłaszcza że całowana z czułością rączka ślicznej jak z obrazka pretendenci do tytułu mistrzyni cukiernictwa kusiła także podkomisarza. Przyczepiony do rączki korpusik, zgrabne nóżki i wszystkie pozostałe przydatki kusiły go nawet bardziej.

– Co to za pajac? – zapytał Żabkę, którego bez trudu odnalazł.

– No właśnie nie wiem, chyba jakiś celebryta.

– Znany z bycia celebrytą? – zakpił Miziacz, który potajemnie marzył o zostaniu celebrytą, tylko nie bardzo wiedział, jak przebiega proces rekrutacji.

– Sprawdzę go sobie, coś mi w nim nie pasuje, jakiś taki... – Sierżant urwał, bo właściwe słowo mu uciekło.

– Oślizgły? Mętny? Parszywy? Szubrawy? Szalbierski? Szachrajski? Skunks? – wyrzucał z siebie podkomisarz.

– Odpychający chciałem powiedzieć. – Żabka popatrzył na Miziacza z uznaniem. Nie podejrzewał go o tak bogatą leksykę. No, no!

– Dobra, Lesiu, my tu gadu-gadu, a robota sama się nie robi. Musimy znaleźć panią Śródkę i uciąć sobie z nią pogawędkę na poważnie.

Sierżant podniósł się z fotela z nader wyraźną niechęcią, jednak Miziacz ani myślał się tym przejmować. Bardzo niepokoił go fakt, że Renata zamknęła się z ciotką na jakąś tajną naradę, o której on nie został



poinformowany. Zastanawiał się, czy mógłby oskarżyć prokuratorkę o mataczenie albo utrudnianie śledztwa, ale wątpił, żeby którykolwiek prokurator podjął się tego zadania. Zwłaszcza że niemal żaden z nich nie lubił Miziacza, za to wszyscy uwielbiali Renatę. Nie lubili go oczywiście zupełnie bez powodu, przecież nigdy żadnemu krzywdy nie zrobił.

Ruszył prosto do drzwi kuchennych z zamiarem przełamania wszelkich oporów, jakie mogłyby stawiać zamknięte za nimi kobiety, jednak spotkała go niespodzianka: drzwi ustąpiły po naciśnięciu klamki.

– O, pan podkomisarz – przywitała go nienaturalnie uśmiechnięta Agata Śródka. – Zapraszamy, kawa dla panów już się szykuje.

## Rozdział XLI. Jasny gwint, ale galimatias!

– Wydawało mi się, że nic już nie jest w stanie mnie zdziwić, ale jednak katalog ciągle się powiększa. – Agata wachlowała się ściereczką, bo pod ręką nie miała nic innego, a ciężka drewniana deska nie nadawała się zupełnie.

– No dobra, wiem, że nie wiedziałaś, ale tak właśnie jest. I teraz musimy szybko coś z tym fantem zrobić, zanim Miziacz zacznie wyciągać niewłaściwe wnioski. – Renata oparła brodę na dłoniach i patrzyła na ciotkę cielejącym wzrokiem.

– A w ogóle to jest możliwe, żeby on kiedykolwiek wyciągnął właściwe wnioski? – zakpiła Śródka. – Piękne lico myślą nieskażone, za to tupetem mógłby odzielić pół wsi.

– Och, daj już spokój, ciociu. Niech on sobie tkwi w tym urojonym świecie, a my musimy się zająć poważnymi sprawami. Zaczniemy od tej biednej ledwo żywej, a potem przejdziemy do całkiem martwych. – Prokuratorka z wdzięcznością przyjęła miseczkę herbatników, które ciotka bez słowa podstawiała jej pod nos.

– *Mon Dieu*, do czego to doszło?! Żeby porządna kobieta wplątała się w gangsterskie układy! – Agata oparła się o blat i chrupała maślane ciasteczko. – No ale ona zawsze miała ciągoty do życia w luksusach, a nie każdy ma tyle szczęścia, żeby dojść do nich legalnie.

– Ja myślę, że ona wcale nie zauważyła, że wiąże się z mafiosem – zastanawiała się głośno Renata. – Bo wiesz, oni mają swój kodeks, starają się kobiety trzymać z dala od „interesów”, a oficjalnie zajmują się czymś legalnym. Mogła się nie zorientować, a już na pewno nie dopuszczała do siebie takiej możliwości. Czemu zresztą trudno się dziwić.

– Możesz mieć rację – zgodziła się ciotka. – No i co teraz?

– Trzeba jej powiedzieć.

- Przecież jest nieprzytomna!
  - Kiedyś odzyska przytomność, a wtedy trzeba będzie jej powiedzieć i wziąć pod nadzór, żeby Car nie próbował zrobić jej krzywdy.
  - Car? – Mina Śródki wyrażała bezgraniczne zdumienie.
  - Mhm. Car Mikołaj i jego żona caryca Katarzyna. Rozumiesz dowcip? – Renata zaśmiała się gorzko. – Prawie fiknęłam na krześle, jak to zobaczyłam. Właściwie to od niej się zaczęło, najpierw była Caryca – no bo Katarzyna, a dopiero potem jego zaczęto nazywać Carem.
  - Już sobie wyobrażam, co na to powie Michel. Profeta zakichany, carycy mu się zachciało, no to dostał w komplecie z Carem.
  - Gdyby Miziacz to odkrył, dopiero by było. – Renata pokręciła głową.
  - E tam, nie bój nic – uspokajała restauratorka. – W życiu tego nie odkryje, skoro jeszcze na to nie wpadł, już prędzej ten sierżant. Wydaje się całkiem kumaty.
  - Żabka? W sumie masz rację. Sierżant Żabka to poczciwy chłopak, trochę zbyt nieśmiały, ale w gruncie rzeczy dobry policjant i pewnego dnia zajdzie wysoko. Podobno marzy mu się kariera w wojewódzkiej.
  - No i oby jak najszybciej! Bo z tym twoim, pożał się Boże, podkomisarzem nic dobrego go nie czeka.
  - O nie! – Prokuratorka skrzywiła się brzydko. – Mamy niewiele czasu, już tu są.
- Przez nie do końca opuszczoną roletę Renata zobaczyła, jak samochód Miziacza zatrzymuje się obok jej toyoty. Czasu miały naprawdę niewiele.
- A jak z urodzenia nazywa się ten Car? – Agata przezornie przekręciła klucz w drzwiach prowadzących do jadalni, naszykowała dwa dodatkowe kubki i dołała wody do pojemnika w ekspresie.
  - Mikołaj Kunicki. Teraz jest objęty programem ochrony świadków i podobno się „nawrócił”, ale ja w takie bajki nie wierzę. – Renata kiwała głową do własnych myśli, jakby wciąż trudno jej było uwierzyć w prawdziwość zdobytych informacji. – Katarzyna podobno zaginęła

w niewyjaśnionych okolicznościach, ale policja już wie, że zostawiła go dla rosyjskiego magnata, a teraz ukrywa się przed Carem i jego ludźmi.

Agata już miała odpowiedzieć siostrzenicy, ale nie zdążyła, bo drzwi do kuchni się otworzyły.

– O, pan podkomisarz – przywitała zaskoczonego policjanta, siląc się na zupełnie nienaturalny uśmiech. – Zapraszamy, kawa dla panów już się szykuje.

– Naprawdę? – zdziwiony Miziacz zdziwił się jeszcze bardziej. – To bardzo miło z pani strony, nie odmówię.

– Ja też bardzo chętnie się napiję – powiedział nieśmiało sierżant, zamykając za sobą drzwi. – Dzień dobry paniom, straszny tu dzisiaj ruch.

– I tyle nowych twarzy – dorzucił podkomisarz z przekąsem.

– *Vraiment?* – Śródka zaprosiła mężczyzn do stolika, na którym postawiła dwa kubki z kawą i cukierniczkę. – Telewizja przyjechała i zamieszanie robią, diabli ich nadali.

– A ten taki... celebryta? – Miziacz bardzo się starał, żeby w tym pytaniu nie zawrzeć zazdrości, ale wyszło mu raczej kiepsko.

– Kto? – zdumiała się Renata. – Jaki znowu celebryta? Ciocia Agata jest tu celebrytką.

– Czyli już przyjechał, skunks przebrzydły... – Śródka zacisnęła usta w cienką linię. – Bloger kulinarny, Renatko, ta łajza, która mi tyle krwi napsuła. Ileż ja przez niego schudłam!

– Ten jakiś Szmira? – usiłowała sobie przypomnieć prokuratorka. – Który ci zrobił czarny PR w Jolie Julie?

– Szmira nawet lepiej pasuje – stwierdziła z satysfakcją Agata. – Szpila, ten sam.

– Jeśli to panią pocieszy, to na nas też zrobił złe wrażenie – wyznał niespodziewanie sierżant Żabka, czym zaskarbił sobie dozgonną miłość Agaty Śródki i wielką sympatię jej ciotecznej siostrzenicy.

Miziacz energicznie kiwał głową, żeby i jemu trochę tej miłości i sympatii przypadło w udziale – w końcu wchodził w skład „nas”, o których mówił Żabka.

– Śliski typ – rzucił, przełknąwszy łyk gorącej kawy. – Od razu go wyczułem.

– Może jednak jest jeszcze dla pana jakaś nadzieja – stwierdziła Agata. – Rozumiem, że nie w sprawie śliskiego skunksa się tu panowie znaleźli, więc przejdźmy do rzeczy. Za chwilę muszę się zająć przygotowaniem do programu, a kuchnia będzie potrzebna kucharzom.

– Musimy cię zapytać o powiązania z Maxymilianem. – Renata przejęła rolę głównodowodzącej.

– Nie mam żadnych – odpowiedziała zgodnie z prawdą Śródka.

– Jest pani o tym przekonana? – indagował Miziacz.

– Może pan spróbować przekonać mnie, że jest odwrotnie, ale nie mam pomysłu, jak mógłby pan to zrobić. Przecież ja nawet go na oczy nie widziałam, przyjechałam tu po tym, jak go zabraliście.

– A żywego pani nie znała? – kontynuował Adonis o bardzo małym rozumku.

– Renatko, czy ty możesz panu podkomisarzowi wyjaśnić, że trudno mi się przyznać do znajomości z osobą, której tożsamości, a nawet wyglądu nie znam?

Prokuratorka spojrzała na Miziacza z politowaniem, tak samo zresztą patrzył na niego Żabka.

– Pokaż cioci zdjęcie, Miziacz. Skąd ma wiedzieć, czy go zna?

– Myślałem, że ty już pokazywałaś, pan Michel mówił, że się tu naradzałyście w tajemnicy – bronił się Marcin, poniekąd słusznie.

– A to papla! – parsknęła Śródka. – Nie przyszło panu do głowy, że my sprawy rodzinne mamy? Nieuwzględniające zbrodni, zwłok ani żadnych takich?

Speszony Miziacz nie odezwał się już słowem. Wyjął z teczki powiększoną fotografię portretową. Przedstawiała przystojnego około pięćdziesięcioletniego mężczyznę, modnie uczesanego, w twarzowych okularach.

– Zna go pani? – zapytał miękko Żabka.

– Szczerze żałuję, ale nie.

– Szczerze pani żałuje? – upewnił się sierżant.

– Bardzo szczerze. Wygląda dokładnie tak jak mój drugi mąż.

– Ale pani miała dopiero jednego męża. – Miziacz błysnął uzupełnioną poprzedniej nocy wiedzą.

– No właśnie. I wygląda na to, że drugiego już mieć nie będę. – Agata oddała fotografię zdumionemu Miziaczowi. – Kto to jest?

– Maxymilian – odparli policjanci chórem.

– Ale jak mu dali na chrzcie? – Agata przewróciła oczami. Znowu to samo!

– Maxymilian! – Tym razem do chórków dołączyła również Renata.

– Jaja sobie ze mnie robicie? – W głosie Śródki pojawiła się irytacja.

– Nie, ciociu, to niestety nie jest żart. Ten facet ze zdjęcia, co to wygląda jak twój niedoszły drugi mąż, nazywał się Maxymilian Gruschka. Przez „iks” – dodała Renata, kładąc nacisk na tę ostatnią informację. – Najważniejsze pytanie brzmi: skąd pani Jakimiuk znała jego prawdziwe imię i dlaczego przed nami ukryła, że je zna?

Usłyszane przed chwilą słowa zwały się na Agatę jak niespodziewana lawina. Restauratorka wodziła przerażonym wzrokiem po nic niewyrażających twarzach policjantów, patrzyła na smutną minę Renaty i wciąż nie rozumiała, co się właśnie wydarzyło.

– Ja... ja muszę usiąść... – wyszeptała bladymi jak kreda ustami.

– Proszę, niech pani siada! – Żabka zeskoczył z krzesła i chwycił lejącą się przez ręce kobietę. Delikatnie posadził ją na krześle, a Renata podała jej szklankę z wodą.

Agata upiła łyk, zwilżyła wyschnięte wargi językiem i odezwała się cichutko, jakby zupełnie brakowało jej sił:

– Wy chyba nie podejrzewacie, że Katarzyna miała coś wspólnego z tym morderstwem?

– Właściwie to obecnie podejrzewamy wszystkich – odpowiedziała spokojnie Renata.

– Poza panią – dodał szybko Żabka. – Pani została wykluczona.

– Dobrze i to – stwierdziła Śródka, po czym upiła kolejny łyk wody. – Ale po co wciskałaby wam ten paragon, skoro mógł doprowadzić do niej, jeśli byłaby w to zamieszana? – zapytała po chwili.

– Może wcale nie chciała, żebyśmy znaleźli ten paragon – podsunął Miziacz.

– Przecież gdyby nie nasze poszukiwanie planów, ta koperta dalej leżałaby schowana w stercie papierów – poparł go Żabka.

– Gdyby nie to, że Katarzyna wylądowała w szpitalu, nie musielibyśmy szukać planów, a ona na pewno dałaby panom ten paragon – odparła z naciskiem Agata, czując, że misterny plan nieco się rozjeżdża.

– Tego nie wiemy – stwierdził Miziacz z powagą. – Równie dobrze mogła od początku wiedzieć, kto ukatrupił Maxymiliana, i chciała chronić tę osobę.

– To by oznaczało, że katrupicielem był ktoś jej bliski – oznajmiła Śródka.

Ona już miała teorię co do osoby katrupiciela, jednak z pewnością Katarzyna nie byłaby skłonna tej osoby chronić.

– Prawdopodobnie – odparł wymijająco sierżant.

Agata poczuła przyływ adrenaliny, a wraz z nią wróciły siły witalne. I – na nieszczęście policjantów – charakter.

– Wy wiecie, kto jest katrupicielem! Przyszliście tu tylko po to, żeby wybadać, czy ja nie mam nic wspólnego z Katarzyną i Maxymilianem! Renata, powiedz im, że Katarzyna NA PEWNO nikogo nie chroniła!

– Uspokój się, ciociu – próbowała załagodzić sytuację prokuratorka. – To standardowa procedura, powinniśmy cię zabrać do komendy, ale woleliśmy załatwić to tutaj. Nikt cię o nic nie podejrzewa, ale ty jedyna znasz Katarzynę Jakimiuk bliżej.

– Jeśli chodzi o znajomość jej znajomych, to nie mam żadnej. Nawet mężów nie dane mi było poznać, bo zanim się zabrałam do poznawania, to ona już była w trakcie rozwodu – mówiła odrobinę spokojniej Śródka. – Niewiele wam pomogę. Ale mogę was zapewnić, że ona nie miała z tym nic wspólnego, a tylko zrządzenie losu zdecydowało o tym, że ktoś uniemożliwił jej obronę... – Nagle zorientowała się, że zrządzenie losu w zaistniałych okolicznościach przestawało wyglądać na przypadek. Podniosła wzrok na policjantów, którzy potakująco kiwali głowami. – Czyli co? Myślicie, że katrupiciel Maxymiliana unieszkodliwił Katarzynę, żeby go nie wydała?

Miziacz rozłożył ręce, co miało oznaczać „możliwe”, a Żabka wciąż kiwał głową. Renata patrzyła przez okno, przez które widać było Michela i Jewgienija uwijających się wokół krzewów berberysu.

Agata potrzebowała chwili, żeby uporządkować myśli. Przeprosiła policjantów i Renatę, po czym wyszła do ogrodu, unikając ze wszystkich sił konfrontacji z hałaśliwym tłumem. Fakt pojawienia się w pałacu Alana Szpili zupełnie wyrugowała z pamięci; zastąpiły go o wiele istotniejsze zmartwienia.

Co tu się, do jasnej Anielki, wyprawiało? Jeszcze dwa dni wcześniej tajemniczy Maksymilian niebędący jeszcze wtedy Maxymilianem był zaledwie przykrą niespodzianką zakopaną przez złośliwych złoczyńców w ogrodzie Katarzyny, a tymczasem na jaw wychodziły jakieś potworne historie! Katarzyna miała związki z mafiosem, w dodatku megalomanem, ukrywała się przed nim, a jednocześnie chroniła go przed policją? No przecież to absurd jakiś! Nie, niemożliwe, policja coś pokręciła i wszystko wyjaśni się zupełnie inaczej. Jednak – cholera by to wzięła – Renata tego



cara Mikołaja odkryła. I wszystko do siebie pasuje... Jasny gwint, co za galimatias!

Wzięła dziesięć głębokich wdechów, zamknęła na chwilę oczy, po czym ruszyła z powrotem do kuchni. Zrobiła to w ostatnim momencie, bo nagle zza rogu wyłonił się Alan Szpila w otoczeniu rozanielonych kobiet.

## Rozdział XLII. *Que se passe-t-il ici, sacrébleu?!*

Mężczyzna, który spacerowym krokiem zbliżał się do pałacu w Roztoce, na pierwszy rzut oka ani trochę nie przypominał Mikołaja Kunickiego. Ufarbowane na czarno włosy sterczały we wszystkie strony, uczerniony dwudniowy zarost nadawał mu łotrzykowski wygląd, okulary w grubych oprawkach autentycznie podnosiły walory wizualne mężczyzny. W czarnej koszuli i czarnych spodniach wyglądał zaskakująco szykownie, czemu sprzyjały szczupła sylwetka i lata udawania ojca chrzestnego.

W chwili, w której zjawił się w pałacu, panował w nim wyjątkowy tego dnia spokój, Alan Szpila bowiem otoczony wianuszkiem fanek udał się na spacer po parku. Kunicki *sub dissimulato* stanął na środku hallu i głośno chrząknął, nie dało to jednak żadnego rezultatu. Zaczął więc kaszleć i po chwili odebrało mu oddech, bo rozkaszał się naprawdę. To dopiero zwróciło uwagę dwóch mężczyzn nakrywających stoły w jadalni mieszczącej się we wschodniej części pałacu.

– Pan do kogo? – Rójek wczuł się już chyba w rolę pełniącego obowiązki *maitre d'hôtel* i podszedł do przybysza z poważną miną.

– Ja do pracy. Jako kelner. – Kunicki wypiął z dumą pierś i przeczesał palcami rzadkie włosy, spomiędzy których prześwitywała podrażniona farbą skóra.

– To proszę pójść ze mną, musi pan poczekać na szefostwo, policja tam teraz jest.

– Policja? A coś się stało? – Mikołaj starał się mówić głośno i wyraźnie, tak żeby broń Boże nikt nie mógł wątpić w jego całkowitą nieznaną w wydarzeń w pałacu. – O, a państwo, widzę, z telewizji. Jakieś policyjne reality show kręcicie?

Stojąca najbliżej Sylwia Kubacka podniosła na mężczyznę pełen niechęci wzrok. Wściekła była jak osa i niewiele wystarczyło, żeby ją sprowokować.

– Nie, proszę pana – warknęła – tu się będzie odbywał finał prestiżowego konkursu kulinarnego, w którym jurorami będą gwiazdy.

– Aha, rozumiem – powiedział Mikołaj i ruszył za Rójkiem.

Wcale nie rozumiał, bo w jego planie kamery telewizyjne były wyjątkowo niepożądane, zwłaszcza że już samo jego przebywanie w tym miejscu naruszało warunki układu. Po chwili jednak przypomniał sobie, że przecież jest w przebraniu, i kamień spadł mu z serca.

– Psssst, szefie, to ja – szepnął Wątki, kiedy dwaj pozostali znaleźli się przy stole, który kończył nakrywać.

– No przecież widzę, że to ty – wycedził przez zęby Kunicki. – Nie nazywaj mnie szefem, nie znamy się!

– Przepraszam, szefie!

Mikołaj pokręcił głową i przewrócił oczami. Czekają ich trudne zadanie.

– Gdzie jajo? – zapytał szeptem Rójka, który rozkładał śnieżnobiały obrus na sąsiednim stoliku.

– Nie wiem, jeszcze go nie przynieśli – odpowiedział również szeptem chłopak o anielskiej twarzy.

– To skąd wiesz, że tu jest? – indagował Kunicki.

– Bo wiem i już! – Bidul się zirytował.

– A to kto znowu? – zapytał Michel Blanc, który zjawił się nagle obok trzech spiskowców.

– Nowy kelner – odpowiedział Rójek beznamiętnym tonem.

– A co ze stahym było nie tak? – Otaksował krytycznym spojrzeniem najpierw Wątkiego, następnie Kunickiego, wrócił do Wątkiego i sam sobie odpowiedział: – No hacja, ten nowy lepszy, przynajmniej nie utknie między stołami.

– Szefowa mówiła, że potrzebujemy więcej kelnerów – wyjaśnił Rójek, zasłaniając Wątkiego przed wzrokiem Blanca. W ostatniej chwili zauważył, że grubas zaciska pięści i gotów jest rzucić się na pół-Francuza niepomny nowych zasad.

– *Bon*, niech sobie Agata decyduje – skwitował Michel. – Ale hadzę hozstawić te stoliki.

Ostatni raz powiódł wzrokiem po trzech kelnerach z przypadku, cmoknął z niezadowoleniem i ruszył w kierunku schodów.

– Panie Michelu! – zawołała go Kubacka. – Czy możemy zanieść bagaże do pokojów? Nasi uczestnicy chcieliby odpocząć i przygotować się do nagrania.

– Phoszę to sobie ustalać z Agatą. To ona tu rządzi – wykiął się i ruszył w górę schodów.

– Pani Agata jest przesłuchiwana przez policję – odpowiedziała coraz bardziej wściekła dziennikarka.

– *Que se passe-t-il ici, sacrébleu?!<sup>8</sup>* – zawołał Michel, ale zatrzymał się w pół kroku. – Weźcie bagaże i chodźcie za mną, już ja sobie z Agatą Śhódką pohozmawiam.

Troje uczestników konkursu, taszcząc walizy, podążyło za Michelelem, a ekipa telewizyjna postanowiła zrobić sobie fajrant. Do pierwszego nagrania pozostawało sporo czasu, uznali więc, że rozejrzą się po okolicy. Sylwia Kubacka nie była zainteresowana rozglądaniem się – o wiele bardziej frapowała ją długa nieobecność Alana Szpili. Kiedy technicy opuścili pałac, ona także poszła do ogrodu, gdzie miała nadzieję spotkać gwiazdę kulinarnej blogosfery.

Niespodziewanie w pałacu zapanowała błoga cisza i trzech kelnerów amatorów miało możliwość porozmawiać bez świadków.

– Co tu robi policja? – zapytał Rójka Kunicki.

– Nie wiem, szefie, przecież mi się nie spowiadali.

– Jesteście pewni, że sprawa tego typu jest czysta? Pozbyliście się wszystkiego, co mogłoby was z nim połączyć? Tak czy nie?

Obaj bez wahania zaczęli kiwać głowami, zapewniając, że zrobili wszystko, jak należy. Pies z kulawą nogą ich nie widział, żadnych śladów nie zostawili, ciuchy spalili, na wszelki wypadek buty zalali kwasem,

a wszystko, co miał przy sobie Gruschka, zostało zutyilizowane w krematorium, w którym pracował znajomy Wątlego.

Kunicki całe życie stosował zasadę ograniczonego zaufania, zwłaszcza jeśli chodziło o podwładnych, jednak tym razem musiał im zawierzyć. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Bidul, a co się stało z Osobą? Może psy tu węszą w jej sprawie?

– Naprawdę nie wiem, szefie! – Obcesowo zaatakowany Bidul poczuł się niesprawiedliwie oskarżony. – Jak tu przyszedłem, to ona już bez życia na noszach leżała, do karetki ją zapakowali i *adio pomidore*.

– Palnę cię zaraz w ten kudłaty łeb – syknął Mikołaj. – W worku na tych noszach wyjechała czy normalnie?

Bidula zatchnęło. Faktycznie, widział jej bladą twarz, znaczy nie mogła być w worku. A jeśli nie była w worku, to żyła. Jasna cholera!

– Normalnie – wybąkał, spuszczaając głowę jak dziecko, które przyznaje się do winy.

– I bardzo dobrze – skonstatował z wyraźnym zadowoleniem farbowany mafioso. – Niech żyje ze świadomością, że wywinąłem jej numer życia. Nawet lepiej.

Rójek nie podzielał zdania szefa, nie mógł się jednak do tego przyznać. Coraz bardziej odczuwał ciężącą na nim presję i wiedział, że to jego być albo nie być. Plan musi zostać zrealizowany perfekcyjnie, dopiero wtedy będzie mógł odetchnąć. Uda się, na pewno się uda. Jak dotąd wszystko układało się po jego myśli.

Głośnie tupanie na schodach ostrzegło ich o nadejściu Michela, który natychmiast przystąpił do wydawania poleceń. Wydawał je w dwóch językach, co odrobinę utrudniało komunikację, jednak żaden z adeptów sztuki kelnerskiej nie odważył się choćby pisnąć. Wątki bez szemrania rozstawił stoliki, żeby przypadkiem jego bandzioch „nie smyhał gości po kawkach”.

## Rozdział XLIII. Z jednego Maksymiliana zrobiła się całkiem niezła heca

– Dobra, już ochłonęłam – zakomunikowała od progu Śródka. – Żądam informacji.

Renata spojrzała wymownie na Miziacza, bo przed chwilą powiedziała mu, że ciotka z pewnością nie odpuści im wyjaśnień, na co on zareagował lekceważącym machnięciem ręką.

– No! Kto to jest ten Maxymilian? Swołocz jakaś?

– I tak, i nie – odpowiedział enigmatycznie detektyw amant.

– Co pan przez to rozumie? Albo się jest swołoczą, albo się nią nie jest – zirytowała się Agata. – To tak, jakby o panu powiedzieć, że jest pan i mądry, i głupi.

Miziacz w pierwszym odruchu chciał się obrazić, bo przecież wiele o nim można powiedzieć, ale z pewnością nie to, że jest głupi. Nie zdążył jednak wnieść weta, gdyż pałeczkę przejęła Renata.

– Oficjalnie jest czysty. Z wykształcenia historyk sztuki, rzeczoznawca, konserwator. Od wielu lat pośredniczył w sprzedaży dzieł sztuki.

– A nieoficjalnie? – Agata wysnuła własne przypuszczenia, jednak chciała to usłyszeć z ust śledczych.

– Podejrzewamy, że nie z każdej transakcji tłumaczył się fiskusowi – odpowiedział tym razem Żabka. – Nie mamy na to żadnych dowodów, ale nasi eksperci już nad tym pracują. W kilku sprawach o przemyt i handel na czarnym rynku płacze się jego nazwisko, ale ani razu nie wypłynęło oficjalnie.

– Czyli jednak swołocz – podsumowała Śródka. – A to jego nazwisko? Nasz on jest czy nie nasz?

– Ma podwójne obywatelstwo – wyjaśniła Renata. – Jego dziadek, Franciszek Gruszka, wyjechał do Niemiec i tam został. Zmienił nazwisko

na, powiedzmy, bardziej niemieckie i tym sposobem Maxymilian, syn Heinricha, nazywał się już Gruschka przez „sch”.

– I to wszystko udało wam się ustalić na podstawie jednego paragonu? – W tonie Agaty mocno wybrzmiał podziw.

– Paragon doprowadził nas do sklepu, sklep odszukał dane karty płatniczej, a bank podał nam dane właściciela karty – wyjaśnił mile połączony Żabka.

– I co, naprawdę sądzicie, że Katarzyna miała z nim jakiś związek? Niby jaki? Przecież ona na dziełach sztuki zna się jak kura na pieprzu! Widzieliście te kiczowate żyrandole w jadalni?

– W jakiś sposób weszła w posiadanie tego paragonu – zauważył Miziacz.  
– Od tego, w jaki, zależy kierunek śledztwa. Na razie chwytamy się tego, co mamy.

Agata zmarszczyła nos i uruchomiła turbinę w mózgowicy. „Myśl, Agato, myśl!” Nagle ją olśniło.

– Słuchajcie, a co z tym ogrodnikiem?! Przecież to on odkrył Maxymiliana, więc jeśli ktokolwiek coś wie o tym paragonie, to najprędzej on.

Miny trojga śledczych jednoznacznie wskazywały na to, że temat tajemniczego ogrodnika zupełnie zniknął z ich radarów i właśnie poczuli się tym faktem zawstydzeni. Skonfundowany Miziacz nerwowo czochrał swoją idealnie ułożoną fryzurę, Żabka drapał się w czoło, a Renata patrzyła na Agatę z uśmiechem pełnym uwielbienia. Widocznie ona także szukała fortelu, żeby nie ujawniać źródła znaleziska, a tymczasem jej genialna ciotka znalazła tak oczywiste i perfekcyjne rozwiązanie.

– Jasna cholera – zaklął Miziacz – jak nam to mogło umknąć?

– Zwyczajnie. Zapomnieliśmy, ganiając za Maxymilianem – usprawiedliwił ich Żabka.

– Za Maxymilianem to chyba ganiać nie trzeba było, on mało ruchawy – zauważyła Śródka. – Raczej katrupiciela powinniście szukać.

- Mamy pewien trop – bąknął wciąż zawstydzony sierżant.
- No brawo! – zakpiła restauratorka. – Pewien trop to zdecydowanie więcej niż żaden trop.
- Od czegoś trzeba zacząć – zachnął się rozczochrany podkomisarz. – Jakby sprawcy przestępstw dawali się złapać *in flagranti*, z pewnością byłoby łatwiej.
- Jakby policja nie zapominała o przesłuchaniu kluczowych świadków, to może wykrywalność byłaby lepsza – dopiekła mu Śródka.
- Panowie – przerwała tę wymianę docinków Renata – przesłuchanie ogrodnika wydaje się w tym momencie priorytetowe. Ustalcie jak najszybciej, gdzie mieszka, i trzeba go pilnie odwiedzić.
- Łatwo powiedzieć. To człowiek widmo. Nikt nie zna jego nazwiska, nikt nie zna jego adresu. Szukanie igły w stogu siana – żalił się Żabka.
- Sierzancie, Roztoka to nie Wrocław ani nawet nie Jawor. Znalezienie człowieka, który mieszka tu od kilku dekad, nie może być aż tak niewykonalne. Czy może powinnam zażądać zmiany prowadzących śledztwo?

Ten argument wyjątkowo mocno zadziałał na zranione ego Miziacza. W jednej chwili podkomisarz stanął na baczność i zarządził natychmiastowe poszukiwania zaginionego ogrodnika. Wolał o nim myśleć, że jest zaginiony, bo świadomość, że zaniedbał istotny element śledztwa, uwierała go coraz dotkliwiej. Ale skoro zaginiony, to trzeba go szukać, ergo: nie ma w tym żadnej jego winy.

Policjanci opuścili kuchnię wyjściem od zaplecza, w progu niemal zderzając się z dwoma kucharzami.

– Jesteście! – ucieszyła się Agata. – Już myślałam, że panowie się zawinęli i znowu wszystko będzie na mojej głowie. Bierzcie się do tych flaczków, bulionem zalejcie, włoszczyznę dodajcie, a ja muszę znaleźć Michela.



– Pan Michel bardzo krzyczał na Jewgienija w ogrodzie – doniósł jeden z kucharzy.

– To świetnie, będzie w wyśmienitym humorze, w sam raz na wyjazd po sprawunki.

– Ciociu, musimy omówić jeszcze jedną sprawę – szepnęła Renata, kiedy Agata skierowała się do drzwi. – No wiesz, z carycą.

– Jak spuścisz na mnie jeszcze jedną bombę, to chyba się rozpłaczę – zagroziła Śródka.

– E tam, ty jesteś silna babka. – Prokuratorka zerknęła na kucharzy, którzy udawali, że wcale nie podsłuchują. – Chodźmy do jadalni.

Agata chwyciła szklanekę z wodą, na wszelki wypadek, i bez słowa otworzyła drzwi. Renata wyszła za nią, stukając obcasami.

– A któż to? – zapytała ciotkę na widok trzech czarno odzianych mężczyzn rozkładających sztucę na stole.

Jednego z nich widziała już wcześniej, ale dwaj pozostali... Nie! Drugiego też już widziała, tylko ten trzeci był zupełnie nieznamy.

– Dobrze pytanie – odpowiedziała jej Agata. – Panie Sylwestrze!

Sylwester Rójek podniósł wzrok i mina mu lekko zrzędała. Elegancka rudowłosa kobieta przyglądała mu się nazbyt wnikliwie, co mocno go peszyło.

– Tak, szefowo? – zapytał, nie ruszając się z miejsca.

– No niech pan tu do mnie podejdzie, nie będziemy się do siebie wydierać jak dzikusy.

Rójek wykonał polecenie i znalazł się obok Śródki.

– Kto to? – zapytała tymczasowa szefowa, wskazując głową na dwóch mężczyzn.

– Kandydaci do pracy. Zgłosili się dzisiaj.

– To pana koledzy?

– W życiu! – krzyknął młodzieniec. – To znaczy: nie znam ich.

– Michel ich przyjął?

– Pan Michel powiedział, że to pani decyzja.

– No jasne, że tak powiedział, niecnota jeden – syknęła ze złością. – Dawać mi ich na fotel, będziemy rozmawiać.

Bidul podreptał do stolika i przekazał słowa Śródki. Agata z Renatą usiadły na sąsiadujących fotelach, dla przesłuchiwanym pozostawiając dwa stojące naprzeciwko nich.

– Nazwisko pana? – zaczęła wywiad Agata.

– Wąty.

Kunicki wydał z siebie dźwięk przypominający coś między czkawką a zachłyśnięciem.

– Daniel Wąty – powtórzył Liszka.

– Wiek?

– Trzydzieści jeden.

– Doświadczenie?

– Bogate.

– Doświadczenie w zawodzie kelnera.

– Trochę mnie Bid... pan Rójek wyszkolił.

Śródka zmrużyła oczy i oceniła przydatność chłopaka na mniej więcej minus sto, zostawiła jednak tę refleksję dla siebie. Przeniosła wzrok na Kunickiego i otworzyła usta, żeby zadać ten sam zestaw pytań, jednak mężczyzna ją ubiegł:

– Nazywam się Marek Andrzejewski, mam pięćdziesiąt lat, jestem wdowcem i byłym przedsiębiorcą. Tyle się mówi, że ludzie w moim wieku nie mogą się przekwalifikować, więc postanowiłem udowodnić, że się da.

– Czym zajmował się pan wcześniej? – zaciekała się Renata.

– Prowadziłem przedsiębiorstwo.

– A konkretnie jakie? – dociekała Śródka.

– No... pogrzebowe.

Wąty parsknął i natychmiast zaczął kaszleć, jakby zaraz miał wypluć płuca. Kunicki spiorunował go wzrokiem.

– Ale już pan go nie prowadzi? – dociekała Śródka.

– Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę, ale marny z tego dochód, rozumie pani...

Śródka, owszem, rozumiała, czytała prasę i słuchała ludzi, choć jej klientela wywodziła się z nieco innych kręgów społecznych.

– I żonę swoją pan też, no, wie pan... W tym swoim przedsiębiorstwie pan obsłużył? – Ciekawość Agaty była zupełnie szczera.

– Nie, żony nie – odparł twardo Kunicki vel Andrzejewski. – Zasady takie: bliskich nie obsługujemy.

– Rozumiem. Jest pan pewien, że poradzi sobie z obsługiwaniem przyjęcia?

– Droga pani... – Mikołaj rozparł się w fotelu i dumnie wypiął pierś. – Nie z takimi rzeczami sobie radziłem.

– Ostrzegam, że to trudna, a czasami dosłownie brudna robota.

– Może pani być spokojna, w niektórych kręgach uchodzę za specjalistę od brudnej roboty, tak czy nie, Wąty? – zanim się zorientował, było już za późno.

– A, to panowie się znają?

Obserwujący całą scenę Rójek złapał się za głowę. Idioci! Banda idiotów! Nie do wiary...

– No tak, służbowo się znamy – odezwał się Wąty. – Ja u pana eee...

– Andrzejewskiego – odpowiedział uczynnie Kunicki.

– Właśnie. Więc ja u pana Andrzejewskiego usługi wykupiłem kilka razy.

– Usługi? Kilka razy? – Renata zmrużyła oczy i przyglądała się chłopakowi z uwagą. Gdzie ona widziała tę nalaną twarz? – A dla kogo te usługi były? Tak z zawodowej ciekawości pytam.

– Dla matki. I ojca. I ciotki, i wujka. – Wąty płynął na falach legendy powstającej *ad hoc* i pewnie wypłynąłby na rozległe oceany rodzinnych powiązań, gdyby Kunicki nie wszedł mu w słowo.

– Tak, tak, matki, ojca, ciotki i wujka. Wypadek był, śmiertelny, i nieszczęśliwie wszyscy zginęli.

– Wszyscy czworo? W jednym wypadku? – Zawodowa ciekawość Renaty włączyła pulsującą lampkę alarmową.

– Dobrze, że to nie był samolot, bo tam ofiar byłoby więcej – palnął Wąty.

– Bardzo to przykre, panie Danielu – stwierdziła z powagą Śródka. – Stracić oboje rodziców w jednym momencie to musi być cios.

Wąty zrobił smutną minę i pokiwał głową. Co prawda jego rodzice żyli i mieli się raczej znakomicie, ale od czego jest wyobraźnia?

Agata nie była przekonana do żadnego z kandydatów na kelnera: jeden wydawał się zbyt prostacki, drugi trochę zbyt upiorny, ale kolejki rekrutów nie było, a ona miała przyjęcie do wydania. Odesłała ich więc do Rójka, a sama zamierzała znaleźć Michela, którego już dawno powinna była wysłać po zakupy.

– Ciociu, poczekaj chwilę. – Renata złapała ją za rękę. – Muszę ci powiedzieć, co odkryłam w sprawie Olega Wasiljewa.

– Tylko mi nie mów, że to jakiś kolejny zakapior, bo wykorkuję.

– Prawdę mówiąc, to ja w niewinność rosyjskich milionerów nie wierzę, ale nie w tym rzecz. Czy Katarzyna mówiła ci coś na temat ubezpieczenia?

– Jakiego ubezpieczenia? Na pałac?

– Nie, na życie. Na jej życie i od następstw nieszczęśliwych wypadków.

– Duża ta polisa? – Ciekawość Agaty została wreszcie pobudzona.

– W przypadku śmierci Katarzyny wskutek nieszczęśliwego wypadku na pięć milionów. Dolarów.

– *Oh, mon Dieu!*

– Właśnie. Jedyнным uposażonym jest Oleg Wasiljew, a polisa została wykupiona zaledwie miesiąc temu.

– I nagle przestałam zazdrościć Katarzynie miłości Olega Wasiljewa – stwierdziła Śródka z cynizmem. – Wolę być wdową niż powodem

wdowieństwa.

Renata zdecydowanie podzielała pogląd ciotki, choć wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Śródka uważała się za wdowę, uparcie ignorując fakt, że nieżyjący małżonek na kilka tygodni przed śmiercią poślubił inną kobietę. W dodatku legalnie.

– Przejrzałam sobie szczegółowe warunki tego ubezpieczenia i jedna rzecz wzbudziła moją wątpliwość.

– Poza tym, że ktoś ubezpiecza nie-żonę na pięć milionów dolarów?

– To dwie rzeczy. Ale ta druga jednak bardziej. Wśród uszczerbków na zdrowiu wymieniono *expressis verbis* następstwa upadku ze schodów. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

– Nie, nie słyszałam – zafrasowała się Agata. – W ogóle nie przyszłoby mi to do głowy. Jaki ubezpieczyciel zgodził się na taki zapis?

– Rosyjski. I zgadnij, kto jest głównym udziałowcem tej firmy.

Agata nie musiała zgadywać. Spodziewała się bomby i dostała bombę. Katarzyna Jakimiuk walczyła o życie w szpitalu, jednak coraz więcej rzeczy wskazywało na to, że ktoś tego życia usiłuje ją pozbawić. Zakochany bez pamięci Oleg Wasiljew nagle zaczął się jawić jako krwiożerczy zwyrodnialec.

– Reniu... – wyszeptała oszołomiona Śródka. – Czy ty myślisz, że ten Oleg może mieć coś wspólnego z Maxymilianem?

– Ja już teraz wszystko myślę, ciociu, uczciwie mówiąc. Z jednego Maksymiliana zrobiła się całkiem niezła heca. Mafia, Rosjanie, dzieła sztuki. W niezłe bagno wdepnęłaś.

Agata rozparła się w fotelu i zamknęła oczy. Niezłe bagno, w rzeczy samej. A do tego ta cholerna telewizja!

Do uszu kobiet doleciało szczebiotanie i do hallu w otoczeniu roześmianych dziewcząt wkroczył Alan Szpila. Schowana za wysokim oparciem fotela Agata pozostawała dla niego niewidoczna, ale Renata

wychyliła się i natychmiast spotkało ją pożądlive spojrzenie mężczyzny. Spanikowana cofnęła się, jednak było już za późno.

– Poczekajcie, drogie panie, muszę się przywitać z nieznajomą – rozległ się aksamitny baryton.

Renata spojrzała na ciotkę w popłochu, ale nie znalazła u niej pomocy. Przeciwnie: Agata wyglądała, jakby chciała się wtopić w mebel.

– Alan Szpila – przedstawił się celebryta, wyciągając do prokuratorce rękę. – Jak to się stało, że nie zauważyłem pani wcześniej?

Zanim Renata się odezwała, Szpila dostrzegł skuloną w fotelu Agatę i uśmiech w mgnieniu oka zniknął z jego twarzy.

– Agata Śródka – wycedził, mroząc restauratorkę wzrokiem.

– A kogo się spodziewałeś? Króla Dubaju?

– Jak zawsze niezwykle uprzejma.

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Chciałeś tu czegoś?

– A ta urocza niewiasta jest...? – Szpila postanowił zignorować obcesową zaczepkę Śródki.

– Moją siostrzenicą i radzę ci trzymać łapska z dala od niej.

Błysk w oku Alana Szpili zgasł tak szybko, jak się pojawił. Rodzina Agaty Śródki była tak samo toksyczna jak restauratorka, więc stanowczo będzie trzymał łapska z dala. Chociaż kusiło go bardzo, bo siostrzenica trafiła się Śródce wyjątkowo urodziwa.

Uklonił się i odmaszerował ku radości niecierpliwących się dziewcząt z telewizji.

– O matko z córką, jaki buc! – szepnęła Renata do ciotki.

– Łagodnie to ujęłaś, ja zwykle nazywam go inaczej, ale staram się dbać o kulturę języka.

– Ciociu, ja muszę wracać. Moi ludzie przeświełają Wasiljewa i szukają powiązań Maxymiliana. Dopóki czegoś nie ustalimy, jesteśmy w martwym punkcie.

– Idź, dziecko, zaraz tu się zacznie prawdziwy cyrk. I jeszcze ten Michel, gdzie on się całymi dniami pałęta?

W złą godzinę Agata wypowiedziała słowa o rozpoczęciu cyrku. Dokładnie w chwili, w której Renata opuściła pałac, na parkingu pojawiły się samochody z załogą kucharzy, ekipa telewizyjna wróciła z przechadzki, Sylwia Kubacka urządziła karczemną awanturę Alanowi Szpili, a na domiar złego Michela ukąsiła końska mucha, więc podniósł larum, jakby ziemia się rozstąpiła.

– O nie, to nie na moje nerwy – uznała Agata i pognęła do kuchni, gdzie miała nadzieję się uspokoić. Widziała gdzieś jeszcze jedną butelkę wódki, nada się w sam raz.

## Rozdział XLIV. Przełom jak ta lala!

Sierżant Żabka nie wsiadł do samochodu Miziacza, bo coś mu właśnie przyszło do głowy.

Dojrzał Michela i Jewgienija kłócących się nad jakimś krzakiem i postanowił sprawdzić swoją teorię. Ruszył w kierunku mężczyzn, którzy zaciekle na siebie krzyczeli. Jeden po francusku, drugi po ukraińsku, więc zabawa musiała być przednia.

– Halo, halo! Dzień dobry! – Żabka pomachał do nich przyjaźnie.

Naburmuszeni mężczyźni odkrzyknęli coś niezrozumiale, ale przynajmniej przestali się wydzierać.

– Dzień dobry panom, a co to za awanturka tak z samego rana?

– To tehas policja nawet spohami między phacodawcą i phacownikiem się zajmuje?

– Jak trzeba, to się zajmuje, porządek musi być! – zażartował sierżant. – Proszę się pogodzić, bruderszafcik wypić i wszystko będzie cacy.

– Zająłby się pan lepiej tą taśmą, siehżancie, chyba że planujecie Maxymiliana z powhotem zakopać.

– Oj, żarty się pana trzymają, panie Michelu, Ale skoro pan już Maxymiliana wywołał, to chciałbym się zapytać, kto tu we wsi może wiedzieć, gdzie mieszka ten ogrodnik, Edmund.

Michel skrzywił się brzydtko i popatrzył na Jewgienija. Ten pokręcił głową, rozkładając ręce.

– Czyli nie wiedzą panowie, szkoda. Warto było spróbować. To do widzenia. – Żabka ruszył do samochodu.

– Na pana miejscu zapytałbym w sklepie. Wszystkie plotkahy mają tam biuho podawcze.

Sierżant odwrócił się i przesłał Michelowi buziaka, wskutek czego pół-Francuz oblał się pąsem. Żabka puścił się biegiem, dopadł drzwi



samochodu i wrzasnął do Miziacza:

- Jedziemy do sklepu!
- To nie może poczekać? Zrobisz sobie zakupy po pracy.
- Nie na zakupy, do biura podawczego! Ruszaj!

Skonsternowany Miziacz uruchomił silnik, a Żabka włączył mapę, kierując szefa do najlepszego źródła informacji. Kiedy zaparkowali samochód w niedozwolonym miejscu, rybi młodzieniec wyskoczył z wozu i pognął do sklepu. Po minucie zjawił się z powrotem, a jego twarz promieniała ze szczęścia.

- Jezus Maria, Marcin, normalnie szóstkę w totolotka trafiliśmy.
- Czy ty mi możesz wytłumaczyć, dlaczego ja łamię przepisy, żebyś ty mógł sprawdzić kupon totolotka?

– To metafora była, żadnego kuponu nie miałem, dawno przestałem w to grać. Ale mamy go!

- Kogo znowu mamy?
- Mamy adres Edmunda!
- O rany, Lesiu! To trzeba było tak od razu!

Ruszył z piskiem opon, zapominając nawet o spojrzeniu w lusterka w celu bezpiecznego włączenia się do ruchu. Na szczęście nic nie jechało, a patrole policji bez powodu się tu nie zapuszczały.

Entuzjizm Żabki był wyjątkowo zaraźliwy, toteż szybko udzielił się Miziaczowi, który zaczął już fantazjować o dniu, w którym odbierze od komendanta nagrodę za złapanie międzynarodowego przestępcy bez wątpienia powiązanego z wielką szajką przemytników dzieł sztuki. Może nawet medal od prezydenta za to dostanie?

Dom wskazany przez właściciela sklepu z artykułami głównie monopolowymi odnaleźli bez trudu. Zaparkowali w nieznaczej odległości, żeby nie budzić niepotrzebnej sensacji, i przeszli pieszo, podziwiając przy okazji uroki obsypanych kwieciami ogrodów.

Dom był stary, stolarka okienna wymagała wymiany, rdza przeżarła rynny, a tynk odchodził z elewacji jak skóra po nadmiernym opalaniu. Tylko dach był nowy, niewątpliwie niedawno położony, w dodatku trochę nierówno.

Zapukali do drzwi, ale odpowiedziała im cisza. Zapukali raz jeszcze – dalej nic. W końcu Miziacz rąbnął mocniej i krzyknął:

– Policja! Otwierać!

Drzwi sąsiedniego domu uchyliły się i pojawiła się w nich wystraszona kobieta z niemowlęciem na ręku.

– Panowie do pana Edmunda? – zapytała cicho.

– Do Edmunda. Nie ma go? – Miziacz poczuł, jak fantazja o orderach powoli się rozmywa.

– Jest, ale chory. Wstawać nie może, niech panowie wejdą, on nie zamyka.

Żabka nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Gdy ostrożnie weszli do środka, natychmiast uderzył ich zapach stęchlizny. W domu panowała całkowita cisza, a zasłonięte okna nie wpuszczały światła.

– Panie Edmundzie? Jest pan tu?

– Jestem, kto tam? – odpowiedział im słaby głos.

– Policja, chcieliśmy z panem porozmawiać, gdzie pan jest?

Sunęli długim korytarzem, po drodze zaglądając do każdego pomieszczenia. Na końcu znaleźli się w pokoju, którego niemal całą powierzchnię wypełniało łóżko. Leżący w nim mężczyzna wyglądał blado.

– Pan Edmund? – zapytał miękko Żabka.

– Mijas. Edmund Mijas – potwierdził, charcząc odrobinę, blady siedemdziesięciolatek.

– Możemy zająć panu chwilę?

Staruszek skinął głową i spróbował się podnieść. Żabka przyskoczył do niego, dźwignął go i usadowił, podkładając pod plecy poduszkę.

– Panowie w sprawie tego trupa? – domyślił się. – Zastanawiałem się właśnie, kiedy do mnie dotrzecie.

– Czyli przyznaje się pan? – Miziacz przystawił sobie krzesło i usiadł.

– A czemu miałbym się nie przyznać? Przecież go znalazłem.

– Ktoś widział, jak go pan znalazł? – Żabka starał się mówić łagodnie, bo widok staruszka ścisnął go za serce.

– Pani Katarzyna. Razem go znaleźliśmy.

– A znaleźli państwo coś przy nim? Coś, czego nie zostawiliście w dole dla policji? – Miziacz starał się jak mógł nie naprowadzać świadka, ale słabo mu to wyszło.

– To i o tym już wiecie. W sumie to dobrze, mówiłem pani Katarzynie, że trzeba było od razu oddać, a najlepiej zostawić.

– Może pan powiedzieć, co to było? – poprosił sierżant.

– Paragon, taki ze sklepu. Pani Katarzyna zabrała, sam nie wiem po co. – Staruszek rozkaszał się nagle. – Gdyby nie choroba, to przekonałbym ją, żeby zaniósła na policję, ale zaniemogłem.

– A co panu jest, tak właściwie?

– Podagra. Tak mi stawy spuchły, że o chodzeniu nie ma mowy. Diabli nadali!

Żabka rozglądał się z ciekawością po pokoju, który urządzony był skromnie, lecz z gustem. Na ścianach wisiały obrazy, a obok łóżka stał regał wypchany książkami.

Miziacz zajął się sporządzaniem protokołu z przesłuchania, a Żabka postanowił rozejrzeć się na zewnątrz. Dom Edmunda Mijasa sąsiedował z eklektyczną chatką wyglądającą jak zły sen architekta. Najstarsza jej część musiała powstać w tym samym okresie co dom ogrodnika, dwie dobudówki pochodziły zaś z czasów bardziej współczesnych. Przed domem stał czarny van z przyciemnionymi szybami. Zawodowa ciekawość Żabki kazała mu przyjrzeć się samochodowi, który zdecydowanie nie pasował do krajobrazu. Niczego niepokojącego nie dostrzegł, ale z rozpędu przeszedł

się wzdłuż domu, podziwiając szkaradność budowli. Zajrzał do drewnitni i już miał wracać, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Podeszedł do sterty kartonów, obejrzał jeden z nich i natychmiast wpadł w szał fotografowania. Serce waliło mu jak wściekłe, miał wrażenie, że zaraz wykorkuje, adrenalina szumiała mu w głowie, a dopamina tryskała uszami.

Puścił się biegiem, wpadł zziębnięty do domu Edmunda i potrzebował chwili, żeby zacząć mówić.

– Pa...panie Edmun...Edmundzie – dyszał ciężko. – Kto mieszka w tamtym domu?

– W tym obok? – zdumiał się staruszek.

– Tak, w tym brzydkim.

– A, to Maryla Rójkowa, też schorowana, biduła.

– To do kogo należy ten van? – dopytywał sierżant.

– Koledzy jacyś do jej syna, Sylwestra, przyjechali. Ze dwa dni temu będzie. Okropnie hałasują.

– Wie pan, gdzie możemy znaleźć tego Sylwestra? – Żabka chwycił trop i ani myślał go wypuścić.

– On to chyba pracy stałej nie ma, przez lata w Warszawie mieszkał, ale jak się Marylka pochorowała, to przyjechał. Dobry z niego chłopak i uczynny. Dach mi naprawił i innym sąsiadom pomaga.

Miziacz co prawda nie rozumiał, z czego wynika podniecenie Żabki, ale wiedział, że sierżant bez powodu by się tak nie ekscytował. Skończył protokół, podsunął Mijasowi do podpisu, życzył ogrodnikowi powrotu do zdrowia i ruszył do samochodu. Żabka uściskał dłoń staruszka, choć miał ochotę go wyczałować, i puścił się pędem za podkomisarzem.

– Jedziemy, Miziu, do firmy! – zaordynował wbrew hierarchii. – Normalnie przełom jak ta lala!

– Wsiadaj, powiesz mi w drodze. Obyś miał rację, Lesio!

## Rozdział XLV. Możliwe, że moja godność umarła

Agata bez słowa wyjaśnienia podeszła do lodówki, odnalazła w niej butelkę wódki, przez chwilę zastanawiała się nad wielkością kieliszka, po czym wyciągnęła szklanę i nalała do niej solidną porcję okowity.

Dwaj kucharze spojrzeli na siebie wymownie, nie skomentowali jednak, co było wyjątkowo mądrym posunięciem. Michel aczkolwiek aż tyle taktu nie miał. Wpadł do kuchni, wrzeszcząc jak opętany, a jedyną osobą, która cokolwiek z tych wrzasków rozumiała, był on sam.

– Uspokójże się i przestań się wydzierać, bo zaraz wszystkie okoliczne psy zaczną wyć – zrugła go Agata.

– Taka jesteś mądra? Tak? To bahdzo phoszę, może pozwolisz się uzheć musze końskiej i zobaczymy! – pieklił się Blanc, skacząc na jednej nodze.

– Oj, kiepsko. – Jeden z kucharzy pokiwał głową z litością. – Okropnie boli to cholerstwo.

– I się paprze – dodał drugi.

– No widzisz? Widzisz? Tylko ty taka nieczuła jesteś, jak bahbarzyńca!

– Och, zamknij się już, Michelu – zirytowała się Śródka. – Większe problemy mam na głowie niż twoje kuku. – Wlała do ust solidny łyk alkoholu, po czym lekko się skrzywiła.

Blanc postawił ugryzioną nogę na podłodze i spojrzał na szefową z nienawiścią.

– No pięknie. Widzę, że nałóg kwitnie – zaszydził.

– Czy to jest zbrodnia być kobietą po czterdziestce i wypić trochę alkoholu? – warknęła.

– Thochę? Ty już szklankami chlejesz! Nohmalny wysoko funkcjonujący alkoholik.

Agata tym razem nie zaszczyciła Michela ripostą; zamiast tego wypić całkiem spory łyk wódki. Dwaj kucharze zastygli, obserwując rozrywkową

scenę, przez co jeden z nich nie zauważył, że kawałek mięsa upadł mu prosto na palnik.

– Czy ja wyczuwam fetoh spalonego khowiego thuchła? – Blanc ruszał nozdrzami jak królik na trawie pełnej mleczy.

– O cholera! – wrzasnął sprawca całopalenia.

– Zawsze to lepiej niż ścierka – zauważyła Śródka. Pech chciał, że ten sam kucharz dzień wcześniej podpalił ściereczkę. – Dalej boli, Michelku? Czy podmuchać?

– Ty whedny babsztylu! Zobaczysz, kahma do ciebie whóci i jeszcze tego pożałujesz.

– Bardzo możliwe, mój skarbie, bardzo możliwe. A tymczasem pożałuj swojej matki i zanieś jej flaczki. Może się lepiej poczuje.

Rozdarty między miłością do rodzicielki a pogardą dla jej pijackiego wybryku Michel przez chwilę prowadził wewnętrzną dyskusję. Miał ochotę jeszcze trochę powyżywać się na szefowej, bo sprawiało mu to satysfakcję i przynosiło ulgę. O ugryzieniu zupełnie zapomniał. Ostatecznie poczucie synowskiego obowiązku zwyciężyło i z wielkim fochem odebrał od kucharza miskę z zupą, po czym dumnym krokiem wymaszerował z kuchni.

W tej samej chwili drzwi od zaplecza otworzyły się na oścież i do pomieszczenia wdarła się banda hałaśliwych kucharzy z poznańskiej restauracji Agaty. Każdy z nich niósł skrzynkę z warzywami i innymi składnikami potrzebnymi do przygotowania przyjęcia.

– Skąd wiedzieliście? – Śródka rozpromieniła się w mgnieniu oka i rzuciła na szyję szefowej kuchni.

– Michel wysłał nam menu i kazał zrobić zakupy. Nie mówił ci? – odparła zaskoczona brunetka ze ślicznymi dołeczkami w policzkach.

Wzruszenie odebrało Agacie mowę. Kochany chłopak z tego Michela, cóż ona by bez niego poczęła?

Po pięciu minutach w kuchni zrobiło się stanowczo za ciasno, a gwar uniemożliwiał skupienie. Zbliżała się już pora rozpoczęcia nagrań do programu, a w tym celu należało przygotować jego gwóźdź.

– Wyjdźcie stąd na razie, wszyscy! – zarządziła Agata tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zresztą nikomu nie przyszło do głowy, żeby się jej sprzeciwić. – Potrzebuję przez chwilę mieć pustą kuchnię. I zawołajcie mi tu kelnera.

Posłuszni kucharze opuścili pomieszczenie gęsiego, a Agata otworzyła lodówkę. Nawet zadzierając głowę, nie była w stanie dojrzeć leżącego na najwyższej półce arcydzieła sztuki cukierniczej, żeby zaś je wyjąć, potrzebowała stołka. Podsunęła go pod samą chłodziarkę, stanęła na nim i zamarła. Półka była pusta.

Agata ze zdumieniem przetarła oczy i zajrzała ponownie. Bez zmian – jaja wciąż nie było. Zrobiło jej się nagle duszno. Zeszła ze stołka i zaczęła się wachlować nieszczególnie czystą ściereczką. Usiłowała prześledzić przebieg poranka i przypomnieć sobie, czy w jakimś amoku przypadkiem nie umieściła jaja gdzie indziej. W przypiływie adrenaliny zaczęła otwierać wszystkie szafki, schowki, zajrzała do każdego kąta. Ani śladu czekoladowego jaja Fabergé.

– Matko jedyna, to jakiś obłąd – szepnęła do siebie i opadła na stołek.

Drzwi do kuchni się uchyliły i Rójek nieśmiało przekroczył próg.

– Wołała mnie szefowa? – zapytał grzecznie.

– Wołałam, ale teraz to ja już sama nie wiem po co. Może pan zajrzeć na najwyższą półkę lodówki?

Chłopak podszedł do chłodziarki, stanął na palcach i obrzucił pustą półkę spojrzeniem.

– Na coś konkretnie mam zwrócić uwagę?

– Jakby pan zauważył różowe jajo wielkości melona, udekorowane perłami i diamentami, to proszę krzyknąć.

Rójek milczał, bo żadnego jaja nie dostrzegł, a już na pewno nie różowego. Zaraz, zaraz... Udekorowane perłami i diamentami? W lodówce?

– Jeśli nie ma go tutaj, to gdzie jest? – zapytał, drapiąc się po głowie.

– To jest bardzo dobre pytanie, panie Sylwestrze, na które niestety nie znam odpowiedzi.

Zapadła cisza. Agata siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w drzwi, a Rójek przetwarzał informację, która prawdopodobnie oznaczała sromotną klęskę jego planu. Czy to możliwe, żeby ktoś ukradł jajo, zanim on to zrobił? Kto poza nim wiedział, że ono tu jest? I dlaczego miałoby być schowane w lodówce?

– To ja już pójde, skończę nakrywać stoły – oznajmił cicho, wycofując się rakiem z kuchni.

Śródka nie zareagowała, wciąż pochłonięta własnymi myślami. Drzwi za Rójkiem się zamknęły, lecz za chwilę znów stanęły otworem, wpuszczając do środka Michela.

– Umahł ktoś? – zapytał na widok bladej Agaty.

– Możliwe, że moja godność.

– Phi! Ją to już dawno hozdziobały khuki i whony.

– Niewykluczone, że masz rację.

Michel spojrzał na swoją szefową z wyjątkową uwagą. Znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że coś jest nie w porządku.

– Co ci jest, Agato? Źle się czujesz?

– Adekwatnie do sytuacji. To dzień mojej hańby.

– Upiłaś się, czy co? Co ty wygadujesz?

– Jeszcze nie, ale chyba zaraz to zrobię, bo nic innego mi nie pozostało.

Blanc zmartwił się nie na żarty. Nigdy wcześniej nie widział Agaty w takim stanie. Nawet po jej rozwodzie z niewiernym małżonkiem. Sytuacja wydawała się dramatyczna, a żadne słowa pocieszenia nie



działały. Nie wiedząc, co robić, Michel zmusił Śródkę do wyjścia na spacer, licząc, że świeże powietrze pomoże jej dojść do siebie.

Chwilę potem do kuchni wrócili kucharze – w samą porę, bo flaki zaczęły się przypalać.

## Rozdział XLVI. Pandemonium

Sylwester Rójek postanowił na razie przemilczeć temat jaja. Zresztą nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć szefowi, bo sam jeszcze nie zdążył ułożyć sobie tego w głowie. W milczeniu przystąpił do nakrywania ostatnich stołów.

– Co robimy z tymi fotelami? – zapytał Wąty, bo cztery uszaki pasowały do wystroju jak pięść do nosa.

– Trzeba je gdzieś przenieść – stwierdził odkrywczo Kunicki.

– Znakomity pomysł, panie Andrzejewski – wycedził Rójek.

Kunicki już miał ochotę przywołać chłopaka do porządku, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że obecnie nie ma takiej mocy. Przeklął więc tylko pod nosem i wrócił do układania sztućców. Przy okazji odkrył, że to bardzo relaksujące zajęcie.

Rójek rozglądał się w poszukiwaniu miejsca dla czterech zbędnych elementów umeblowania i jedyne, co przyszło mu do głowy, to wystawić je na dziedziniec. Z pomocą Wątego, po niemal kwadransie walki, udało mu się pozbyć uszaków z jadalni. Ustawili je obok stołu na dziedzińcu, po czym musieli odpocząć, a najlepiej odpoczywa się w wygodnych fotelach. Słońce grzało coraz mocniej, przez co Wąty odczuwał narastający dyskomfort, jego łysa głowa nagrzewała się bowiem w okamgnieniu.

– Ale piecze – stwierdził.

– No.

– Udaru można dostać – martwił się grubasek.

– No.

– Chyba pójdę po czapkę.

– No.

Wąty podniósł się z fotela i niemrawo ruszył do pałacu w poszukiwaniu swojej czapki z daszkiem, którą zostawił na wieszaku w hallu. Na szczęście

nikt się na nią nie połasił, wisała więc dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Przykrył czapką rozgrzany skalp i zadowolony wrócił na wygodny fotel. Rójek wystawiał swoją chłopięcą buzię do słońca; sprawiał wrażenie całkiem zrelaksowanego. Ptaszki radośnie ćwierkały, słońeczko przygrzewało, zrobiło się błogo i po chwili obaj kelnerzy zapadli w drzemkę.

\*

Tymczasem Agata Śródka spacerowała pod ramię z Michele, który nie na żarty przejął się stanem swojej chlebobawczyni.

– Lepiej ci thochę?

– Ani-ani.

– Może chcesz sobie usiąść na thawce?

– Żeby mnie mucha końska w rostbef uchlała?

– W sumie hacja. To pospacehujmy jeszcze, pogoda piękna, może cię zhelaksuje.

Agata skinęła głową i dała się prowadzić alejkami gęsto obsadzonymi berberysem. Nagle stanęła jak wryta i nadstawiła uszu.

– Słyszysz? – szepnęła.

Michel wyteżył słuch. Gdzieś niedaleko dwie osoby dwojga płci zajadle się kłóciły.

– To Szpila! – stwierdziła Śródka. – I jakiś babon. Chodź, podejźmiemy bliżej.

Pochyleni zaczęli skradać się w stronę, z której dolatywały dźwięki ożywionej dyskusji. Eufemistycznie rzecz ujmując. Przycupnęli za krzewem zupełnie niewidoczni dla osób dramatu i bezczelnie podsłuchiwali.

– To ta dziennikahka! – syknął Blanc. – Ale słownictwo...

– Cicho! Nie dosłyszałam ostatniego słowa.

– Nazwała go synem kobiety lekkich obyczajów.

– No popatrz, jaka bystra. Może nawet ją polubię.

Wymiana zdań pomiędzy Alanem Szpilą i Sylwią Kubacką rozkręcała się na dobre, a poziom słownictwa stukał w dno od spodu. Niektóre inwektywy padające z ust kobiety z pewnością mogłyby pojawić się w słowniku neologizmów, były bowiem wyjątkowo nowatorskie. Ostatecznie kobieta rzuciła w kierunku blogera wiązanke, od której uszy wiodły, przy okazji życząc mu rzeżączki, syfilisu i nieuleczalnej opryszczki, po czym puściła się biegiem w stronę parku, zalewając się łzami rozpacz.

– Ale numer! – powiedziała Agata z zachwytem. – To była najwspanialsza scena zerwania, jaką w życiu widziałam! Szekspirowski dramat jak się patrzy!

– Widzę, że humoh ci się pophawił?

– I to jak! Czuję, że gwiazda blogosfery straciła swoją pozycję gwiazdy programu, dobrze mu tak, kanalii przebrzydłej.

– Trzeba było od hazu mówić, że to o tego bubka chodzi, kazałbym Jewgienijowi się nim zająć.

– Nie pleć bzdur, Michelku, cywilizowani ludzie nie posuwają się do rękoczynów, nawet wobec kanalii. Jak widać, karma wraca. Ciekawe, jak teraz będzie gwiazdorzył, bez poparcia swojej kochanicy.

Agata wyprostowała się z kucek i w zupełnie odmienionym humorze ruszyła w stronę pałacu.

– Idziesz? – rzuciła do Michela. – Muszę przygotować plan B, na szczęście mam już pomysł.

Nie mając pojęcia, na czym polegał plan A, Michel planem B nawet nie próbował zaprzętać sobie głowy. I tak za dużo na niej obecnie miał, wliczając matkę na kacu, szefową alcoholiczkę, niedorobionych kelnerów z łapanki i hałaśliwą ekipę telewizyjną. No i policjantów, choć z nimi chwilowo miał spokój. Jak to mówią: co z oczu, to z serca.

Do kuchni wrócili tą samą drogą, którą ją opuścili, czyli od zaplecza. Z trudem przedarli się przez ośmioosobową kucharską gawiedź i buchające

z garnków kłęby pary. Praca wrzała, aż miło było popatrzeć. Michel wymienił kilka uszczypliwości z poznańskimi kolegami, po czym przypomniało mu się, że obiecał zajrzeć do matki. Wybiegł więc jak oparzony, zostawiając zdumionych kucharzy z rozdziawionymi ustami.

Agata tymczasem przemyśliwała plan B, który był niczym innym jak powtórzeniem planu A na żywo. Skoro udało jej się ozdobić jajo w ciągu jednej nocy, dlaczego miałoby się nie udać ponownie, tyle że na wizji? W lodówce wciąż bezpiecznie spoczywało osiem połówek czekoladowych jaj, co dawało po jednym jajku dla każdego uczestnika konkursu plus jedno w zapasie na wszelki wypadek. Niewątpliwie zaginięcie wzorcowego dzieła należało do kategorii wypadku. No tak, tylko gdzie Michel upchnął te wszystkie ozdoby?

Lawirując między roześmianymi kucharzami, znów zajrzała do każdej szafki i przetrząsnęła wszystkie szuflady. Na szczęście tym razem znalazła to, czego szukała. Perfekcjonista Michel poustawiał wszystkie słoje, słoiczki, pudełka i tubki w ogromnej szafie na zapleczu, posegregował je nawet kolorami. Zadowolona ze swojej pomysłowości Śródka spakowała cały ten nabój do kartonu, wzięła trzy głębokie wdechy, poprawiła grzywkę, przeglądając się w stalowej pokrywce garnka, i wyruszyła na podbój telewizji.

\*

Mikołaj Kunicki vel Marek Andrzejewski, były przedsiębiorca pogrzebowy, początkowo nie zauważył przedłużającej się nieobecności dwóch pozostałych pseudokelnerów. Z niekłamaną przyjemnością przecierał srebrne sztuce, układał je równiutko jak od linijki, strzepywał paproszki z obrusów i pieczołowicie układał serwetki. Kiedy dotarł do ostatniego stolika, zorientował się, że chyba kogoś brakuje. W jadalni poza nim nie było nikogo, ten wymuskany Francuzik pobiegł w popłochu na

górze, a telewizja kończyła omawianie scenariusza, czekając na pierwszy klaps.

– Gdzie ich poniosło? – zastanawiał się na głos Mikołaj.

W końcu uznał, że po dobrze wykonanej robocie należy mu się odpoczynek, ruszył więc na zewnątrz, aby poddychać świeżym wiosennym powietrzem. Ledwo znalazł się na dziedzińcu, zalała go fala wściekłości.

– A to łajzy skończone! – syknął, zbliżając się do foteli, na których Wąty i Bidul ucinali sobie drzemkę. – To ja tu haruję jak wół, a panowie szlachta mordy do słońca wystawiają. Wywczasów im się zachciało, nierobom chędożonym!

Zamierzał zająć od tyłu i ryknąć tuż nad ich głowami, żeby dostali nauczkę, jednak nie zdążył zrealizować swojego niecnego planu, bo na dziedzińcu pojawiła się kobieca postać. Miedzianowłosa prokuratorka zmierzała w kierunku wejścia zwawym krokiem, głośno stukając obcasami eleganckich bucików. Kunicki ukucnął za oparciem fotela, choć właściwie nie wiedział, dlaczego miałyby się chować. Odruch taki. Zawodowy.

Renata minęła śpiących kelnerów i zatrzymała się nagle. Coś jej błysnęło, w ułamku sekundy poczuła ukłucie intuicji. Wąty chrapnął głośno, przez co już całkiem upodobił się do wieprza, a kobieta wzdrygnęła się z obrzydzeniem i pośpieszyła do środka.

Kunicki uznał, że jednak ryczeć nie będzie, ochrzani leniów później, bo z pałacu zaczęły dobiegać głosy zwiastujące początek przedstawienia. Bardzo go intrygowało, co tam się szykuje, wrócił więc do środka i przycupnął w kącie za jednym ze stolików, skąd miał doskonały widok na plan zdjęciowy.

Michel, który przed chwilą wyszedł od matki z opróżnioną miską po flaczkach, także postanowił się zatrzymać, ciekaw, czy podsłuchana wcześniej kłótnia kochanków wybuchnie na nowo. Osobiście bardzo na to

liczył. Oparł się o barierkę i chciwie chłonał każdy dochodzący z sali szmer.

Renata z ciotką wyszły z kuchni, taszcząc ogromne kartony pełne cukierniczych ponderabiliów, i zmierzały prosto na plan, rytmicznie stukając obcasami na kamiennej posadzce. Mijając Michela, Agata zerknęła podejrzliwie na miskę i z zadowoleniem skonstatowała, że Delfina pochłonięła całą jej zawartość.

Jak gdyby ściągnięta myślami Śródki, na szczycie schodów pojawiła się smukła postać pani Blanc, wyprostowana niczym struna i odziana w jedwabny szlafrok, w którym wyglądała wyjątkowo szykownie. Rytmiczne stukanie obcasów towarzyszące każdemu jej ostrożnemu i z pewnością wystudiowanemu wolnemu krokowi zwróciło uwagę Agaty i Kunickiego. Jeszcze bardziej ich uwagę zwróciła trzymana przez nią taca.

Delfina zaś, świadoma wrażenia, jakie musi wywierać, zerknęła z satysfakcją na syna, jego pracodawczynię, a następnie spojrzała nieco dalej i zastygła, zatrzymując wzrok na siedzącym przy stoliku Mikołaju.

W ułamku sekundy względnie spokojna atmosfera przeobraziła się w pandemonium.

– Moje jajo!!! – krzyknęli równocześnie Śródka i Kunicki.

– Moja *maman*!!! – wrzasnął Michel.

– Mój Andrzej!!! – zawołała w ostatniej chwili Delfina, zanim upuściła srebrną tacę i rzuciła się, by ją łapać w locie. Zahaczyła szpicem pantofla o brzeg szlafrocza i runęła jak długa, wydając z siebie przerażający wrzask.

– Stój, bo strzelam! – ryczał na dziedzińcu Miziacz.

Beładnie machając rękami, Delfina wysunęła stopę do przodu, zahaczyła szpicem pantofla o krawędź szlafrocza i runęła jak długa, wydając z siebie przerażający wrzask. Zaraz po nim nastąpił okropny brzdęk, a potem było już tylko gorzej.

Agata Śródka upuściła karton, który grzmotnął o podłogę z niewiarygodnym brzdękiem tłukących się słoików. Michel zaczął piszczeć na zmianę *maman!*, *merde!*, *au secours!*, Agata wpadła w histerię, różowe jajo wielkości melona ozdobione perłami i diamentami stoczyło się ze schodów i roztrzaskało tuż pod nogami Śródki, a na zewnątrz rozległ się huk wystrzału.

Renata trwała przez chwilę w osłupieniu, przez ułamek sekundy wahała się, komu powinna najpierw pomóc, i ostatecznie ruszyła na dziedziniec, nie wypuszczając z rąk kartonu. Potknęła się na nierównym bruku i w jednej chwili padła jak długa, wyrzucając siłą rozpędu zawartość pudła. Puszczone samopas słoiki potoczyły się po dziedzińcu i zatrzymały dopiero na trawniku, dokładnie w miejscu, w którym sierżant Żabka skuwał kajdankami Rójka, a Miziacz dociskał kolanem dwa razy większego od siebie Liszkę.

Na tę scenę trafiła wracająca z parku Sylwia Kubacka i ponownie zalała się łzami.

– Czemu pani płacze? – zatroskała się Renata, podnosząc się z kolan.

– Bo znowu straciłam szansę na materiał życia. Nigdy nie zostanę prawdziwą reporterką!

– Faktycznie tragedia – zakpiła prokuratorka. – Niech pani idzie do środka, tu się odbywa aresztowanie. Cholerny bruk! – syknęła na widok zdartego kolana.

– Mówiłem, że to nieodpowiedni strój do pracy w terenie. – Miziacz wyszczerzył się do Renaty.

Duma go rozpierała, mało brakowało, a rozsadziłyby guziki koszuli.

– Zamknij się, Miziacz – fuknęła. – Zabierzcie ich do środka, chyba mamy coś do omówienia.



## Rozdział XLVII. *Comme c,est beau!*

Delfina Blanc rzadko piła alkohol w ilościach przekraczających kieliszek wina, zatem stan, w jakim obudziła się tego ranka, był jej wyjątkowo obcy. Czowała się jak zewłok i powoli żegnała z życiem, nie widząc szans na poprawę. Z każdą minutą głowa bolała ją coraz bardziej, wciąż ją mdliło, a kolejne próby przyjęcia pionu kończyły się sromotną klęską.

Wbrew wcześniejszym zapewnieniom Agaty ani sen, ani aspiryna nie przyniosły jej spodziewanej poprawy. Wciąż bliżej jej było do śmierci aniżeli odzyskania sił.

Kiedy zauważyła szklankę z wodą i leżące obok niej aspirynę oraz dwie tabletki rozpuszczalnych elektrolitów, niemal udało jej się uśmiechnąć. Wykrzesła skądś resztkę sił, wrzuciła wszystkie pastylki do wody i odczekała, aż przestaną syczeć. Następnie wypła duszkiem gorzko-kwaśną zawartość szklanki i niemal natychmiast zrobiło jej się lepiej.

Leżała z zamkniętymi oczami, czekając, aż umysł zacznie funkcjonować, gdy drzwi uchyliły się lekko i do środka zajrzał Michel.

– *Maman?* – zapytał cicho.

– *Oui, mon chere* – odpowiedziała, chrypiąc.

– Jak się czujesz?

– Coraz lepiej, Bogu, Agacie i aspirynie dzięki.

Michel wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do łóżka, pogłaskał matkę po czole i stwierdził z troską:

– *Mon pauvre ivre*<sup>9</sup> – zlitował się. – Tak się kończy picie z Agatą Śródką.

– Ona nie zmuszała mnie do picia, a gdyby nie jej troska i dwie tabletki aspiryny, pewnie właśnie szykowałbyś mnie do ostatniej posługi.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał z troską.

– Tak. Przynies mi jajo, srebrną tacę i rolkę jadalnego złota. Obiecałam jej pomoc w przygotowaniu ekspozycji, a ja dotrzymuję słowa.

Michel skinął głową i poszedł na dół, by po dwóch minutach zjawić się z zapierającą dech w piersiach jadalną repliką jednego z najpiękniejszych dzieł Fabergé.

Po wyjściu syna pani Blanc natychmiast zabrała się do robienia złotych nóżek, na których jajo mogło się prezentować w pełnej krasie. Skończyła, dopiero kiedy Michel zjawił się z miseczką wybornych flaczków.

– *Comme c'est beau!*<sup>10</sup> – zachwycił się konsjerż.

– Prawda? Doskonale jej to wyszło – przyznała Delfina. – Zjem flaczki i zaniosę jajo na dół.

Skonsumowawszy pożywne *tripes de boeuf*, poczuła się znakomicie – po kacu nie było już ani śladu. Ubrała się pośpiesznie, wyobrażając sobie miny ludzi, kiedy zobaczą dzieło Agaty. Ręce już jej się nie trzęsły, więc chwyciła tacę, na której stało różowe cudo, i ruszyła do jadalni, zamierzając zrobić efektowne *entrée*.

Na półpiętrze zatrzymała się, wzięła trzy głębokie wdechy, przywołała na twarz czarujący uśmiech i ruszyła pewnym krokiem na dół. Podniosła wzrok, omiotła nim hall i fragment jadalni i nagle przy stoliku wciśniętym w kąt dostrzegła kogoś, kto według jej wiedzy od kilku tygodni przebywał w Szwajcarii. Ów ktoś również na nią patrzył, a właściwie na to, co niosła na tacy.

– Moje jajo!!! – krzyknęli równocześnie ktoś i Agata Śródka.

– Mój Andrzej!!! – krzyknęła przeraźliwie Delfina, wypuszczając tacę z rąk.

Taca uderzyła o schody z wyjątkowo głośnym brzdękiem, Delfina zawadziła nogą o krawędź jedwabnej podomki i rozpętało się piekło.

\*

Sierżantowi Żabce nie dawała spokoju świadomość, że dwóch tajemniczych mężczyzn z Ikei może znajdować się tuż pod jego nosem,

a on nie jest w stanie ich znaleźć. Irytowało go to wyjątkowo, postanowił więc tak długo wpatrywać się w ich podobizny, aż po zamknięciu oczu będzie potrafił opisać nalaną twarz częściowo ukrytą pod daszkiem czapki i anielskie oblicze w aureoli złocistych kędziorów wysypujących się spod kaptura bluzy. Kiedy już udało mu się zapamiętać każdy szczegół, szturchnął Miziacza pogrążonego w jakiejś grze na telefonie i zarządził wyjazd do Roztoki.

Kiedy policjanci mijali wystawione na dziedziniec fotele, zerknęli mimochodem na dwóch facetów ucinających sobie w nich drzemkę i nagle serce Żabki stanęło.

– Psssst! – syknął sierżant i chwycił Miziacza za ramię. – To oni!

Podkomisarz w pierwszej chwili nie zrozumiał, ale podążył za wzrokiem podwładnego. Żabka położył palec na ustach i sięgnął po odznakę. Na wszelki wypadek odbezpieczył także broń – w końcu mieli przed sobą prawdopodobnych morderców. Miziacz poszedł w jego ślady, po czym na palcach zbliżyli się do niczego nieświadomych mężczyzn na odległość, z której mogli bez alarmowania nikogo więcej dokonać zatrzymania.

Wtem z wnętrza pałacu doleciał mrozący krew w żyłach krzyk, zaraz po nim brzdęk, a drzemiący złoczyńcy ocknęli się i spojrzeli prosto na policjantów. Na widok pistoletów w dłoniach policjantów zerwali się z foteli i rzucili do ucieczki.

– Stój, bo strzelam!!! – wrzasnął Miziacz, po czym strzelił w powietrze.

Mężczyźni wciąż biegli, więc policjanci puścili się za nimi i dopadli obu po kilkunastu metrach.

Wychodząca na dziedziniec Renata Bujko-Wawrzyniak potknęła się na nierównej kostce brukowej, wyrzucając przed siebie szklaną zawartość niesionego kartonu. Kilka słoików potoczyło się w kierunku policjantów, zatrzymując tuż obok Miziacza, który klęczał na sapiącym Danielu Liszce.

Żaden z niedoszłych uciekinierów nie odezwał się ani słowem.

## Rozdział XLVIII. Pasowałam im wzrostem, imieniem i ksywą?

Agata Śródka ubrana w czarną bawełnianą sukienkę i wściekle różowe szpilki, na które założyła niebieskie ochraniacze, różnym krokiem przemieszczała się szpitalnym korytarzem. Znalazła właściwy numer sali i bez wahania weszła do środka.

Urządzoną niemal z luksusami jedynekę spowijał przyjemny mrok, za który odpowiadały grube rolety w kolorze pomarańczowym. Na regulowanym łóżku spokojnie spała Katarzyna Jakimiuk, otoczona balonikami, bukietami kwiatów i pluszowymi misiami.

Agata usiadła na wygodnym fotelu dla odwiedzających i przyjrzała się przyjaciółce z troską. Od wypadku minął zaledwie tydzień, ale wydawało się, że Katarzyna mocno wyszczupiała. No, może wciąż zaliczała się do puszystych, ale już trochę mniej. Śródka przybyła do szpitala natychmiast po telefonie od Renaty, w którym siostrzenica poinformowała ją o ocknięciu się pacjentki.

– Niezłego stracha nam napędziłaś, Kaśka – odezwała się Agata. – Myśleliśmy, że nigdy się nie obudzisz.

– Agatka? To ty? – wyszeptała ledwo słyszalnie Jakimiuk.

– No ja, a któżby inny?

– Jak długo spałam? Ci lekarze nic mi nie mówią, tylko patrzą na mnie jakoś tak dziwnie...

– Trzydzieści lat.

Katarzyna raptownie otworzyła oczy i spojrzała na Śródkę z przerażeniem.

– Trzydzieści lat? A ty wcale się tak bardzo nie postarzałaś!

– Medycyna estetyczna wystrzeliła do przodu, teraz się z każdym rokiem młódnieje – odparła Agata bez mrugnięcia okiem.

– Ale to chyba od niedawna, bo po tobie jeszcze nie widać...

Śródka przełknęła tę gorzką pigułkę; sama sobie była winna, żartów jej się zachciało. Przysunęła krzesło bliżej i ucałowała Katarzynę w czoło.

– Ty tu sobie smacznie spałaś, a my odkryliśmy zabójcę Maxymiliana – poinformowała ją poważnym tonem.

– W trzydzieści lat to chyba żaden wyczyn...

– Żartowałam z tymi trzydziestoma latami, tydzień temu ktoś cię z tych schodów zepchnął.

– Przecież nikt mnie nie zepchnął! – zaprotestowała zdumiona kobieta. – Potknęłam się o odstającą deskę.

– Naprawdę? I nikogo na tych schodach za tobą nie było?

– Musiałyby wyleźć ze ściany – odparła Katarzyna. – To nie pierwszy raz, jak z nich zleciałam, tylko nigdy wcześniej aż tak spektakularnie. Nawet poprosiłam Olusia, żeby mnie ubezpieczył od tych wypadków.

– A więc to ty go poprosiłaś. No to muszę powiedzieć Renacie, żeby wstrzymała się z wnioskiem o ekstradycję...

– Co takiego?!

– Nic, nic, uspokój się. Ty masz teraz odpoczywać i nabierać sił.

– Jak więc to kukułcze jajo znalazło się pod moim oknem? – wróciła do clou rozmowy Katarzyna.

– No to tak: było ich trzech – zaczęła opowieść Agata, pamiętając zasadę, że pierwsze zdanie historii jest najważniejsze. – Dwóch z łomem i łopatą, jeden w worku. Ten w worku...

– Maksymilian – wtrąciła Jakimiuk.

– Ten Maksymilian, a właściwie Maxymilian przez „x”, dostał łomem w czaszkę, a następnie został wrzucony do otworu w ziemi, w którym, zgodnie z planem tamtych dwóch, miały go zezreć robaki.

– A zamiast robaków pojawiłam się ja – domyśliła się pacjentka. – Właściwie to dlaczego go kropnęli?

– Z zemsty, ale jakoś tak mętnie to tłumaczyli, że nie zrozumiałam, co dokładnie im zrobił.

– Szkoda... – Jakimiuk nie kryła zawodu. – Fajnie by było, gdyby stała za tym jakaś historia miłosna... Może z zemsty za kobietę? Któryś któremuś odbił żonę? Taka nasza lokalna wojna trojańska?

– Tego, niestety, nie wiem – wyznała Agata z żalem. – Obaj katrupiciele nabrali wody w usta i udają, że ogłuchli. Renatka będzie nad nimi pracować, ale na razie milczą jak zakłęci.

– A jak wyszła telewizja? – przypomniała sobie pacjentka, szybko porzucając temat ewentualnego motywu zbrodni.

– Tak samo jak weszła: z hukiem. Alan Szpila został publicznie upokorzony, bo szefowa produkcji zerwała z nim związki prywatne i równocześnie odwołała go z funkcji przewodniczącego jury, jajo potłukło się w drobny mak, więc finał konkursu trzeba było przełożyć. Do tej pory po pałacu pałęta się policja i zagląda do wszystkich tajnych skrytek.

– Co ty powiesz, taka heca... To nawet lepiej, bo przyjęcie bez gospodyni to jak kobieta bez libido.

Agata musiała się zgodzić z tym cokolwiek dziwacznym porównaniem. Zgodnie z diagnozą lekarzy powrót Katarzyny do pełnego zdrowia miał nastąpić dopiero za kilka tygodni, a przy dobrych wiatrach do tego czasu uda się zatrudnić porządny personel. O kelnerach z łapanki lepiej zapomnieć.

– A jak się czujesz? – zapytała z troską Agata, odsuwając od siebie myśli o przykrych rzeczach.

– Ogólnie całkiem nieźle, tylko trochę mnie mdli.

– Pomdli, pomdli i przestanie. A jak nie przestanie, to jesteś ustawiona na całe życie i nawet ślubu już brać nie musisz.

Katarzyna zbladła, kiedy dotarł do niej sens insynuacji Śródki. Przypomniała sobie jednak, że od czterech miesięcy seksy uprawiała wyłącznie przez telefon, więc chyba już by zauważyła.

– Muszę wracać, Kasiu – oznajmiła miękko restauratorka, podnosząc się z fotela. – Zostawiłam Michela na straży porządku i aż się boję, co jego

wysokość wymyśli.

Jakimiuk wydeła usta i skrzywiła się lekko. Lekarze poinformowali ją, że będzie musiała spędzić w szpitalu jeszcze kilka dni, przynajmniej do czasu, aż zebra zaczną się goić, a na domiar złego jej telefon został w pałacu, więc nawet z Olegiem nie miała kontaktu. Co prawda narzeczony, powiadomiony przez policję o wydarzeniach w Roztoce, obiecał zjawić się tak szybko, jak będzie to możliwe, ale w jego wypadku mogło to potrwać nawet wiele dni. W końcu niebezpieczeństwo zostało zażegnane, jego ukochana znajdowała się pod najlepszą opieką, a więc wcale mu się aż tak nie śpieszyło, zwłaszcza że szpitali nie cierpiał wręcz ostentacyjnie, odkąd w jednym z nich nie zdołano uratować jego pierwszej żony. Dodatkowo, czym szczerzy niczym dziecko Oleg Wasiljew nie omieszkał podzielić się z dzwoniącą do niego Renatą Bujko-Wawrzyniak, pracował nad zdobyciem jaja Fabergé dla swojej wybranki, a to wymagało czasu. Pieniądze na szczęście spadły z nieba, a raczej ze schodów, dzięki hojnemu odszkodowaniu z polisy Katarzyny.

– No skoro musisz, to jedź, doskonale rozumiem – odpowiedziała w końcu z ledwie słyszalnym dąsem. – Michel może i ma o sobie wyobrażenie, jakby był księciem Abu Zabi, ale rządów raczej bym mu nie powierzyła.

– A tak przy okazji monarchów – przypomniała sobie Agata – nie wiem, czy już słyszałaś, ale wzięto cię za byłą żonę mafiosa.

– Serio? – zdumiała się Jakimiuk. – Ale dlaczego?

Śródka westchnęła teatralnie i opadła z powrotem na wygodne siedzisko. Przy okazji skonstatowała, że przydałby jej się taki fotel w gościnnieckim gabinecie, mogłaby w nim czytać swoje ulubione książki o winnicach w Prowansji... Wróć! Żadnych winnic, *absolument pas!*

– Galimatias to jest kompletny, a zaczął się od tego, że nasz Michelek nazwał cię carycą – jęła wyjaśniać restauratorka. – Wyobraź sobie, że

jednym z katrupicieli Maxymiliana był członek zorganizowanej grupy przestępczej, której przywódca nosił przydomek Car.

– Mikołaj Kunicki! – wykrzyknęła Jakimiuk i już ani trochę nie wyglądała jak pozbawiona sił ofiara zamachu. – No co tak patrzysz, przecież mówiłam ci, że mój były mąż był sędzią, więc to i owo o świecie przestępczym zdążyłam usłyszeć...

Agata spojrzała na przyjaciółkę z uwagą, a przez jej głowę przemknęła myśl, że wielu rzeczy jeszcze o niej nie wie. I raczej wcale nie chce wiedzieć, bo taka wiedza może okazać się niebezpieczna.

– Otóż ów Car – kontynuowała Śródka – jakiś czas temu zgubił żonę. A raczej ta żona, nazywana Carycą, jak się domyślasz, czy też może nawet wiesz – Agata łypnęła na Katarzynę, która pokiwała energicznie głową – mu się zgubiła, i to skutecznie. Nikt, na czele z Carem, nie wie, gdzie też kobieta się podziała. Na domiar złego plotka głosi, że zmieniła tożsamość, a nawet wygląd, przez co nikt nie wie, kogo właściwie należy szukać.

– I tak rzucają się na pierwszą lepszą kobietę w nadziei, że akurat trafią?  
– powątpiewała Katarzyna.

– Na mnie by się nie rzucili, bo Caryca podobno ma metr siedemdziesiąt...

– I z tego, co pamiętam, figurę Kingi Rusin – zauważyła Jakimiuk, udowadniając, że ma do swojej obfitej figury właściwy dystans.

– Przybranie kilku kilogramów to żaden problem, w odróżnieniu od odjęcia sobie kilkunastu centymetrów wzrostu – połechtala ją Agata. Gdyby przed „kilka” postawić „dwadzieścia”, byłaby bliższa prawdy.

– No dobra, czyli wzięli mnie za utytą Katarzynę Kunicką, byłą Carycę, tylko dlatego, że pasowałam im wzrostem, imieniem i ksywą?

– Zgodnie z zeznaniami ludzi Kunickiego głos masz podobny, charakter identyczny, a do tego związałaś się z Rosjaninem i żądałaś od niego przywiezienia jaja Fabergé, a Kunicki twierdzi, że jego jajo, sprezentowane



żonie na siedemnastą rocznicę ślubu, zniknęło razem z „niewdzięczną bladzią”, która w dodatku „puszcza się z ruską swołoczą”.

– A niby skąd oni o tym wiedzą? – zaciekawiała się Katarzyna i jęła przetrząsać pokłady pamięci. – Przecież ja o tym jaju gadałam z Olusiem w trakcie...

– O tej twojej gimnastyce już legendy krążą – zaśmiała się Śródka. – Wyobraź sobie, że Car razem z jego niewydarzoną prawą ręką siedzieli w krzakach z zamiarem porwania cię, ale tak ich oszołomiłaś swoim występem, że zmienili zdanie. Swoją drogą, niezłe szoł musiałaś tam zrobić, Kunicki na samo wspomnienie dostał apopleksji i zaczął się domagać wizyty u psychiatry.

Katarzyna, choć w pierwszym odruchu chciała się obrazić, wypięła dumnie pierś, przybrała minę ekspertki i objawiła:

– Powtarzam ci to za każdym razem, Agato: faceci to proste w obsłudze zwierzęta. Za seks i żarcie będą cię kochać do końca świata. Opanujesz proste triki, nauczysz się używać swoich atrybutów i jesteś królową.

– A może nawet carycą – podsumowała, nie kryjąc uznania, Śródka.

## Epilog

### Carskie jaja

Sylwia Kubacka

*W atmosferze jak z prawdziwego kryminału odbyło się oficjalne otwarcie zespołu pałacowego w Roztoce w województwie dolnośląskim. Znana restauratorka, Agata Śródka, właścicielka wyróżnionej gwiazdką Micheline Jolie Julie, po raz kolejny przyczyniła się do ujęcia winnych morderstwa. Tym razem jednak sprawy nie udało się przemilczeć, ponieważ ofiarą zbrodni był znany w Europie Maxymilian Gruschka, w świecie przestępczym nazywany „kustoszem mafii”, a za jego zabójstwem stali członkowie warszawskiej grupy, której do niedawna przewodził Mikołaj K. posługujący się pseudonimem Car.*

*Według źródeł zbliżonych do prokuratury Car od dwóch lat objęty był programem ochrony świadków, jednak popełnienie czynu zabronionego anulowało jego układ z wymiarem sprawiedliwości. Razem z Danielem L., ps. Wąty, oraz Sylwestrem R., ps. Bidul, zostali oskarżeni o udział w grupie przestępczej, popełnienie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem oraz bezczeszczenie zwłok. Adwokat Mikołaja C. w komunikacie dla prasy poinformował o przewlekłej chorobie psychicznej swojego mandanta, możemy więc podejrzewać, że będzie wnosił o uznanie go za niepoczytalnego.*

*Świadkowie niecodziennego wydarzenia zgodnie mówią, że do ujęcia sprawców morderstwa przyczyniło się jajo Fabergé, które Mikołaj K. usiłował wykraść z pałacu w Roztoce. Właściciele pałacu zaprzeczyli, jakoby kiedykolwiek posiadali podobną kosztowność, wobec czego wniosek o niepoczytalność Cara wydaje się uzasadniony. O rozwoju sprawy będziemy informować na bieżąco.*

Michel odłożył gazetę i spojrzał na Agatę.

– Żródło zbliżone do phokuhatuhy?

– Jestem w bardzo bliskich stosunkach z moją siostrzenicą, jakbyś nie zauważył – odparła Śródka, popijając kawę.

Siedzieli w jadalni, którą oświetlały tylko kinkiety, dzięki czemu w przestronnym pomieszczeniu panował przyjemny półmrok.

– Jaka ja byłam naiwna – westchnęła Delfina Blanc. Upadek ze schodów skończył się zwichnięciem nadgarstka, na szczęście obyło się bez większych urazów.

– Skąd miałaś wiedzieć, że to taka swołocz? Na czole nie miał napisane, że jest przestępcą – pocieszała ją Agata.

– Ja od hazu mówiłem, że to szemhany typek! – zaprotestował Michel.

– Ale fantazję ma, to trzeba mu przyznać – pochwaliła Agata. – Tylko trochę monotony w doborze nazwisk.

– Andrzej Markowski i Marek Andrzejewski, powinnam była szybciej to zauważyć – wyznała ze skruchą Renata.

– Zauważyć to powinien ten twój Miziacz, że tu się pałętają przestępcy – wytknęła ciotka. – Gdyby nie ty, to do uśmiechniętej śmierci nie wiedzieliby, że Maksymilian jest Maxymilianem.

– Właściwie to dzięki tobie się dowiedzieli, ciociu.

– No i dlatego o mnie piszą w gazetach.

– Przyznaj się lepiej, że chciałaś zagać na nosie Szpili – zakpił Michel. – Dzięki tobie pani Kubacka miała ahtykuł na piehwszą sthone. Co dostałaś w zamian?

Śródka zacisnęła usta, co miało oznaczać, że nie zamierza nic więcej powiedzieć na ten temat. Swego dopięła, i to z nawiązką.

– Słuchajcie, powinnam się zbierać – powiedziała Renata, zerknąwszy na zegarek. – Muszę się spakować, bo z samego rana wyjeżdżam.

– Poczekaj jeszcze chwilę – poprosiła Śródka. – Opowiedz nam, co to było z tym Rójkiem, bo sierżant Żabka milczał jak głaz.

Renata wahała się przez moment, po czym westchnęła głośno i spełniła prośbę ciotki. Najwyżej będzie niewyspana, nie pierwszy raz. Najważniejsze, że od jutra czeka ją nowa przygoda, a o Gościńcu tyle się nasłuchiwała, że już czuła się jego mieszkanką.

\*

Ambitny sierżant Żabka, nauczysz się na pamięć wyglądu zewnętrznego podejrzanych mężczyzn, oderwał Miziacza od telefonu, na którym podkomisarz z zapamiętaniem oddawał się ulubionej grze, po czym zaordynował wizytę w pałacu.

Łut szczęścia sprawił, że domniemani poszukiwani wystawili im się jak na patelni, w co policjanci w pierwszej chwili nie mogli uwierzyć. Pierwszy zareagował Żabka, wyciągnął odznakę i broń, ale dokładnie w tym momencie Delfina Blanc dostrzegła chowającego się za stolikiem Kunickiego i z wrażenia wypuściła tacę na schodach. Zaalarmowani łoskotem Bidul z Wątłym ocknęli się, zobaczyli gotową do użycia broń w rękach policjantów i rzucili się do ucieczki. Wtedy Miziacz oddał pierwszy strzał ostrzegawczy. Na to wszystko z pałacu wypadła Renata, miotając szklanymi przedmiotami.

Po spektakularnym aresztowaniu Bidula i Wątłego policjanci z ekipą techników odwiedzili koszmarny dom pani Rójkowej, która o przestępczej działalności jedynaka zdawała się nie mieć pojęcia.

Oprócz kartonów z Ikei, których kody kreskowe pasowały do przedmiotów wyszczególnionych na paragonie, w drewni znaleziono łom. Dokładniej znalazł go sierżant Żabka i kierowany intuicją zabezpieczył do badań. Okazało się, że żadnemu z mafiosów nie przyszło do głowy, żeby *corpus delicti* wyczyścić, widocznie za mało w życiu obejrżeli seriali w stylu *CSI*.

– Jaki kraj, taka mafia – podsumowała Śródka.

– Policja też inteligencją nie błyszczała – dodał Michel.

– Cieszymy się, że udało nam się zamknąć tę sprawę – odparła Renata.

Prokuratorka pożegnała się i opuściła pałac. Śródka i jej towarzysze także planowali wyjechać skoro świt, a tymczasowo pieczę nad pałacem przejęła policja, więc istniało pięćdziesiąt procent szans, że nic więcej się tu nie wydarzy. Agata dopijała kawę, Delfina sączyła sok z marchwi, a Michel delectował się koktajlem w kolorze zmielonego drewna.

– Jednej rzeczy tu nie hozumiem – odezwał się nagle.

– *Quelle surprise!* – zaszydziła Śródka.

Michel zignorował tę mało wysublimowaną zaczepkę, bo niezrozumiała rzecz naprawdę nie dawała mu spokoju.

– Jak to w końcu jest? Cahyca jest cahycą, ale nie jest Cahycą, chociaż jest Katarzyną, a jajo nie jest jajem, chociaż jest jajem.

– Agato, jednak jadę z tobą – oznajmiła Delfina, patrząc na syna z przerażeniem. – Nie mam zamiaru tłumaczyć mu tych zawiłości przez całą drogę do Gościńca.

\*

Sylwester Rójek ścisnął w dłoni papier, który udało mu się przeschmuglować do aresztu.

Miał dużo czasu na przemyślenia, mógł też liczyć na swoich informatorów, wiedział zatem od nich, że jego tajemnica jest bezpieczna. Katarzyna Jakimiuk nie zauważyła go, kiedy pojawił się za nią na schodach, istniały więc spore szanse, że nikt nie znalazł drzwi na półpiętrze. Doskonale je zresztą zakamuflował.

Na łomie nie było jego odcisków palców, posiedzi najwyżej za współudział, a dotychczasowa niekaralność dodatkowo złagodzi mu wyrok. Do tego czasu z pewnością obmyśli doskonały plan i po wyjściu zajmie się odszukaniem skarbu. Leżał tam tyle lat, poleży jeszcze kilka.

Rozprostował złożony jak origami plan podziemi ciągnących się pod pałacem i z rozkoszą wyobrażał sobie dzień, w którym wydobydzie legendarny skarb nazistów. Na taką nagrodę warto poczekać, a przynajmniej na głowę nie kapie.

\*

*Drogi dzienniku!*

*No i wzięło i się skończyło. Miało być dobrze, a wyszło jak zwykle. I czyja to wina?*

*Siedzę sobie jak ten cymbał w areszcie domowym, bransoletki mi na nogi założyli, ani to ładne, ani stylowe, a i skarpetek pod to nie wcisnę. Gliny mówią, że jakbym nie uciekł na tę bidulową prowincję, to może i biżuterii by nie było, ale mleko się rozlało i po zawodach. Głupi ja byłem, oj, głupi, że się dałem tym ptasim mózdzkom omamić i uwierzyłem, że Osoba tak sobie na widoku w pałacu hasa i jajo za pięć milionów baksów minus dwa procent wystawia jak w jakimś muzeum. Ermitaż, chromolony, miała sobie zrobić w podświadniczej wiosze, jaki ja głupi byłem, że mi to w ogóle do myślenia nie dało!*

*Doktor powtarza, że jestem chaotyczny i muszę nauczyć się nad tym panować, więc kazał mi książkę napisać. I nie jak Masa czy inni ghost writera zatrudnić, tylko sam, intelektem i erudycją („panie Mikołaju, z pana erudycją i intelektem pan mógłby być naprawdę KIMŚ”) historię swoją tragiczną opowiedzieć o tym, jak jedna zła decyzja całe życie mi zrujnowała. Bo to jedna decyzja była, najgorsza ze wszystkich, jeden podpis w urzędzie i żegnaj wolności. Dosłownie i w przenośni.*

*Tytuł już wymyśliłem, „Tajemnica carycy”, podoba mi się i gliny też mówią, że ładny i marketingowo chwytliwy. Może wreszcie znajdę zupełnie legalne źródło zarobkowania?*

*No ale do rzeczy.*

*Podobno pierwsze zdanie książki jest najważniejsze i trzeba się nad nim jakoś wyjątkowo nagimnastykować, żeby potencjalnego klienta zachęcić, więc siedziałem dwa tygodnie i myślałem, jaką tu zachętę zastosować, no i wymyśliłem. Będzie szło tak: „Gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, to nigdy by nie wstał”. Nigdzie nie jest powiedziane, że to zdanie nie może być cytatem, tak czy nie?*

*No i znowu zboczyłem z tematu, miało być o czym innym. Może ja faktycznie jestem chaotyczny i doktor ma rację? Na szczęście doktora mi nie zabrali, więc tyle dobrego. Leki też mi zmienił i migreny już mi nie dokuczają. Okazało się, że wenlafaksyna przestała mi służyć i cud jakiś rodzaju biblijnego, że się nie posypałem kompletnie.*

*A skoro już przy cudach jesteśmy, to o jednym w mojej książce nie mogę napisać. Dlatego piszę tutaj, chociaż i tak będę musiał przekupić któregoś psa, żeby ten dziennik spalił, jakby tak komuś wpadło do głowy, żeby jednak szukać na mnie haków.*

*Ten typ, co to miał gnić pod ziemią, póki go nie zeżrą robale, cudem zupełnie niebiblijnym wziął i spod ziemi wylazł, a ten idiota Bidul, zamiast spierd znaczy się uciekać z tego pałacu, wepchał się w sam środek cyrku, w którym gościnnie występowały gliny, telewizja i jakaś wścibska kucharka wielkości ratlerka. Wredne babsko, w dodatku bez poczucia humoru. Od razu mi się nie spodobała i już wtedy powinienem wyniuchać, że Caryca Osoba nie mogłaby się z nią przyjaźnić. Ale nie, głupi byłem, zaufałem Bidulowi, zaufałem Wątłemu, który twarzy nie rozróżnia i dla niego Morawiecki wygląda tak samo jak Al Pacino w Ojcu chrzestnym. Twarz niby można zmienić, sam czekam na nową maskę, o ile plan się nie rozsypie, roztyć się jak locha też żaden problem, sam prawie się dałem nabrać, ale mnie usprawiedliwia „zakłócenie czynności psychicznych”, jak mówią mecenas z doktorem. A taki Bidul i Wątły zakłóceń nie mieli, więc powinni od razu rozpoznać, że to nie moja Caryca tymi giczałami wymachiwała i bufetem świeciła. No nie powiem, serce trochę mi drgnęło, jak tymi biodrami*

kręciła, i może nawet nie tylko serce, bo ogólnie to niepodła, choć powinna może trochę schudnąć.

Omamili mnie, psie krwie, przekonali, sam wreszcie uwierzyłem, że to ona, bo niby dlaczego miałoby mnie oszukiwać? Nie wziąłem poprawki, że za współpracowników mam imbecyli, i tak to się właśnie skończyło... „Szefie, ale głos podobny i imię się zgadza, i ten żabojad w garniturku carycą ją nazywa!” A jakby ją królową Szeherezadą nazywał, to też bym miał uwierzyć, że w Babilonie jestem?!

Głupi ja byłem i wyszedłem na pajaca. Może w polityce powinienem karierę robić? Tak mnie teraz olśniło.

I całe szczęście, że się Bidul do kradzieży jaja nie wziął, bo jakbym odkrył, że zamiast pięciu milionów zielonych trzymam w sejfie pięć kilo czekolady, tobym go sam osobiście zamordował i nie dam głowy, że mecenas by to pod artykuł 34 kodeksu podciągnął...

Szkoda tylko tej Delfiny, fajna kobitka, mogłaby mi Osobę zastąpić, miła taka, niebrzydka i niegłupia. Chociaż z drugiej strony ciagoty ma do alkoholu, Bidul mówił, że gorzałę z gwinta żłopie, a to trochę się kłóci z moim poczuciem estetyki.

Reasumując (doktor mówi, że powinienem uczyć się eleganckich słów, żeby tą wrodzoną erudycją błyskać): nie ma carycy, nie ma jaja, na szczęście nie ma też zarzutów. Dobrze w gruncie rzeczy te moje chłopaki, Wąty zwłaszcza. Winę wziął na siebie, chociaż gliny nie uwierzyły i Bidulowi też udział chcą udowodnić. Mnie na szczęście w to nie mieszają, bo mam zwolnienie od lekarza na cały listopad, doktor zaświadczył, że byłem w epizodzie i o bożym świecie nie miałem pojęcia.

To na razie tyle, muszę iść na sesję, taka miła facetka do mnie przychodzi i o sprawach sercowych gadamy. Jej też tytuł książki się podoba i mówi, że kupi, bo bardzo lubi takie tragifarsy.

Twój Mikołaj, były Car



## *Recettes de cuisine*

### **Krem z borowikiem z groszkiem ptysiowym**

**Liczba porcji: 6**

**Czas przygotowania: 1 godzina**

#### **SKŁADNIKI**

##### ***Krem z borowików:***

- 1,5 l bulionu z warzyw
- 500 g borowików (świeżych lub mrożonych)
- 1 duża cebula
- 3 ząbki czosnku
- 2 gałązki świeżego tymianku
- 2 listki laurowe
- 0,5 łyżeczki gałki muszkatołowej
- 50 g masła klarowanego
- 100 ml białego wytrawnego wina
- 200 g mascarpone
- czarny pieprz
- sól

##### **Groszek ptysiowy:**

- 75 ml wody
- 75 ml mleka 3,2%
- 50 g masła
- szczypta soli
- 1 łyżeczka cukru

- 80 g mąki pszennej
- 2 duże jajka (rozmiar L)

### **Dodatkowo:**

- 4 średniej wielkości borowiki
- natka pietruszki do podania
- łyżka masła klarowanego

## **PRZYGOTOWANIE**

### **Krem z borowików**

1. Na patelni rozgrzej masło i na średnim ogniu podsmaż cebulę do złotego koloru. Dodaj posiekany czosnek i smaż jeszcze przez chwilę.

2. Oczyszczone grzyby pokrój na mniejsze części i wrzuć na patelnię wraz z gałązkami tymianku i listkami laurowymi. Smaż około 10 minut, aż woda z grzybów całkowicie odparuje.

3. Kolejno wlej wino i doprowadź do wrzenia. Gotuj całość przez kolejne 5 minut. Wyjmij tymianek oraz listki laurowe, a zawartość patelni przenieś do garnka z gorącym bulionem.

4. Dodaj ser mascarpone i zmiksuj zawartość garnka do otrzymania gładkiej konsystencji.

5. Zupę dopraw solą, gałką muszkatołową i świeżo mielonym pieprzem do smaku.

### **Groszek ptysiowy**

1. W garnku zagotuj masło z wodą, mlekiem, cukrem oraz solą, a następnie jednym ruchem wsyp mąkę i energicznie wymieszaj, aby się

nie przypaliła. Gdy masa stanie się szklista i jednolita, ściągnij garnek z ognia i wystudź do temperatury pokojowej.

2. Do wystudzonego ciasta wbij kolejno jajka, miksując spiralnymi końcówkami miksera.

3. Masę przełóż do rękawa cukierniczego z okrągłą końcówką o średnicy około 1 cm i wyciśnij nieduże ptysie o średnicy 1–1,5 cm na blaszkę wyłożoną papierem do pieczenia.

4. Piecz w 200°C około 15 minut, aż urosną i nabiorą złotego koloru. Odstaw do wystudzenia.

## **Podanie**

1. Pozostałe borowiki pokrój w plastry i przysmaż na maśle. Możesz je doprawić odrobiną soli oraz pieprzu.

2. Gorący krem przełóż do talerzy i udekoruj podsmażonymi borowikami, posiekaną natką pietruszki oraz groszkiem ptysiovym.

## **Ravioli z łososiem w sosie kurkowym**

***Liczba porcji: 4***

***Czas przygotowania: 2 godziny***

### **SKŁADNIKI**

#### ***Ciasto:***

- 400 g mąki pszennej (najlepiej typu 00)
- 4 duże jajka (rozmiar L)
- 1 łyżeczka soli
- 1 białko do posmarowania ciasta

#### **Farsz:**

- 400 g świeżego łososia bez skóry
- 200 g ricotty
- 1 łyżka posiekanego koperku
- 50 ml białego wytrawnego wina
- 1 łyżka klarowanego masła
- sól, pieprz

### **Sos kurkowy:**

- 250 g kurek
- 1 biała cebula
- 2 gałązki świeżego rozmarynu
- 250 ml śmietany kremówki 30–36%
- 1 łyżka klarowanego masła
- świeżo mielony czarny pieprz
- sól

## **PRZYGOTOWANIE**

### **Ciasto**

1. Mąkę przesyp na stolnicę lub wsyp do miski i wymieszaj z solą.
2. Uformuj dołeczek, wbij do niego jajka o temperaturze pokojowej i wymieszaj je z mąką za pomocą widelca, a następnie zacznij wyrabiać ciasto.
3. Ciasto należy zagniatą około 15 minut, aż stanie się miękkie i elastyczne i zacznie przypominać plastelinę. Jeżeli zbyt trudno się zagniatą, można dolać łyżkę wody.
4. Gotowe ciasto makaronowe uformuj w kulę, posyp mąką, przykryj ściereczką i odstaw na 30 minut. W tym czasie przygotuj farsz.

## **Farsz**

1. Łososia oczyść, osusz papierowym ręcznikiem i pokrój w drobną kostkę.
2. Na patelni rozgrzej masło i wrzuć łososia. Smaż przez 3 minuty, aż białko się zetnie.
3. Wlej wino i poczekaj, aż odparuje, mieszając od czasu do czasu. Odstaw do wystudzenia.
4. Kolejno dodaj posiekany koperek oraz ricottę. Dokładnie wymieszaj. Na koniec przypraw solą oraz pieprzem do smaku.

## **Lepienie ravioli**

1. Gotowe ciasto makaronowe podziel na 2 porcje i każdą rozwałkuj na grubość 1–2 mm na podsypanym mąką blacie. Najłatwiej jest to zrobić maszynką do makaronu, jeśli jednak takiej nie posiadasz, to wałek też da radę.
2. Połowę każdej porcji ciasta posmaruj roztrzepanym białkiem. Na posmarowaną część powykładaj po łyżeczce farszu, zachowując 3–4 cm odstępu, przykryj drugą (nieposmarowaną) połówką ciasta i palcami dokładnie dociśnij przestrzenie między nadzieniem.
3. Kolejno z ciasta za pomocą radełka powykrawaj kwadraty, formując pierożki. Czynność powtórz z drugą porcją ciasta.
4. Gotowe ravioli układaj na podsypanym mąką blacie.
5. Gotuj je w dwóch partiach w dobrze osolonym wrzątku (około 5 l i 3 łyżeczki soli) przez 8–10 minut od wypłynięcia, aż ciasto będzie miękkie.
6. Podawaj od razu lub ostudź w zimnej wodzie i zachowaj na później.

## **Sos kurkowy**

1. Kurki delikatnie obierz i przepłucz pod dużym strumieniem wody, aby oczyścić je z piasku. Następnie dokładnie wysusz je na papierowym ręczniku.

2. Na patelni rozgrzej masło i wrzuć drobno posiekaną cebulę. Smaż kilka minut do złotego koloru, a następnie wrzuć kurki oraz rozmaryn. Całość duś około 10 minut, aż cała woda z grzybów odparuje.

3. Kolejno wlej śmietanę i gotuj następne 10 minut, często mieszając, aż zredukuje się połowa płynu.

4. Sos przypraw solą i pieprzem do smaku.

## **Podanie**

Na talerzach rozłóż ugotowane ravioli i polej sosem kurkowym. Ravioli możesz dodatkowo posypać tartym parmezanem i świeżo mielonym pieprzem.

## **Szparagi z sosem holenderskim**

*Liczba porcji: 2*

*Czas przygotowania: 25 minut*

### **SKŁADNIKI**

#### ***Szparagi:***

- pęczek zielonych lub białych szparagów
- sól

#### **Sos holenderski z musztardą:**

- 3 żółtka
- 1 łyżka soku z cytryny
- 100 g masła

- 1 łyżeczka musztardy Dijon
- biały pieprz
- sól

## PRZYGOTOWANIE

### Szparagi

1. Szparagi umyj, odetnij twarde końcówki (ok. 2 cm) i obierz do połowy (jeżeli są młode i cienkie, nie musisz tego robić). Wrzuć na osolony wrzątek i gotuj około 3 (zielone) lub 7 minut (białe).

2. Po ugotowaniu wrzuć je na moment do wody z lodem, a następnie podawaj z uprzednio przygotowanym sosem holenderskim.

### Sos holenderski z musztardą

1. Masło rozpuść w rondelku.

2. Żółtka w temperaturze pokojowej wbij do miski, wymieszaj z sokiem z cytryny i zacznij powoli ubijać trzepaczką. Następnie cienką stróżką wlewaj gorące masło, nie przerywając ubijania. Powinien powstać gęsty sos.

3. Na sam koniec dodaj musztardę, przypraw białym pieprzem oraz solą.

## Tripes de boeuf, czyli flaczki wołowe

***Liczba porcji: 8***

***Czas przygotowania: 4 godziny***

### SKŁADNIKI

***Bulion:***

- 1,5 kg mięsa wołowego (najlepiej różnych części, także z kością, np. łaty, ogona, antrykotu oraz szpondru)
- 3 cebule
- 4 marchewki
- 2 pietruszki
- 1 seler
- 1 por (biała część)
- natka pietruszki lub pęczek lubczyku
- 3 litry wody
- łyżeczka ziaren pieprzu
- 6 ziarenek ziela angielskiego
- 3 listki laurowe
- sól

### **Flaczki:**

- 2 kg flaków wołowych krojonych, gotowanych
- 100 g masła
- 3 łyżki mąki pszennej
- 1 łyżka słodkiej papryki w proszku
- 1 łyżeczka ostrej papryki w proszku
- 2 łyżki suszonego majeranku
- 3 ząbki czosnku
- świeżo mielony czarny pieprz

## **PRZYGOTOWANIE**

1. Mięso umyj pod bieżącą wodą i umieść w garnku. Wlej 3 litry zimnej wody i wstaw na palnik. Gdy woda się zagotuje, zmniejsz ogień do minimum.



2. Po kilku minutach od zagotowania zbierz za pomocą sitka szumowiny.

3. Mięso gotuj około 2 godzin na małym ogniu pod częściowym przykryciem. W tym czasie obierz warzywa. Z cebuli ściągnij wierzchnią część łupiny, przekrój ją na połówki i opal nad gazem. Natkę pietruszki obwiąż nitką.

4. Po 2 godzinach dodaj wszystkie warzywa oraz przyprawy (oprócz soli).

5. Bulion gotuj jeszcze przez co najmniej godzinę, a najlepiej dwie. Posól do smaku na sam koniec.

6. W międzyczasie ugotuj flaki. Do dużego garnka przełóż flaki i zalej je wodą. Gotuj je około 30 minut od zagotowania. Kolejno odcedź je i zalej świeżą wodą. Gotuj ponownie przez mniej więcej godzinę, aż staną się miękkie. Na sam koniec odcedź.

7. Z gotowego bulionu wyjmij wszystkie warzywa, mięso oraz przyprawy. Marchew z bulionu pokrój w kostkę, a mięso oddziel od kości i podziel na mniejsze części. Włóż je z powrotem do garnka z bulionem i wrzuć ugotowane flaki. Zupę wstaw na mały gaz.

8. Przygotuj zasmażkę. Masło roztop na patelni, dodaj mąkę i dokładnie wymieszaj. Smaż przez moment, cały czas mieszając, aż nabierze złotego koloru. Dodaj ją do gotowej zupy i dokładnie ją w niej rozprowadź. Poczekaj, aż zawartość garnka się zagotuje, i zdejmij z ognia.

9. Flaczki przypraw czosnkiem przeciśniętym przez prasę, papryką, majerankiem oraz świeżo mielonym pieprzem. Przypraw możesz dodać więcej, niż sugeruje przepis. Istotne jest, aby zupa była aromatyczna i delikatnie ostra.

10. Gotowe flaczki podawaj z chlebem.

## Od autorki

Nie muszę chyba wyjaśniać, że (niemal) wszystkie osoby i wydarzenia opisane w książce są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Nie znam również żadnego Cara, żadnej Carycy ani (niemal żadnych) innych osobowości występujących w tej historii. Możliwe, że kiedyś spotkałam kogoś podobnego do Katarzyny Jakimiuk, ale jest to całkowicie nieistotne.

Pragnę natomiast zwrócić Państwa uwagę na miejsce akcji, które jak najbardziej istnieje. Pałac, a właściwie zamek, w Roztoce niedaleko Jawora na Dolnym Śląsku to miejsce, do którego odwiedzenia gorąco Państwa zachęcam. Nie znajdziecie tam co prawda śladów po grobie w kształcie leja, wątpię także, aby odbywały się wycieczki śladami tajemniczej zbrodni, możliwe jedynie, że poszukiwacze skarbów nazistów mogliby odkryć to i owo w piwnicach.

Na stronie <http://www.zamekroztoka.pl/> przywita Państwa hasło: „Zachwyć się pięknem historycznej rezydencji położonej w otoczeniu ogrodów” i zaledwie po jednym kliknięciu zrozumiecie, dlaczego właściciele bez obaw mówią o zachwycie. Restaurowany od 2017 roku zespół pałacowo-ogrodowy rozkocha Państwa w sobie bryłami budynków i ukrytymi w nich perłami architektury barokowej, dzikim ogrodem angielskim i przepięknym kompleksem ogrodów w stylu francuskim. A historia tego miejsca przyprawia o zawrót głowy.

Jako Dolnoślązaczka zgrzeszyłabym, gdybym nie zajrzała do Roztoki i nie zaprosiła Państwa do przeżycia przygody w zamku. Gdyby zaś chcieli Państwo zobaczyć na własne oczy klatkę schodową, z której runęła Delfina, i podziwiać przypałacowy ogród, wyobrażając sobie Michela gryzionego przez końską muchę przy berberysach – nie wahajcie się. Muzeum, które obecnie mieści się w zamku, czeka na Państwa ze wszystkimi tajemnicami. Kto wie, być może i jakaś caryca pojawiła się w jego historii.

Pytacie mnie często, czy jestem amatorką gotowania. Otóż: nie. Potrafię i lubię gotować, niektóre potrawy opanowałam do perfekcji (pozdrawiam serdecznie moje przyjaciółki i obiecuję, że żurek pojawi się w kolejnym tomie), ale zdecydowanie wolę w tej materii oddać głos zawodowcom.

Do współpracy przy menu do *Tajemnicy carycy* zaprosiłam Łukasza Majchrowskiego, wrocławskiego kucharza, blogera kulinarnego, publicystę i prowadzącego warsztaty kulinarne – osobę, która zdecydowanie lepiej niż ja zna się na cieście do ravioli. I flaczkach wołowych, choć w tym wypadku Łukasz przepis przygotował wspólnie ze swoją Babcią (uściski dla Babci!). Każdy z przepisów, które znaleźli Państwo w tej książce, możecie natychmiast przetestować i gwarantuję, że będziecie zachwyceni.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego poprosiłam Łukasza o pomoc. Alan Szpila, którego powołałam do życia w drugiej części przygód Agaty Śródki, potrzebuje przeciwwagi. A Agata, rzecz jasna, dobrej duszy, która nie tylko wesprze ją w wojnie ze Szpilą, ale i wniesie nieco młodzieńczej świeżości do jej życia oraz kuchni.

Zaglądajcie Państwo na blog *food2 – o jedzeniu do kwadratu*, a z Łukaszem zobaczymy się już niebawem na kartach książki.

Ściskam Państwa serdecznie

---

<sup>1</sup> Siedziba i zakład produkcyjny spółki Lotte Wedel Sp. z o.o. mieści się przy ul. Zamoyskiego 28/30 w Warszawie. (Wszystkie przypisy pochodzą od...?).

<sup>2</sup> *C'est son petit cheval* (franc.) – to jej konik.

<sup>3</sup> *Bye-bye maman. Et pas de mecs!* (franc.) – Pa, mamó. I żadnych gachów!

<sup>4</sup> *Le karma revient toujours* (franc.) – karma zawsze wraca.

<sup>5</sup> *avec tout le respect* (franc.) – z całym szacunkiem.

<sup>6</sup> *Tout à fait* (franc.) – absolutnie, wcale.

<sup>7</sup> *Je vous en prie* (franc.) – nie ma za co, proszę bardzo.

<sup>8</sup> *Que se passe-t-il ici, sacrébleu?!* (franc.) – Co tu się wyprawia, do diabła?

<sup>9</sup> *Mon pauvre ivre* (franc.) – Moja biedna pijaczka.

<sup>10</sup> *Comme c'est beau!* (franc.) – Jakie to piękne!

Redaktorka inicjująco-prowadząca: Maria Tengowska

Redakcja: Maria Wirchanowska  
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Beata Wójcik

Projekt okładki i ilustracja wykorzystana na I stronie okładki: Magdalena Babińska

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
biuro@gwfoksal.pl  
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9714-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek